STEFAN GRABIŃSKI

Klasztor i morze

wolnelektury.pl



FUNDACJA nowoczesna Polska

STEFAN GRABIŃSKI

Klasztor i morze

Mojej Matce poświęcam.

Ave, Maris Stella!

Witaj nam, Gwiazdo Morza, Panno Przeczysta, witaj! Ponad roztoczą wód, nad bujowiskiem[1] fal rozpostrzyj łaskę Twych dłoni i łagodź, uśmierzaj, koj! Ulituj się nad trudem wieczystym przewałów i daj im spocząć na chwilę w godzinę wieczornej zadumy — gdy ląd zmożony znojem dnia na spoczyn[2] się kładzie zmierzchowy, gdy po pażycach, po okolach[3] rozwieszą się białe giezła mgieł i kończą swe loty rybitwy…

Niech ścichnie na chwilę huk przyboju i złagodnieją szumy morskiej przelewy[4], gdy wracający z łowiszcza rybacy przybijają do strądu[5] na ciężkich od storni kutrach. Przyjmij ich łaskawie, Matko Przedziwna, przywitaj i przytul do łona — bo utrudzeni wielce po pracy i pieszczot matczynych stęsknieni.

I o tych pamiętaj, co powierzywszy swą dolę odmętom morza, tułają się o tej godzinie po bezkresnym pustkowiu wód. Ześlij im wiatr pomyślny, który wydawszy żagle, zawiedzie ich do bezpiecznej przystani. A gdy już bystrz zdradliwa zaniosła ich między snadzizny[6] i rafy, wyprowadź ich na wolne od potrzasków głębie i daj im noc spokojną pod gwiaździstym niebem, Sterniczko Niebieska!…

Lub jeśli gdzieś w krainie wielkich burz schwytany w kręgi dzikich szkwałów[7] statek z podartą płachtą żagli i strzaskanym masztem grąży[8] się bez ratunku w otchłanne leje bełku[9], podaj dłoń zbawczą rozbitkom, o Królowo Morza! Niech litościwa denega[10] podsunie pod omdlałe ciała swój grzbiet sprężysty i złoży lekko, jak matka dziecię, na miękkie piachy wyspy…

Bo wszystko możesz, Ty najlepsza z matek, nad ziemię niską, nad nieba wzniesiona — Ty, której berła ląd i morze słucha — o Gwiazdo Morska, o Święta Dziewico!

Przechylone przez parapet tarasu, z oczyma zatopionymi w bezkres przestrzeni żegnały mniszki zachodzące słońce. Tam w dole, u stóp klasztornej góry, jakich 100 m poniżej tarasowego wykuszu pieniła się morska kipiel. Rozkiełzane wełny, wypadłszy z macierzystego miąższu, wspinały się z wściekłym rozmachem na bloki skalnego masywu, zdobywały go do połowy wysokości i osłabłe, wyczerpane wysiłkiem obsuwały się spienionym popluszczem pomiędzy głowice raf. Te chwytały je wlot na ostre swe paliszcza, rozpruwały na bryzgi wrzątku i rozbite na miazgę, rozmielone na zielonawobiały pył odrzucały precz z powrotem ku morskiemu łożysku. I szedł od tego miejsca wiecznej walki i zgiełku głuchy postęk i huk wodogrzmotów i wstępowała ku wiszarom strądu mgławica wodnej kurzawy, przesłaniając co chwila tajnice zmagań się morza z ziemią…

[1] *bujowisko* — sfalowane morze. [przypis edytorski]
[2] *spoczyn* (neol.) — spoczynek. [przypis edytorski]
[3] *pażyce, okola* — łąki. [przypis autorski]
[4] *przelewa* (neol.) — przelewanie się, wzburzenie. [przypis edytorski]
[5] *strąd* (reg.) — brzeg morski, wybrzeże. [przypis edytorski]
[6] *snadzizny* — mielizny. [przypis autorski]
[7] *szkwał* — gwałtowny wiatr. [przypis autorski]
[8] *grążyć się* — pogrążać się. [przypis edytorski]
[9] *bełk* — topiel wodna. [przypis edytorski]
[10] *denega* — wielka fala. [przypis autorski]

Tam w dali, gdzie sine wzwody fal dotykają horyzontu, opuszczała się powoli ku poziomowi złotoczerwona pawęż słońca. Blaski konającego światła grały na srebrzystych podbrzuszach mew okrążających pożegnalnym lotem klasztorną ustroń, krwawiły się smutnym uśmiechem na grzebieniach pierzatych greling[11], muskały pocałunkiem zgonu nadbrzeżne spychy[12]. W głębi, gdzieś na samych krańcach widnokręgu lśniły w poświetli zachodu dwa metalowe cylindry rotorowca[13], co późnym, wrześniowym wieczorem dobijał do portu. A nad tym układającym się do snu światem, nad bezmiarem rozżagwionych skonem słońca wód i zrębem lądu pochylała się w łagodnym skłonie głowy przesłodka postać Madonny.

Stała nad brzegiem przepaści, na samym cyplu tarasu wybiegającym pomiędzy rozdąsane wełny i mocną stopą wparłszy się w epokę, błogosławiła odmętom. Przeogromna słodycz i spokój rozlane na twarzy Dziewicy-Matki zdawały się spływać falą ukojenia wzdłuż fałdów błękitnego Jej płaszcza i udzielać ziemi i morzu. W otoczu jarzących się dookoła Jej postaci lamp, widna z dala na białym tle kamiennego tarasu panowała statua Bogarodzicy, patronki klasztoru panien anuncjatek[14]. Madonna Maritima…

Mrok gęstniał. Złocista kula słońca zapadła już od chwili pod horyzont i na rozchyle wodne zarzuciła polipie macki noc. Na wschód od klasztornej rozkali w odległości pół wiorsty niby pierwsze akordy morskiego nokturnu rozbłysły wieczorne sygnały latarni: Tomasz Wzorek, niestrudzony strażnik nadbrzeżnej czatowni, czuwał…

Z rękoma opartymi o brzusiec tarasowego parapetu, z pochyloną ku otchłani morskiej twarzą usiłowała siostra Agnes przeniknąć spojrzeniem mroczniejącą przepaść. Lecz nic już nie widziała. Kontury raf i spiętrzonych przy brzegu skał zlały się w jednolitą, czarną caliznę obwieszoną fantastycznie białymi frędzlami pian i wodnych warów; słychać było tylko łoskot przyboju i szum kotłującego pomiędzy złomami bloków wrzątku…

Nagle uczuła na ramionach łagodne dotknięcie czyichś rąk. Odwróciła się. Jej smutne, aksamitne oczy spotkały się z poważnym, do głębi duszy wnikającym spojrzeniem ksieni.

— Matko przewielebna! — szepnęła zmieszana, czując, że silny rumieniec oblewa jej policzki.

— Za wiele przebywasz sama, siostro — zabrzmiał czysty, altowy głos przeoryszy. — Zbyt stronisz od innych sióstr; samotność, wiadomo, złą towarzyszką. Samotność, Smutek

— Patrzyłam na morze, matko — usprawiedliwiała się nieśmiało — dzisiejszy zachód był tak piękny i tak dziwnie smutny.

— Smutek jest chorobą duszy; ty masz wciąż jeszcze chorą duszę, Agnes. Zapomnij o świecie, który pozostawiłaś po tamtej stronie furty, a zwróć się cała myślami ku Bogu i niedoli twych bliźnich. Trzeba się więcej modlić, siostro: gorąco modlić i umartwiać za własne grzechy i za grzechy cudze. Pamiętaj Agnes, że w szczerej modlitwie i umartwieniu cała klasztoru potęga. O innych myśl, siostro, o innych, a najmniej o sobie i o tym, co już bezpowrotnie minęło.

— Modlę się, matko — odpowiedziała bezdźwięcznie.

---

[11]*grelinga* — rodzaj fali (u Kaszubów). [przypis autorski]

[12]*spychy* — urwiste brzegi. [przypis autorski]

[13]*rotorowiec* — statek poruszany wiatrem przy pomocy cylindrów. [przypis autorski]

[14]*anuncjatki* — Zakon Najświętszej Maryi Panny, zał. w 1501 r. w Bourges przez św. Joannę Francuską, tj. Joannę de Valois, drugą córkę króla Francji Ludwika XI i Karoliny Sabaudzkiej, od 1476 r. żonę Ludwika, księcia Orleanu, następnie króla Francji od 1498 r., który w tymże roku uzyskał w Watykanie unieważnienie małżeństwa, obdarzając byłą żonę tytułem księżnej de Berry. Założycielka zakonu zmarła w 1505 r., zaś klasztorowi wsparciem i radą służył nadal powiernik księżnej Joanny, franciszkanin o. Gilbert Nicolas (bł. Gabriel Maria). Nazwa tego zakonu o charakterze kontemplacyjnym pochodzi od *annonciade*: zwiastowanie; dewiza anuncjatek brzmi: „Naśladować Maryję, aby podobać się Jezusowi". Mimo że jedno z określeń stosowanych w odniesieniu do tego zgromadzenia „anuncjatki niebieskie", mniszki noszą wielokolorowe habity, na które składają się: szara suknia (jej barwa oznacza pokutę i ubóstwo), czerwony szkaplerz (nakładany na suknię płat materiału z otworem na głowę; kolor symbolizuje tu mękę Chrystusa, miłość i radość), biały kaptur okrywający czoło, podbródek i spadający szerokim kołnierzem na piersi (biel oznacza czystość Maryi), niebieska wstęga z medalionem Najświętszej Marii Panny, wysuwającym się spod kołnierza, wreszcie czarny welon na kapturze; habity anuncjatek, na wzór franciszkański, są przepasane sznurem z 10 węzłami symbolizującymi regułę 10 ewangelicznych cnót NMP, na której powstał zakon i która była wówczas tożsama z regułą księży Marianów Niepokalanego Poczęcia NMP. W Polsce anuncjatki były nieobecne aż do pierwszego dziesięciolecia XXI w., kiedy został założony ich klasztor w Grąbinie przy sanktuarium w Licheniu. [przypis edytorski]

Kilka zakonnych postaci zbliżyło się ku nim i otoczyło je wieńcem ciemnobłękitnych symar[15] i białych kornetów.

— Czas na kompletę[16], siostry — przypomniała ksieni skupionym koło niej niby pisklęta koło macierzy zakonnicom.

— Czas już, czas — powtórzyły chórem, ustawiając się w wydłużony orszak.

I ruszyły z tarasu pod przewodem matki przełożonej. Wyniosła, królewska postać ksieni ujęta w ramy surowej, mniszej szaty wysunęła się na czoło pochodu; smukła i arystokratycznie wytworna, mimo woli zwracała na siebie uwagę i odbijała od reszty zakonnych niewiast; nawet ostra, czasami bezlitosna reguła klasztoru, której była najgorliwszą strażniczką, nie zdołała zabić w matce Anastazji Karwickiej wrodzonej, rasowej dystynkcji i wdzięku.

Za ksienią postępowały parami inne mateczki, siostry chórowe, diakonisy, konwerski, postulantki i nowicjuszki. Orszak przesunął się w milczeniu po kwadratowych taflach tarasu, wstąpił w podsienia otwartego na morze krużganku i powoli zanurzył się w otwarty portal klasztornej kaplicy. Wnętrze rozbłysło światłem lamp i świec. Zakonnice, stanąwszy przed prezbiterium, podzieliły się na dwie grupy i zajęły miejsca na skrzydłach świątyni. Przeorysza ujęła w dłonie pastorał, godło swej władzy, i ze stopni swej stalli udzieliła im błogosławieństwa. Siostra Scholastyka, skryptorka zakonu, przystąpiwszy do rozłożonej na pulpicie w pośrodku prezbiterium księgi, dźwięcznym głosem odczytała krótką lekcję z pierwszego listu św. Pawła z Tarsu o czuwaniu.

Nastąpiła śpiewna recytacja modłów wieczornych. Przy akompaniamencie organów zaintonowała pierwsza połowa chóru antyfonę „*Deus in adiutorium meum intende*[17]!".

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa modlitwy, popłynęła jakby w odpowiedź ku posowom[18] oratorium pieśń drugiej połowy chóru, psalm: „*Domine, ad adiuvandum me festina*[19]!".

Dostojny wtór organów podjął melodię i wzmocniwszy potężnym akordem, poniósł ku wyżom zaświatów. Kilkanaście czystych niewieścich głosów modliło się dla siebie i świata o dobrą noc i cichy spoczynek, o pomoc w walce z pokusami ciała, o uchylenie złej przygody i nagłej, śródnocnej śmierci. Poprzez różańce słów wzniosłych i pełnych mistycznego zachwytu przewijały się dziwnym, niesamowitym ściegiem wyrazy stare, średniowieczem tchnące, zwroty na pół zrozumiałe, zaśniatem wieków sędziwe; na ustach dziewiczych przez wargi mężczyzn nigdy nietykanych wykwitały w kadencji rytmicznej psalmów i pieśni obrazy larw nocnych i lubieżnych inkubów, co wkradłszy się do klasztornych łożnic plugawią czystość snów i rozdmuchują pożogę zmysłów. Przed inwazją tych nocnych zwidów i straszydeł, przed atakiem tych wysłańców piekła błagały o obronę siostry zakonne. Bo zbliżała się noc, powiernica grzechu i nadchodził sen, rodzic zmor i przywidzeń...

Motyw prośby wyczerpał się; z wszystkich piersi wzniósł się ku niebu zgodnym akordem hymn św. Ambrożego: „*Te lucis ante terminum*[20]". Nabożeństwo chyliło się ku końcowi. Gdy siostra zakrystianka zapaliła przy wielkim ołtarzu świece, chór przeszedł do ponurej pieśni *Salve Regina*. Głęboka symbolika godzin kanonicznych odpowiadających okresom życia ludzkiego od kolebki do zgonu znalazła swój pełny wyraz w melodii, którą odprowadza się zmarłych na miejsce wiecznego spoczynku. Bo sen jest obrazem śmierci i schyłek dnia, który go poprzedza, nasuwa myśli o zgonie...

K'Tobie[21] wygnańcy Ewy wołamy, synowie,
K'Tobie wzdychamy, płacząc z padołu więźniowie —
O łaskawa, litosna, o święta Maryja!...

---

[15]*symara* — długi, powłóczysty strój wierzchni, noszony w dawnych czasach przez kobiety, niektórych urzędników itp. [przypis edytorski]

[16]*kompleta* — w kościele katolickim ostatnia modlitwa liturgii godzin, odmawiana w nocy, przed udaniem się na spoczynek. [przypis edytorski]

[17]*Deus in adiutorium meum intende* (łac.) — Boże, ku wspomożeniu memu wejrzyj. [przypis edytorski]

[18]*posowa* — sklepienie. [przypis edytorski]

[19]*Domine, ad adiuvandum me festina* (łac.) — Panie, ku ratunkowi memu pospiesz. [przypis edytorski]

[20]*Te lucis ante terminum* (łac.) — do Ciebie przed końcem dnia. [przypis edytorski]

[21]*k'tobie* (starop.) — do ciebie, ku tobie. [przypis edytorski]

Śpiew umilkł. Na tle głuchnących po wnękach kaplicznych ech rozsypały się teraz cichym szelestem szare, szeptem już tylko stłumionym odmawiane pacierze szkaplerza: *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* i *Gloria*.

Potem na chwilę zapadło zupełne milczenie. Na ołtarzu pryskały nikle dopalające się świece, czasem zaskrzypiał pod ciężarem ciała czyjś klęcznik. W symfonii doskonałej ciszy odezwał się Angelus wieczorny dzwonów. Kompleta była skończona. Przy wtórze dzwonowej melodii ze złożonymi w krzyż na piersiach rękoma odchodziły mniszki w zacisza klasztornych dormitarzy[22].

Siostra Agnieszka rozbierała się na nocny spoczynek. Rozwiązała obciskający jej biodra sznur, zrzuciła ciężki, błękitny habit, zdjęła kornet i z tajonym westchnieniem ulgi usiadła na brzegu łóżka. W sypialni było cicho. Rząd posłań wyciągnięty w długi, szpitalny szereg pod ścianami nie dawał znaku życia; tylko od czasu do czasu dochodziły stąd i stamtąd jednostajne szmery oddechów lub szelest poruszonej pościeli: towarzyszki jej spały już lub udawały, że śpią, zamknąwszy się w izolacji milczenia.

Agnes z lubością oddała się pieszczotom księżycowego światła, które spływało do wnętrza pełnymi strugami przez strzeliste, gotyckie okna. Chłodne, beznamiętne promienie błądziły po jej bieliźnie, ślizgały się po obnażonych ramionach i całowały małe, dziewicze piersi, których pęcze[23] wyglądały zza rąbka stanika. Wtem zadrgały i cofnęły się jak pod dotknięciem czegoś szorstkiego; w wykroju koszuli zaszarzała w zielonawej poświetli włosiennica. Ciało, Kobieta

Na ustach zakonnicy zagrał smutny uśmiech. Spojrzała po sobie, ogarnęła ciekawym, jakby zdumionym spojrzeniem swą pełną jeszcze, w ustroniu klasztornym cicho przekwitającą urodę i głęboko westchnęła.

Daleko jej jeszcze było do marmurowej, niczym niedającej się zmącić równowagi i pogody ducha, które tak podziwiała u matki przeoryszy…

A przecież już 10 lat upłynęło od chwili, gdy Hanka Działyńska przestąpiła próg klasztorny. Była wtedy prześliczną, 18-letnią dziewczyną, nad którą dziwny los już w zaraniu młodych lat wypisał Baltazarowe słowa przeznaczenia. Rok przedtem ujrzała po raz pierwszy na publicznym balu Janka Warmskiego, a po trzech miesiącach znajomości została jego narzeczoną. Nastąpił krótki, zaledwie pół roku trwający okres miłosnego uniesienia, cudowna, na zawsze już w przeszłość niepowrotną pogrzebana sielanka na tle staropolskiego dworku i otoczenia jak z bajki. Pod koniec narzeczeńskiej idylli, niemal w przededniu ślubu zaszedł tragiczny a zagadkowy wypadek, który miał ich rozdzielić na zawsze. W któryś ponury wieczór listopadowy znaleziono Janka Warmskiego w jednej z alei lipowych broczącego krwią z przestrzeloną na wylot piersią. Nieznany morderca znikł bez śladu; nie wykryto go nigdy.

Rana postrzałowa była ciężka i groziło zakażenie. Chwile spędzone wtedy przy łożu ukochanego, chwile-harpie, godziny-empuzy[24] pozostawiły po sobie niezatarty ślad; srebrną aureolę siwizny, która otoczyła jej dziewicze skronie; straszliwa noc ostatnia, w którą się choroba Janka przesiliła dzięki jej ofierze, noc rozstrzygająca, w którą jak Samson walczyła o jego życie, ubieliła jej krucze włosy przedwczesnym szronem jesieni. W ciągu tej jednej nocy zważyły się losy ich obojga. Pochylona nad majaczącym w malignie Janem, śmiertelnie znużona czuwaniem, chwytała Hanka chciwym uchem jego oddech krótki, urywany i słowa dziwne, bez związku. Chory mówił od rzeczy; z chaosu wyrazów, ze strzępów zdań układała się dziwaczna, nieprawdopodobna sprawa, wynurzały się echa jakichś zdarzeń dla niej niezrozumiałych, niby mgławicowe rozchwieje…

Aż przyszedł moment najstraszniejszy: nagle serce jego jakby zamarło i stanęło w skurczu śmierci. Z piersi konającego wyszło rzężenie agonii i nastąpiła martwa cisza. Obłąkana od bólu rzuciła się na kolana przed obrazem Bogarodzicy wiszącym nad łożem chorego.

[22] *dormitarzy* — sypialń. [przypis autorski]

[23] *pęcze* — pąki, pączki. [przypis edytorski]

[24] *Empuza* (mit. gr.) — demon z orszaku bogini śmierci Hakate, także: uosobienie strachu, widmo zamieszkujące królestwo Hadesa; rodzaj wampira: nocą Empuza miały opuszczać zaświaty, by napadać na podróżnych, zabijać ich, wysysać ich krew i żywić się ich ciałem; imię Empuzy znaczy: „wdzierająca się siłą"; miała jedną nogę oślą, a drugą z brązu (a. spiżu), mogła przybierać dowolne kształty. [przypis edytorski]

— Mateńko Najświętsza — modliła się z głębi umęczonego serca — ulituj się nade mną i przywróć mu życie za cenę szczęścia mego! Wyrzekam się go na zawsze w tej chwili, byle tylko żył i pozostał na świecie. Wszystkoć[25] za to ofiaruję, Matko Zbawiciela, tylko go ocal i wyrwij ze śmiertelnej otchłani. A jeśli ofiara wyrzeczenia za mała, to wskaż mi większą, Panno Przeczysta, a spełnię wszystko, czego ode mnie zażądasz.

Ostatnie słowa modlitwy wypowiedziała już słaniając się na kolanach. Co się potem stało, nie pamiętała; pozostało tylko mgliste wspomnienie wizji: postać Bogarodzicy zstępującej z ram obrazu i ukazującej jej w dalekiej, morskiej perspektywie gotycki kontur klasztoru.

Gdy nad ranem odzyskała przytomność i zapytała o Janka, powiedziano jej, że niebezpieczeństwo minęło i chory czuje się znacznie lepiej. Jakoż za tydzień już chodził. — Ofiarę jej przyjęto. W miesiąc potem Hanka Działyńska wstąpiła do klasztoru morskich panien anuncjatek i rozpoczęła nowicjat pod imieniem siostry Agnieszki. Zrozpaczony nagłym jej postanowieniem Warmski nigdy nie dowiedział się właściwej przyczyny; wszelkie prośby, błagania i zaklęcia opadły bezsilne przed nieugiętą opoką jej woli. Została zakonnicą.

Z duszą krwawiącą, w męce i bólu bez miary poszedł Jan Warmski w pusty, obcy świat i przepadł bez wieści; po dziś dzień nawet najbliższa rodzina nie wiedziała nic o jego późniejszych losach; tylko modlitwa siostry Agnieszki w dalekim, nadmorskim klasztorze czuwała wiernie nad zwichniętą w brzasku dni młodzieńczą dolą…

Pierwsze dwa lata nowicjatu były dla Hanki Działyńskiej nadzwyczaj ciężkie. Reguła zakonna anuncjatek, nazwanych przez okoliczną ludność rybacką Morskimi Pannami, była surowa, niemal nieubłagana: bezwzględna klauzura, ścisły post i innego rodzaju umartwienia trzymały w bezlitosnych karbach tę małą, bo zaledwie z 24. dusz złożoną niewieścią gminę powierzoną pewnej, żelaznej pieczy matki Anastazji Karwickiej. Nie od razu poddał się klasztornej dyscyplinie hardy duch siostry Agnieszki i trzeba było lat kilku walki i upokorzeń, zanim nagięła się przynajmniej zewnętrznie do zakonnego posłuszeństwa i karności. Wyrwanej nagle zrządzeniem losu z gniazda rodzinnego, gdzie otaczały ją uwielbienie rodziców i miłość Jana, rozpieszczonej przez ubóstwiające ją otoczenie, rozkapryszonej przez dobrobyt i wygody pannie trudno było przyzwyczaić się do klasztornego trybu. I chociaż głęboka, po przodkach odziedziczona religijność nakazywała posłuch dla woli wyższej, chociaż umartwiane przez włosiennicę i nocne czuwania ciało upadało nieraz pod razami zakonnej pletni[26], przecież buntowała się nieustępliwa dusza, odprężając się łukiem rokoszu przeciw zwierzchniczym nakazom. Potem, po 21 roku życia, po złożeniu ślubów pojedynczych przyszło chwilowe ukojenie: spokorniał duch, poddało się skruszone kilkuletnią kaźnią ciało. W siostrze Agnieszce zaczęły rozwijać się cnoty klasztorne, zakiełkowało szczere zainteresowanie dla mistycznego życia, obudziły się ambicje zakonne. W nagrodę otrzymała z rąk ksieni swój pierwszy urząd: została magistrą nowicjuszek i kierowniczką chóru. Głęboka muzykalność i piękny, kontraltowy głos młodej mniszki znalazły w tej dziedzinie klasztornych zajęć wdzięczne i wzniosłe zadanie. Lecz wkrótce przyszły na nią ciężkie chwile: wróciły pokusy i uderzyły na słabe ciało z podwójną furią. Pod zakonną szatą ocknęła się dawna Hanka, piękna, namiętna panna odsunięta od biesiady życia bezlitosnym wyrokiem Nieba. Zdławione gwałtem porywy krwi odezwały się czerwonym krzykiem i zaczęły domagać się swych praw. Nie pomogły okrutne samoumartwienia, dobrowolna chłosta i błagalna rozpacz modlitwy; wielka, niczym niedająca się powstrzymać fala zaczęła przełamywać wszelkie jazy i tamy, przewalając się rozhukaną grzywą nad głową nieszczęśliwej. Te noce grzeszne, te noce purpurowe krwi pożogą, noce nieprzespane! Te godziny rozełkane tęsknotą ku temu, który nie miał przyjść nigdy, nabrzmiałe żądzą rozkoszy, której on nie miał nigdy zaspokoić! Te noce straszliwe, noce samotnego grzechu rozświetlone pożarem wielkich ogni, rozżarzone do oślepiającej bieli, świętokradcze!

A po nich owe brzaski ospałe, wyczerpane, beznadziejnie puste — poranki skruchy i żalu pod glorią zimowych słońc — prostracje[27] duszy i ciała wśród chłodnych ścian

[25]*wszystkoć* — skrót od: wszystko ci. [przypis edytorski]

[26]*pletnia* — tu: bicz spleciony z rzemieni. [przypis edytorski]

[27]*prostracja* — skraje wyczerpanie nerwowo-psychiczne; także: praktyki religijne służące poniżeniu, realizowane np. poprzez leżenie krzyżem lub padanie na twarz. [przypis edytorski]

oratorium — rozkrzyżowania pokutne na posadzkach kaplic przy wtórze głuchych ech odbitych od klasztornego stropu…

Cały rok wrzała zajadła walka, cały rok zmagała się siostra Agnes z własnym ciałem. Wreszcie wyszła z tych zapasów zwycięska; wybladła, wyczerpana od postów i bezsennych nocy, ascetycznie wyszczuplała, lecz zwycięska. Gdy po ukończeniu 24. roku życia złożyła śluby wieczyste i została wikarią, oblicze jej cechował kamienny spokój nagrobnej steli; zdawało się, że w młodej mateczce zakonnej wypaliły się już wszystkie ziemskie ognie i że dusza jej przekroczyła już nieodwołalnie rubieże zaświatów.

Lecz był to tylko chwilowy etap. Ogłuszone obuchem klasztornych praktyk zmysły przyczaiły się jeno, przywarowały gdzieś w najskrytszych zaułkach osobowości i czyhały na sposobność do powrotu. — Jakoż przyszła — powoli, nieznacznie, po kryjomu.

Gdy siostra Agnes, posłuszna woli przeoryszy, zaniechała przez czas pewien surowszych umartwień i dziewicze jej ciało zaczęło nabierać znów kształtów pełniejszych i rozkwitać czarem niewieściej urody, odezwały się dawne tęsknoty i pragnienia. Barwy ich nie były teraz tak krzyczące, tak ogniste jak przed laty — nabrały raczej odcieni dyskretnych, chorobliwie subtelnych i zmatowanych; lecz może właśnie dlatego groziły większym niebezpieczeństwem.

Siostra Agnes tęskniła bez miary. Przychodziły na nią zadumy nagłe a nieuchwytne, zamyślenia głębokie jak otchłań, zasmucenia nieuchronne. Znienacka rozlewał się po bladych jagodach siostry wikarii ceglasty rumieniec sromu[28], w oczach dużych, słodkich jak u łani stawały ciche, Bogu i światu skarżące się łzy. Godziny całe przepędzała na klasztornym tarasie zapatrzona w bezkresy morza, pełna nieokreślonych zachceń i nieukojów. Smutek bezmiernych przestrzeni wtórował tęsknocie jak akompaniament do pieśni w głębinach serca łkającej, smutek wielki, nieutulony, żal cichy przekwitającej w ustroniu jabłoni…

Budziły ją z tych zamyśleń dzwony wybijające spiżowym dźwiękiem godziny klasztornych oficjów lub poważny głos matki Anastazji wzywającej na obrady kapituły. Wtedy z tłumionym bezwiednie westchnieniem odrywała oczy od morza i senna, otulona w kwefy zadumy odchodziła do wnętrz ermitażu[29].

Zwłaszcza dzisiejszy zachód słońca dziwnie ją rozmarzył. Morze miało takie słodkie, miękkie tony, tak pieściwie grała hen, w dali jego głębinowa fala; jak sarna było konająca, jak młoda, piękna dziewczyna w przeczuciu zgonu. Coś z tego smutku udzieliło się Agnieszce i szła na nocny spoczynek rzewniejsza niż zwykle i bardziej stęskniona. Lecz i ją w końcu uśpiły łagodne pocałunki księżycowej poświetli. Wypuściła z palców czarną pętlicę różańca, przeważyła się wstecz ku wezgłowiu i przymknęła ociężałe powieki. Padła na nie smuga miesięcznego światła i wycisnęła srebrzystym sygnetem piętno snu; po chwili ześliznęła się z twarzy cudnej mniszki i powędrowała dalej; wydłużonym, zielonym klinem przeglądała powoli rzędy łóż, muskała w drodze białe rąbki kornetów, całowała tkliwie błękitne woale i szkaplerze i snuła się sennym szlakiem po ścianach; aż skończywszy tę nocną rewię dormitarza, opuściła się cicho po gzymsie nadpróżka i zajrzała przez zakratowaną szybę w głąb korytarza; wtedy w blaskach zachodzącego księżyca ukazała się w dalekiej perspektywie na tle okiennego witrażu boleśnie przechylona na ramię głowa Ukrzyżowanego…

DZIEŃ POWSZEDNI

Było po prymarii i kapitule — czas poranny; najbliższa według jesiennego horarium godzina kanoniczna i związane z nią praktyki duchowe i obowiązki przypadały dopiero na jedenastą: pozostawały dwie godziny na medytacje i przechadzkę po klasztornym ogrodzie. Siostra Agnes postanowiła skorzystać z nich w pełni; należały jej się dziś te dwie godziny względnej swobody i rekreacji; musiała odetchnąć i uspokoić się. Akt pokory

[28]*srom* (daw.) — wstyd. [przypis edytorski]

[29]*ermitaż* (z fr. *ermitage*) — pustelnia. [przypis edytorski]

i publicznej skruchy, któremu poddała się dobrowolnie dziś rano po mszy św. w sali kapituły, owa pełna zaparcia się spowiedź z grzechów i wykroczeń przeciw regule uczyniona w obecności wszystkich sióstr przed matką przeoryszą zbyt silnie wstrząsnęły całym jej jestestwem; dlatego teraz łaknęła samotności i kojącego wpływu przyrody.

Wyszła na otwarte ku morzu podcienie klasztornego krużganku i oparłszy się o trzon jednego z korynckich filarów, wodziła oczyma po strądzie i bujowisku[30].

Morze pokryte było białą kurzawką. Lekka, zachodnia morka kędzierzawiąca powierzchnię wód nadawała mu wygląd wzdymającego się nieustannie runa. Potężna roztocz miała przy brzegu odcień różowoszary, nieco dalej przechodziła w zieleń szmaragdu, by wreszcie tam na krańcach, gdzie już niebo zwierało się z wodą, wysklepić się w bławą, błękitnostalową kopułę odmętu. Od tej wieczyście roztęsknionej w ruchu rozchwiei nadjeżdżały ku brzegowi na grzbietach przewałów mokre, rozczochrane olbrzymy, zesuwały się nagle, niemal w ostatniej chwili, jakby zlęknione bliskością lądu z pierzastych swych grzebieni w dół, nikły gdzieś, rozpływały się i skarlałe już, wycieńczone i potulne wbiegały na plaże po gładkich, wyszlifowanych pochylniach w postaci niewinnych „zalotów" i „wybiegów"…

Hen, w dali, w połowie drogi między rozkalą klasztoru a przylądkiem latarni, na wydźwignionej od niedawna z morskich odchyli wysepce zebrał się sejm ptasi i rajcował nad sprawami wyraju. Pora to była późna, jesienna i zbliżał się okres przelotów. Skrzydlata gawiedź obsiadłszy skalisty wydmuch, obradowała wrzaskliwie. Byli to przeważnie goście z północy, mieszkańcy fiordów i skandynawskiej wierzchowiny, którzy tu ściągnęli na przezimek; tylko drobna ich część odlatywała dalej w cieplejsze dziedziny. Na przyjęcie zwiastunów jesieni zleciały też na morski ostrów całe rzesze tubylców i jakby chcąc zaświadczyć, że rade gościom z tamtej strony bełtu, okrążały przybyszy z wesołym pogwarkiem. Były wśród nich kaczki morskie i dzikie łabędzie, kiełpiami zwane, pobrzeżne brodźce-kuligi, czajki, nurki, kormorany, perkozy czubate, burzyki i alki; gdzieś aż od Helu przywędrowały na powitanie zamorskich włóczęgów poczciwe słonki a ścigłe jak szkwały mewy, rybitwy uwijały się skwapliwie, przejęte rolą gościnnych gospodarzy…

Spojrzenie siostry Agnieszki znużone zgiełkiem wędrownego ptactwa przesunęło się leniwo po piasku najbliższego wybrzeża, musnęło przelotnie przedpola podklasztornego masywu i pomknęło w dal wzdłuż strądu na zachód. Tam, w perspektywie bez końca wyciągała się linia pobrzeża: strome klify, obsuwy, dzikie, złotym jerkiem zarosłe spychy i obrywy, kępami dzikich róż, szafranem strojne uskoki lisich jarów, jaźwców — borsuków przytułki, oślepiająco białe, charszczem po wierzchu zjeżone duny[31] i wydmy, lotne, kapryśne, wichrom morskim na wolę zdane stogi piachów, z dnia na dzień wygląd zmieniające obtule i osypiska; a niżej, pomiędzy ścianami spychów i wydm a poszarpaną we frędzle fal i piany linią morza szeroka, złocistym miałem wyścielona płaskoć; spod piasku wyzierające to tu, to tam głowy głazów i buły żwirów z wiszarów nadbrzeżnych rodem, marglowe odpryski lub miotem fal na strąd wyrzucone przybłędy; miejscami zamiast plaży twardy, kamieniem i krzemem nastroszony ździar, pusty, bezpłodny spłacheć lądu — stolemów — wielkoludów nocne koczowisko…

Olśnione bielą piasków oczy mniszki cofnęły się z linii pobrzeża i spoczęły z uczuciem ulgi na zboczach klasztornego przylądka.

Ten występ skalny, wdzierający się ostro w morze wysokim na 100 m wiszarem, był na tym niskim, nigdzie nie przenoszącym 60 m i pozbawionym skał wybrzeżu czymś wyjątkowym. Podobno przed 200 laty nikt nic o nim jeszcze nie wiedział; na miejscu, gdzie teraz wznosił się klasztor Morskich Panien, wyciągała się równo, niby pod sznur, jak gdzie indziej w tej stronie północnego strądu, urwista, pod naporem przyboju krusząca się, nie wyższa ponad 50 m pierzeja marglowych obrywów. Starzy rybacy ze Swarzewskiej Kępy opowiadali, że dzisiejsza rozkal klasztorna była tajemniczym dziełem jednej burzliwej, rozhukanej rykiem bałwanów nocy. Takiego sztormu podobno nie pamiętali najstarsi ludzie. Ziemia drżała w posadach od miotu przelewy, a straszliwa denega[32] wdzierała się daleko w głąb lądu. Koło północy, gdy nasilenie szkwału doszło do zenitu, cały strąd zatrząsł się nagle i wśród oślepiającego światła i huku piorunów podniosła się

[30]*bujowisko* — sfalowane morze. [przypis edytorski]

[31]*duna* — wydma piasku, zaspa, morska góra. [przypis edytorski]

[32]*denega* (reg.) — wzburzone morze. [przypis edytorski]

z głębin morza jakaś czarna, gigantyczna masa. Potem od razu wszystko ucichło i nieprzeniknione mroki okryły ląd i wody. Nazajutrz, w ponury, listopadowy świt spostrzegli okoliczni, podle latarni rozewskiej bytujący rybacy po raz pierwszy skalisty blok nowego przylądka wyrzucony z otchłani wolą morza. W parę lat potem wystawiono na tym miejscu klasztor, w którym zamieszkały Morskie Panny. Lecz wśród ludu rybackiego przystrądzia utrzymywało się po dziś dzień mniemanie, że pustelnia nadmorskich klasztornic została właściwie tylko odbudowana na ruinach dawniejszego, zamierzchłych już czasów sięgającego klasztoru; niektórzy nawet utrzymywali, że przed pamiętną nocą listopadową można było dopatrzyć się na nadbrzeżnych spychach szczątków prastarych murów i resztek klasztornego sadu. Ile w tych gawędach było prawdy, nie wiadomo — to pewna, że dzisiejszy klasztor panien anuncjatek był eremem stosunkowo młodym, że smukłe, gotyckie jego wieżyce strzelały w niebo od lat niespełna dwustu...

Zatopiona w kontemplacji siostra Agnes nie zauważyła, że niskie, jesienne słońce zakreśliło tymczasem spory krąg nad wschodnią krawędzią horyzontu i było już na trawersie[33] niebieskim latarni. Przeto gdy przyszło na nią ocknienie z zadumy, pożegnała morze ostatnim, miłującym spojrzeniem i zeszła po stopniach w dół, na wysypaną żwirem i piaskiem ścieżkę ogrodu. Owionęła ją woń dojrzałych jabłek i grusz. Wypielęgnowane troskliwą dłonią siostry Benigny, ogrodniczki, podparte starannie na tyczkach i wsparach drzewa godowały w słońcu ważkie od chylących się ku ziemi spławów. Pod murem dziewki służebne otrząsały przeciążone już nad miarę śliwy i zgarniały do koszy i smukłych solówek rzęsny pokot. Na zakręcie ścieżki, u wejścia do alei agrestowej stała siostra Benigna. Ogrodniczka, zakasawszy przydługie rękawy habitu, przechylała „kulą" gałęzie rozłożystej bergamotki i wspiąwszy się na palcach, obrywała dościgłe[34] już, cudownie zarumienione gruszki, które w lot chwytała do rozpostartego fartucha obok stojąca Dorotka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowiła pracującą siostrę wikaria.

— Na wieki wieków! — odparła zaróżowiona od wysiłku Benigna i skierowała na towarzyszkę swe łagodne, ciemnoorzechowe oczy.

— Pozwolisz siostro, że ci pomogę przy pracy — zrobiła nieśmiałą propozycję nieco zmieszana Agnieszka. — Doprawdy wstyd mi mego próżniactwa, gdy was widzę tak utrudzone przy drzewach.

— Bóg zapłać za dobre chęci — podziękowała ogrodniczka, oddając „kulę" służebnej dziewczynie. — Wyręczy nas obie doskonale Dorotka. Nie dla ciebie to, siostro, zajęcie; szkoła, chór i biblioteka i tak ci wypełniają dzień cały po brzegi. Lecz teraz, gdy mamy trochę wolnego czasu i nadarza się po temu sposobność, muszę pochwalić się swoim ogródkiem.

— Z prawdziwą przyjemnością obejrzę twe dzieło, siostro.

I ująwszy pod ramię przyjaciółkę, odeszła z nią na lewo, pomiędzy grządki i klomby.

Było tu ciszej niż w reszcie sadu; szum morza przytłumiony wysoką, czterometrową ścianą muru klasztornego, ściszony odsunięciem tej partii ogrodu w głąb lądowej calizny dochodził tu rytmem zgłuszonym, dyskretnym. Cisze porannej godziny podkreślał łagodny blask jesiennego słońca, co kładąc się na prostokąty i kwadraty grządek, znaczyło na nich złocisto-rdzawą minią ślady swej wędrówki.

— Oto mój ogródek liturgiczny, siostro — przerwała milczenie Benigna.

I wskazała na kąpiące się w słońcu kwiaty i zioła.

— Piękna i bogata kolekcja — pochwaliła Agnes, przypatrując się jakiejś roślince o gronkach różowawych na włochatej łodydze. — Co to za kwiat?

— To czarnokwit, zioło poświęcone św. Stefanowi. A ten kwiat obok o barwach miedzianych, gorzki w posmaku i aromatyczny, to wrotycz, przyjaciel skał i kamieni, środek niezawodny na kurcze nerwowe. Sąsiadujące z nim różowe i białe zawilce są, podobnie jak lilie, symbolem dziewictwa; tulipany, dzwonki i słoneczniki przypominają kształtami i barwą monstrancję, rosnąca opodal cierpiętnica, passiflora, naśladuje narzędzia Męki Pańskiej. Ów skromnie kryjący się w cieniu towarzyszy kwiatuszek to baldrian, czyli koziołek lekarski, poświęcony św. Jerzemu; odwar z niego wypity leczy choroby nerwowe.

[33]*na trawersie* — na poziomie, na wysokości. [przypis autorski]
[34]*dościgły* (daw.) — dojrzały (o owocu). [przypis edytorski]

— Jak widzę — przerwała jej z uśmiechem wikaria — pielęgnujesz twe ziółka, siostro, nie tylko przez wzgląd na ich symbolikę liturgiczną; przy doborze kwiatów kierujesz się też celami praktycznymi.

— Naturalnie, siostro, naturalnie; zastosowuję je w miarę potrzeby też jako lekarstwa dla chorych w naszym szpitaliku; pełnię przecież obok obowiązków ogrodniczki też funkcje przygodnej infimerki przy klasztornej niemocnicy. Lecz może moje szczegółowe wywody i informacje nużą cię, siostro?

— Przeciwnie; słucham z prawdziwym zajęciem. Kocham kwiaty i zioła nie mniej od ciebie, siostrzyczko.

Przeszły do dalszych grządek. Postacie ich wiotkie, dziewicze, w kwef zakonny spowite pochylały się z wdziękiem nad rozsłonecznioną osadą roślin, obejmowały tkliwym, macierzyńskim spojrzeniem zarówno bujną pychę róż i georginii, jak szarą, do podglebia tulącą się pokorę zielnego pospólstwa. Bo i jedne, i drugie miały swe zalety i nieraz nikłe, niepokaźne ziółko posiadało większą moc i siłę leczniczą niż strojni a bezużyteczni towarzysze. Siostra Benigna z zapałem zawodowej ogrodniczki i botanika wymieniała nazwy swych roślinek, tłumaczyła ich subtelną symbolikę i wyliczała własności. Dużą swą erudycję pod tym względem zawdzięczała mniszka starej rybaczce z pobrzeża, Otylii, odwiedzającej często klasztor i pełniącej pewne posługi na zakonnym folwarku, oraz znacznemu oczytaniu w dziełach z zakresu botaniki i florystyki; zwłaszcza z zamiłowaniem wielkim studiowała Benigna prace średniowiecznych uczonych i lubiła powoływać się na nomenklaturę staropolskich zielników-herbarzy. Bezwzględnym autorytetem był dla niej Albert Wielki i jego traktat o zaletach roślin. Stąd poglądy jej botaniczne miały dziwny, swoisty charakter zabarwiony na pół uczonością książkową, na pół naiwną przesądnością i symbolizmem w stylu ludowym. Z objaśnień ogrodniczki wysnuwały się całe girlandy tajemniczych gawęd i opowieści, wyrastał świat baśni i dziwów; w entuzjastycznej interpretacji siostry zakonnej przekształcały się skromne prostokąty grządek i klombów w zaczarowany ogrójec ludowej klechdy i liturgicznego mitu.

Z opowieści tych dowiedziała się siostra Agnes, że jemioła, oplątująca upartymi ramionami pień odwiecznego dębu przy głównej alei „otwiera zamki", że amarantowa macierzanka leczy ukąszenia węży, a jaskółcze ziele przyłożone do głowy obłożnie chorego przepowiada szeptem jego wyzdrowienie lub śmierć nieuniknioną. Soczewica spożyta na wieczerzę podobno wywoływała złowróżbne sny żałoby, sok rozchodnika wypity na czczo czynił nieczułym na żar ognia i pozwalał chwytać bezkarnie rozpalone żelazo; czosnek chronił przed urokami, korzeń babki polnej pomagał na ból głowy, pierścień uwity z listków mirtu otwierał wrzody; koper przerywał u kobiet zastoiny krwi miesięcznej, biedrzeniec przyłożony do piersi lub brzucha chronił przed myślami lubieżnymi, podczas gdy malwa zdradzała utratę dziewictwa. Szczególną rośliną była paproć, która zasadzona w wazonku rozpraszała nocne zmory i chroniła przed gradem i czarami; szatan unikał jej podobno. Liście słodkiej dziewanny zgotowane i użyte jako kataplazmy koiły bóle żołądka, gorczycznik św. Barbary, ubożuchne ziele przydrożne, leczył gnilec. Dziwne też własności posiadała staropolska bylica, którą przepasują się dziewoje w święto Sobótki u poety z Czarnolasu. Zerwana w cudowną noc św. Jana i zawieszona w izbie u nadproża broni od czarów, pioruna i złowieszczych zjaw.

Część pielęgnowanych przez siostrę Benignę kwiatów i krzewów zawdzięczała swój byt klasztorny wyłącznie związanej z nimi symbolice. I tak tulący się do murów i kamiennych przepierzeń pomurnik poświęcony św. Annie symbolizował ubóstwo — wonna rezeda jako kwiat Najświętszej Panny oznaczała słodycz duszy — powój i fiołek pokorę — tymian pracowitość, a przyziemny mech samotność i oderwanie się od dóbr ziemskich. Te skromne, nikłe kwiatuszki, zepchnięte gdzie indziej na szary koniec, cieszyły się tutaj szczególnymi względami, bo przypominały cnoty zakonne i ewangeliczną prostotę.

I pyszne, purpurowe róże prężące ku słońcu pełne pąki spoza oszklonych ścian cieplarni znalazły się tutaj nie tyle dla swej bujnej krasy, ile przez wzgląd na symbolikę barwy i cierni: oznaczały męczeństwo. Żałobny cyprys, strażnik grobów był wieczystym *memento*[35] śmierci, łagodny mirt uczył współczucia, osty i bodiaki nawoływały do pokuty i ascezy. Trójlistna koniczyna była ziołem Trójcy Św., winograd Eucharystii, a wzgardzo-

[35]*memento* (łac.) — dosł.: pamiętaj; tu: znak przypomnienia. [przypis edytorski]

ne, po kątach ogrodu kryjące się ciernie i chaszcze symbolem bogactwa gromadzonego przez chciwość i zachłanność ze szkodą dla duszy.

— Rewia skończona — rzekła w pewnej chwili siostra Benigna i podniosła od grządek zamyślone spojrzenie w głąb ogrodu. — Muszę wracać do Dorotki i skończyć moje pensum[36] poranne przed obiadem.

— A mnie czas do szkółki i dzieci. Żegnaj, siostro!

Rozeszły się. Ogrodniczka pospieszyła z powrotem pomiędzy drzewa owocowe, wikaria skręciła w aleję główną wiodącą ku klasztorowi.

Spoza żółkniejącego już listowia lip i kasztanów rysowały się jego wieże na jesiennym lazurze nieba niby strzeliste, do modlitwy wyciągnięte dłonie. Aleja, zrazu biegnąca równolegle do muru i nadbrzeżnych spychów, załamywała się w połowie i zbaczała w głąb lądu ku masywowi eremu[37]. Bo bezpośrednio z morzem stykał się klasztor tylko w jednym miejscu, tj. tam, gdzie jego północne skrzydło wydłużało się w stronę roztoczy i przechodziło w terasę przylądka; zrąb pustelni wraz z kościołem i wieżycą dzwonową rozsiadł się w głębi lądowej calizny. Od morza odgradzała go stroma skała występu, na której szczycie rozpościerała się terasa — od lądu okalał go wysoki, czterometrowy, zjeżony bolcami żeleźców mur, poczynający się tuż u nasady przylądka i opasujący wkoło opiekuńczymi ramionami całą dziedzinę klasztorną wraz z folwarkiem w promieniu kilku kilometrów; mur ten zbudowany z bloków i ciosów czerwonego granitu biegł równolegle do morza w pewnej odległości od linii spychów na wschód i na zachód od skalistej wystawy przylądka, po czym pod ostrym kątem zbaczał z obu stron w głąb lądu, odcinając zacisze klasztorne od reszty świata szerokim rozmachem kamiennych skrzydeł.

Wikaria zmierzała przyśpieszonym krokiem ku południowej partii zabudowań klasztornych, gdzie mieściła się szkółka dla sierót i szpital — niemocnica. Mianowana przez ksienię magistrą nowicjuszek i wikarią siostra Agnieszka była też prefektą szkoły i czuwała nad wychowaniem biednych, bezdomnych sierotek.

Właśnie trafiła na przerwę. Z podsieni klasztornych wypadła gromadka jasnowłosych dzieciaków i rozsypała się jak bursztynowe paciorki różańca po wirydarzu pod wieżą dzwonnicy. Za nimi wysunęły się z mrocznych gardzieli korytarza błękitne habity sióstr-nauczycielek i nowicjuszek.

Dzieci, spostrzegłszy z daleka zbliżającą się postać siostry Agnieszki, rzuciły się pędem ku niej wśród objawów żywej radości.

— Mateczka prefekta idzie! Mateczka dyrektorka nadchodzi! — wołało kilkanaście głosów na powitanie. I przypadłszy do Agnieszki, przyciskały do jej rąk różowe usteczka i buziaki; młodsze czepiały się fałdów jej sukni lub zwieszały się całym ciężarem ciała z jej ramion; jakaś czteroletnia sierotka o oczach barwy nadmorskiego chabru, korzystając z tego, że Agnes pod atakiem dziatwy pochyliła się ku ziemi i uklękła, objęła jej rączkami szyję i tuląc się do niej, szeptała w upojeniu:

— Nie puszczę mojej mateczki, nie puszczę.

— Udusisz mnie, Rozalko — broniła się wzruszona Agnieszka, na próżno usiłując oswobodzić się z ucisku sierocych ramion.

— Nie dam nikomu mojej mateczki, nie dam nikomu — odpowiadała mała, garnąc się do jej piersi.

Wtedy mniszka wzięła ją na ręce i powstawszy z klęczek, podeszła do reszty dzieci. Tu przywitały ją starsze dziewczynki, przeważnie sieroty po zaginionych rybakach i marynarzach. „Gospodyni klasowa”, konwerska Marta w kilku słowach zdała sprawę z zachowania się pupilek i prosiła o wskazówki. Prefekta, wysłuchawszy relacji, pochwaliła pilne, skarciła opieszałe, po czym zaczęła przeglądać zeszyty i tabliczki zapełnione pierwszymi, nieudolnymi próbami liter i cyfr. W parę minut potem zabrzmiał dzwonek i nieletnia rzesza odpłynęła powrotną falą do izb szkolnych. Siostra prefekta w towarzystwie magistry Marty przestąpiła próg klasy czwartej, bo chciała przysłuchać się lekcji języka ojczystego. Godzinę poświęcono lekturze *Kwiatków św. Franciszka z Asyżu* w wybornym przekładzie Leopolda Staffa. Proste a głębokie opowieści Chrystusowego „biedaczyny”, nacechowane ewangeliczną pokorą i miłością porywały ku sobie serca rybaczej dziatwy.

[36]*pensum* (z łac.) — określona (np. poprzez liczbę godzin roboczych) ilość dziennej pracy do wykonania. [przypis edytorski]

[37]*erem* — klasztor. [przypis autorski]

Wśród ogromnej ciszy odczytywała „premiantka" klasowa, Elza Mrochówna, sierota po szyprze z Poczernina, jedno z przedziwnych przemówień świętego do „braci zwierząt". Z zapartym tchem wsłuchiwały się bezdomne córki morza i strądu w słowa ciche, dobre i pełne cudownej poezji, łowiły chciwym uchem wyrazy serdeczne, wprost z duszy do duszy płynące, jak macierzanka wonne. I zdało im się, że to one są siostrzyczkami rybami, do których każe[38] święty, że to one wyszły na brzeg z rozpękłej fali i złożyły ciekawe pyszczki na piasek płaskoci, by zachłysnąć się bodaj na chwilę słowem bożym. Jako te rybki były z przypowieści, jako te ptaszki, braciszkowie młodsi...

Godzina lekcyjna minęła jak piękny sen; gdy nagle odezwał się dzwonek na rekreację, zasłuchane dzieciaki nie ruszyły się z miejsca. Słodko uśmiechnięte, z oczyma pełnymi dobrych, rzewnych blasków dały mniszki hasło do opuszczenia klasy. Dziewczątka usłuchały wezwania z widocznym żalem. Nauka poranna była skończona.

Pozostawała do obiadu jeszcze godzina czasu. Należało skorzystać ze sposobności i odwiedzić kochaną siostrę Marię, Augustynę, prokurzystke i zarządczynię klasztornego folwarku. W towarzystwie siostry Bernardy poszła Agnieszka w stronę odległych o kilometr obór i mleczarni. Po kwadransie drogi stanęły u celu. Właśnie siostra pasterka przypędziła krowy z wygonu i ruch wielki wszczął się na folwarcznym dziedzińcu. Dziewki służebne przysiadły się wnet z skopcami do poczciwych krasul i kalin i zaczęły naciskać palcami sutki nabrzmiałych mlekiem ich wymion. Biały, gęsty, słodki płyn wytryskał dużymi kroplami z napęczniałych brodawek i z charakterystycznym, cykającym szmerem ściekał w podstawione naczynia. Udój przypołudniowy był dnia tego nader obfity.

Maria Augustyna krzątała się żwawo koło kurnika i chlewów, doglądając osobiście ważnej sprawy wykarmu swych pupilów. Oparta plecami o ramię studziennego żurawia, otoczona rozkrzyczaną gawiedzią czubatek, kogutów, pantarek-perlic i indyków rozrzucała szerokim, dobroczynnym gestem ręki ziarno i krupy. Z wzniesionego wysoko ponad ciżbiącym się drobiem rzeszota wypływały co chwila w równych, odmierzonych odstępach czasu kaskady złotych pereł i paciorków i półokrągłym ruchem paraboli spadały pomiędzy łakomych biesiadników. Z uśmiechem na dobrych, trochę za szerokich ustach obserwowała zakonnica efekt swej siejby. Lubiła znać bardzo przypatrywać się tej skwapliwej ochocie, z jaką jej „stołownicy" rzucali się na karmię i wydzierali sobie nawzajem smaczniejsze kąski.

— Pomału, pomału, czubatko — upominała od czasu do czasu to tę, to ową żarłoczniejszą kurę. — Nie śpiesz się tak bardzo; będzie dość z ciebie; zostaw trochę i dla innych.

— A ty sobku jakiś! — gniewała się znów po chwili na imponującego koguta, który wszystko chciał zagarnąć dla siebie. — Wstydziłbyś się, nicponiu, porywać sprzed nosa kureczkom najpiękniejsze ziarna! A gdzie kurtuazja dla płci pięknej, samolubie?

Równocześnie nie spuszczała z oka tego, co się działo w sąsiednich partiach folwarku. Opodal przy korytku karmiły dziewki służebne stadko wieprzaków i świń. Ucho siostry z przyjemnością wsłuchiwało się w idące stamtąd szmery i dźwięki: Maria Augustyna lubiła te pochrząkiwania, pomruki, pomlaskiwania, te chrumkające objawy zadowolenia tuczącej się rzeszy.

— A nie szczędź im strawy, Kasina — odezwała się do dorodnej, czarnowłosej dziewuchy stojącej przy jednym z koryt. — Dolej im jeszcze trochę tej „zawłoki" z grysu i pokrzywy, niech sobie pojedzą do syta poczciwe warchlaki.

Jakby rozumiejąc, że o nich mowa, podniosło parę bialutkich jak śnieg świnek ciekawe, różowe ryjki od koryta i wyciągnęło je przyjaźnie w stronę troskliwej o ich dobro i błogostan pani. Lecz Maria Augustyna nie widziała już tych dowodów wdzięczności, gdyż uwagę jej zwróciło na siebie przybycie wikarii z siostrą Bernardą. Z daleka już ujrzawszy nadchodzące, wyrzuciła z przetaku ostatnią przygarść karmy i pełna uśmiechów w siwych, znużonych już wiekiem oczach pospieszyła im na spotkanie:

— Co za goście! Co za mili goście! — wołała, obejmując obie ciepłym, macierzyńskim spojrzeniem. — *Venite, appropinquate, ancillae Domini*[39]! — zapraszała gościnnie do wnętrza folwarku. — Właśnie skończyłam karmienie drobiu i zabieram się do prze-

[38]*kazać* — tu: wygłaszać kazanie. [przypis edytorski]

[39]*venite, appropinquate, ancillae Domini* — Bywajcie, służebnice Pana. [przypis autorski]

prowadzenia rachunków i przydziału prowiantów dla klasztoru. Jak się ma dzisiaj matka Beata?

— Nasza święta chora czuje się lepiej. Byłam dziś u niej rano przed jutrznią. Lecz wciąż jeszcze nie może wstawać; jest zbyt osłabiona. Kazała was serdecznie pozdrowić, siostro — objaśniała Bernarda.

Weszły w sień na lewym skrzydle budynku folwarcznego.

— Zanim zaglądniemy do mojej „kancelarii", może zechcecie obejrzeć sernicę? — zaproponowała siostra prokurzystka.

— Owszem, rade byśmy bardzo przypatrzyć się waszej robocie, siostro; sery z folwarku są niezrównane — odparła z uznaniem Agnieszka, wiedząc, że Maria Augustyna dumna była na[40] wytwory swego folwarku i nader czuła na pochwały.

— Musicie znać, siostro, jakieś specjalne arkana wyciskania twarogu — sekundowała jej dzielnie Bernarda. — Podobno i poza granicami klasztoru ludzie się go nachwalić nie mogą.

Maria Augustyna promieniała z zadowolenia.

— Nie tyle może ja, ile nasza poczciwa Otylia — odpowiedziała skromnie.

Cień przesunął się po pięknej twarzy wikarii.

— Otylia, wdowa po Paczuli? Ona wciąż jeszcze na waszym folwarku? — zapytała niechętnie.

— Ta sama, siostro Agnieszko, ta sama. Bardzo dzielna pracownica.

— Wolałabym się z nią tutaj nie spotkać.

— W takim razie proszę za mną wprost do mego „biura". Dlaczego nie lubicie jej, siostro wikario?

— Sprawia na mnie wrażenie kobiety z gruntu cynicznej. Nie lubię wdawać się z nią w rozmowę.

— Nie zawsze była taka — wzięła ją w obronę Maria Augustyna. — Jestem starsza od was, siostro, i pamiętam ją z dawniejszych lat. Bieda, nieszczęście, utrata męża napełniły jej serce goryczą i stąd może trochę za szorstka w słowach.

— Nie chodzi mi o szorstkość obejścia, siostro, tylko o dziwny, zwłaszcza u kobiety z ludu, sceptycyzm w rzeczach wiary. Rozmawiałam z nią parę razy, lecz zawsze dysputy nasze kończyły się rozdźwiękiem. Jestem głęboko przekonana, że dla Otylii Paczulanki nie ma na świecie nic świętego.

— Być może; nie będę się sprzeczała. Trzymam ją na folwarku, bo biedna i musi zarobić na chleb codzienny a pracuje wybornie. Lecz oto jesteśmy już na miejscu. Proszę: oto moje „biuro" i „kancelaria" folwarczna; rozgośćcie się jak u siebie.

Mniszki weszły do obszernej, starannie wybielonej izby. Na środku stał stół zarzucony arkuszami rejestrów i ćwiartkami papieru zapełnionymi kolumnami liczb i cyfr. Nad tym „biurkiem", na ścianie wisiał czarny krucyfiks, a nad nim obraz św. Alojzego. Parę krzeseł i duża ława pod oknem uzupełniały urządzenie wnętrza.

Na ławie siedział stary rybak, Kaszub, który spostrzegłszy wchodzące, podniósł się, składając głęboki ukłon.

— Przyszliście nas odwiedzić znów, panie Antoni — powitała go siostra prokurzystka. — A z pełnym?

I spojrzała z uśmiechem na pojemną, wyplataną z prętów wikliny „karznię", z której wnętrza szedł na izbę mocny, rybi obrzask.

— Ninia[41]! Z pomocą Pana Jezusa, z pełnom.

I odkrył z dumą płachtę przykrywającą zawartość kosza. Mniszka okiem znawczyni objęła towar.

— Piękny połów, panie Antoni, bardzo piękny.

Z wnętrza karzni błysnęło łuskami podbrzuszy parę łososi, jesiotrów i węgorzy.

— Antoni Pioch, nasz stary przyjaciel i dostawca klasztorny — przedstawiła rybaka siostrom Maria Augustyna.

— Kiedy spodziewacie się ciągu śledzi, ojcze? — zagadnęła go przyjaźnie Agnieszka.

Starzec uśmiechnął się dobrotliwie ubawiony trochę znać naiwnością pytania.

[40]*dumna była na co* — dziś popr.: dumna była z czego. [przypis edytorski]
[41]*ninia!* — po kaszubsku: hej!, a jakże!, no! [przypis autorski]

— Śledzi, matko dobrodziejko? Nie pora jeszcze na nie, nie pora. Śledź i szprot, wiadomo: ryba zimowa; od Szwedo ciągne dopiro w czos godów[42], a do godnika[43] daleko. Pomuchle łowim w te czasy, matko wielebno, dorsze łowim i brzony, gdy głada[44] na łowiszczu, a w słodkiej wodze bodzionki[45] i jesiotry.

— A piękna pogoda długo jeszcze wytrzyma? — wmieszała się do rozmowy siostra Bernarda.

— Bogać tam! Wnetki przyndą sztormy i dma okrutna zmątwi wodne płanie. Pomykać musim z wątonami[46] i drgubą[47], póki czas. Gdy zejdze nos wielko wiejbo, porwie postronki i uwięzie, i poniesie na bystrz! Wtedy i kwaczą[48] nie zgonisz.

Tymczasem siostra prokurzystka policzyła ryby i należytość. Stary z zadowoleniem odebrał pieniądze i schował do skórzanej sakiewki.

— Ostawajcie z Ponem Jezusem, matki wielebne — pożegnał mniszki, zabierając się do wyjścia. — Za tydzień, gdy wyciągnemy więcerze i pławnice zapuszczone w jeziorze podle Mewiej Rewy, przynde tu snowu. Rybo z cichego połowu peszna[49]; same snaże[50] sztuki.

— Pan Jezus niech was prowadzi, ojcze. Do widzenia! Szczęśliwego połowu! — odpowiedziały mu siostry.

Nacisnął na głowę uszatą „mucę" i zniknął w drzwiach. Z oddali nadpłynął przedpołudniowy *Angelus* dzwonów. Zbliżał się obiad i *meridiana*[51]. Należało wracać do klasztoru. Przeprowadzone przez Marię Augustynę aż do opłotków folwarcznych zakonnice pożegnały ją serdecznie, obiecując rychłą powtórną wizytę, po czym zwróciły się na lewo w kierunku „starego klasztoru".

Agnieszka, znająca tę partię tylko z planu przechowywanego w archiwum klasztornym, umyślnie wybrała tę drogę, by poznać i to tajemnicze, mało odwiedzane przez siostry zakonne ustronie. Zakątek zwany „starym klasztorem" obejmował odległy, trójkątny wyimek gruntu na zachodnim krańcu klasztornych włości; ujęty z dwóch stron pierzejami granicznego muru, oddzielony od reszty posiadłości żywopłotem cierni i tarniny, stanowił on dla siebie zamkniętą, pełną dzikiego uroku oazę. Wedle podania tam właśnie wznosił się przed wiekami stary klasztor, którego szczątki widziała jeszcze pierwsza ksieni nowego, o parę stajań na wschód zbudowanego monasteru. Podobno z tych właśnie szczątków wystawiono później na pamiątkę małą, skrętami dzikiego wina oplecioną kapliczkę z wizerunkiem Najświętszej Panny we wnętrzu. Prócz tej świątyńki powstałej z ruin dawnego eremu[52], jedynym zabytkiem z owych odległych, zamierzchłych już czasów była aleja porzeczkowa, biegnąca od kapliczki równolegle do muru i linii morza. Miejsce to w opinii starszych zakonnic było „partią zakazaną". Jakoż nie stało się nigdy terenem wspólnych przechadzek i rekreacji; mniszki unikały go widocznie. Mateczki i starsze siostry nie zapuszczały się nigdy same w tę stronę, zaś nowicjuszkom, konwerskom i siostrom postulantkom wzbronione były samotne przechadzki po odleglejszych partiach klasztornej dziedziny. Zagadnięta raz w tej kwestii przez Agnieszkę ksieni Anastazja dała jej wymijającą odpowiedź, nie zabraniając jednak wyraźnie odwiedzania tej części ogrodu. W ogóle z czasem utrwaliło się w wikarii wrażenie, że zwłaszcza starsze, wtajemniczone w przeszłość i dzieje pierwszego klasztoru zakonnice, odnoszą się do zagadkowego ustronia jakby z uczuciem lęku i przesądnej trwogi.

Pewne światło na sprawę rzuciło przypadkowe odkrycie uczynione przez nią przed paru dniami w archiwum klasztornym pozostającym pod jej zarządem i opieką. Porządkując stare rękopisy i ulotne druki, wpadła siostra Agnieszka mimo woli na trop dziwnej opowieści związanej z dziejami starego klasztoru. To, co wyczytała na pożółkłym ze

[42]*czas godów* — Boże Narodzenie. [przypis autorski]
[43]*godnik* — grudzień. [przypis autorski]
[44]*głada* — pogoda. [przypis autorski]
[45]*bodzionki* — węgorze. [przypis autorski]
[46]*wąton* — rodzaj sieci. [przypis autorski]
[47]*drguba* — rodzaj sieci. [przypis autorski]
[48]*kwacz* — rodzaj statku. [przypis autorski]
[49]*peszna* — Pyszna. [przypis autorski]
[50]*snaże* — Piękne. [przypis autorski]
[51]*meridiana* — w klasztorze: godzina kanoniczna południowa. [przypis autorski]
[52]*erem* — [pustelnia; tu:] klasztor. [przypis autorski]

starości, na pół strawionym przez mole skrawku papieru, zdawało się wyjaśniać po części zachowanie się niektórych zakonnic. I chociaż historia brzmiała trochę fantastycznie i nieprawdopodobnie, niemniej podziałała silnie na wyobraźnię wikarii i skłoniła ją do odwiedzenia „zakazanej strony". A właśnie minąwszy folwarczny wygon i mały olchowy bugaj, zbliżały się do cierniowego żywopłotu. Agnes na chwilę zawahała się:

— Iść dalej, czy zboczyć na prawo?

Lecz ciekawość kobieca przemogła skrupuły i zdecydowanym ruchem pociągnęła za sobą przyjaciółkę ku alei. Nie szukały jej już długo; wkrótce żywopłot rozstąpił się kształtem naturalnej szczerby i przez ten wyłom przepuścił je do wnętrza zakątka. Znalazły się u wylotu długiej, wąskiej ścieżki biegnącej między szpalerami tarnin i porzeczek; na krańcu alei, w odległej perspektywie widniała mała, bluszczem i pnączami winogradu osnuta kapliczka. Owładnięte przez dziwny nastrój, którym tchnęło miejsce, zakonnice mimo woli zatrzymały się.

Oblane rdzawym, jesiennym słońcem krzewy i chaszcze drzemały senne i zadumane; śniły im się może wspomnienia dawnych lat, majaczyły w słonecznej topieli zdarzenia przeszłych dni, co tu się rozegrały fatalnie? Na ścieżkę białą, wyzłoconą słońcem padały w poprzek cienie ich ostre, głębokie i haftowały na piasku krzyżowy wzorzec zagadek. Tam w głębi, pod murem popielata plama świątyńki w oplotach dzikiego wina z rubinowym sercem lampki wieczystej, tam wyżej, ponad zrębem turkusowy strop nieba i wzdęty, bławy[53] klosz morza. I żadnego głosu, żadnego dźwięku prócz rytmu jego chorałów — dostojnych, odwiecznych… Wtem uczuła wikaria, że Bernarda drżąca cała opiera się o jej ramię.

— Siostro — szeptała — spójrz w tamtą stronę, siostro! Czy nic nie widzisz?

Na tle kapliczki zarysowała się postać mężczyzny w zakonnym habicie; długa, krucza broda okalała twarz bladą, pociągłą, z parą głęboko osadzonych, płomiennych oczu; te oczy wpatrywały się uporczywie w Agnieszkę. Nieznajomy zakonnik szedł z głębi alei ku nim. Gdy przebył połowę dzielącej ich przestrzeni, wikaria, otrząsając się z odrętwienia, chwyciła krzyż wiszący jej na piersi i wyciągnęła go ku niemu gestem obrony.

Na twarzy mnicha pojawił się uśmiech na pół bolesny, na pół ironiczny; zawahał się, zakołysał i nagle rozwiał bez śladu.

— To było widmo pokutnika — szepnęła siostra Agnieszka, słaniając się w objęciach młodych, silnych ramion Bernardy.

— Co to wam, siostro? — pytała tamta, podtrzymując drżącą i wybladłą.

— Nic już, nic. Przelękłam się trochę. Już przeszło. Lecz proszę cię, siostro, bardzo gorąco proszę: nie mów nikomu o tym, cośmy tu widziały.

— Nie powiem, siostro wikario.

— A teraz pomódlmy się za jego duszę.

— Pomódlmy się, siostro.

I ukląkłszy, odmówiły *Ojcze nasz* i *Zdrowaś*. Potem zamyślone odeszły aleją w stronę klasztoru.

DZIECI MORZA

Słońce przetoczyło się już na zachodnią połać nieba, gdy Antoni Pioch wracał z klasztoru z wypróżnioną karznią. Droga szła mu najpierw urwistym wiszarem przylądka, spadała potem równią pochyłą na wysokość 50 m ponad płań morza i przechodziła w ścieżynę obrzeżającą niby wąska krajka rąbek spychów. Po prawej jeżyła się jesienną szczecią pól ledzena[54], drzemały w mrokach pażyce[55] i wilgotne okola, po lewej bielała płaskoć strądu i bławiło[56] się morze. Lekka morka wiejąca ze wschodu kędzierzawiła fale, wtórząc nieuchwytną gędźbą szumowi bujowiska[57].

Pioch wsłuchiwał się z lubością w tę gędźbę[58] i w ten szum, jednoczył się z nimi wszystkimi zmysłami, zlewał duszą, chłonął je, upijał się nimi niby trunkiem. Zupełnie jak

[53] *bławy* (daw.) — bladoniebieski, modrawy. [przypis edytorski]
[54] *ledzena* (reg.) — ściernisko (po kaszubsku). [przypis autorski]
[55] *pażyce* — łąki. [przypis autorski]
[56] *bławić się* — niebieszczyć się, błękitnieć. [przypis edytorski]
[57] *bujowisko* — sfalowane morze. [przypis edytorski]
[58] *gędźba* (daw., gw.) — śpiew. [przypis edytorski]

przed laty, gdy był jeszcze małym böbem remki[59] udźwignąć niezdolnym, gdy go nenka[60] po raz pierwszy na strąd z checzy wyprowadziła. Od owej chwili nic nie zmieniło w nim uwielbienia dla potężnego żywiołu; pogłębiło się ono może tylko, zmężniało i nabrało cech bałwochwalczej czci i zachwytu. Więc jak przed laty słuchał i podziwiał…

W trzech rytmach uderzało morze o wargi strądu. Pierwszy, wprost z trzewiów otchłani wydarty, z samego podglebia rodem przynosił lądowi głuche, kotłowiskiem wód zmącone wieści o głębinie i śpiewał legendę dna…

Drugi, w ślad za tamtym zdążający, opowiadał światu o wiecznym znoju fal, o tęsknocie włóczebnej ich doli i tułaczce bez kresów — wygrywał na strzępiatych grzbietach greling[61] pieśń latających Holendrów…

Ostatni, najcichszy, niby westchnienie ulgi po trudach był rytmem ukojenia; łagodna już, wysiłkiem ataków poprzednich wyczerpana fala głosiła chwilę odpoczynku i wytchnienia…

Antoni Pioch zatrzymał się nad brzegiem Borsuczego Jaru i ogarnął spojrzeniem roztocz. Rozmach morza był o tej godzinie silniejszy niż w południe: spienione jego zasięgi wbiegały daleko w ląd wyciągniętymi ostro jęzorami. Morze

Pioch wpatrzył się w tę wiecznie chwiejną rubież suszy i morza i śledził łamaną linię „zalotów[62]". Stary Kaszub znał wybornie każdy kształt fali, każdy ich rodzaj, odmianę, chwytał w lot najlżejszy odcień, najdrobniejszy szczegół, pieścił się niezrównaną ich rzeźbą. Wszystkie kochał po równo: i potworne, spiętrzone przez szkwały denegi, pędzące jak tabuny olbrzymów poprzez zdziczałe bujowisko, i wzdętą, rozdąsaną podczas wiejby przelewę, pierzaste, grzebieniami szumów potrząsające „szelingi", figlarne „wybiegi" i niewinne, na ustach strądu igrające podpluski i „dokłady". Miłował z duszy całej zarówno jesienną czy zimową gońbę przewałów, co wspiąwszy się na muskularnych przegubach wygrażają grzywami pian i kędziorów — jak i kapryśną, dziecięcą zabawę „podsypisk", zlizujących ślinami zalotów brzegowe pochylnie…

W tej chwili plaża była pusta. W błogosławieństwie kłoniącego się ku zachodowi słońca pławiło się tylko parę pustych łódek przycumowanych do palików na wywłoce[63], suszyły się pod wantą[64] spychów rozpięte na rozszczepach potyczy potrójne sieci drguby i parę wątonów; opodal poza „szperkiem", wysuwającym się daleko w morze iglicą piasku, stał na kotwicy ze zwiniętymi żaglami samotny kuter.

Pioch odwrócił oczy od toni i okrążywszy jar, zaczął iść w głąb lądu. W oddali zarysowały się przed nim kontury czterech budynków: jego własna checza, sadyba rodziny Kurrów, nędzna, do ziemi przysiadła lepianka Otylii Paczulanki, a obok, na samym krańcu plebania — dogorywające szczątki Jantarowa, ludnej niegdyś i bogatej osady rybackiej. Chociaż od czasu ponownego złączenia ziemi kaszubskiej z prastarą macierzą polską minęło już lat przeszło 300 i wpływ sąsiednich narzeczy zdołał już znacznie przekształcić mowę mieszkańców pobrzeża, przecież zwyczaje ich i wierzenia pozostały prawie nietknięte. Jak przed wiekami mieszkali w kurnych kapownicach z kominem kuchennym, z którego czeluści spadała nieraz do potraw rozmiękczona parą „pecyna[65]"; jak przed laty „palili i Bogu świeczkę, i diabłu ogarek", wierzyli w möry — pół tchórze a pół karły cwałujące przez morze na źdźble słomy, drżeli przed zmorą ponocną i unikali jak zarazy stolemów — wyrwidębów; pasterze kaszubscy po staremu trąbili na rogach-bozunach z olszyny, a białki[66] łamały len na uświęconych tradycją prababek „cerlecach" i przędły owczy „warp" na kołowrotkach; jak za pogańskich, mgłą lat zasnutych czasów kładziono noworodki męskie pod stół, dziewuchy zawijano w fartuszki matek, a gdy które przyszło na świat z „gażą" lub „mucką" na głowie, palono ją na proszek i dawano pić dziecku po siedmiu latach, aby, broń Boże, nie zostało po śmierci „wieszczym[67]"…

---

[59]*remki* — wiosła. [przypis autorski]
[60]*nenka* (reg.) — matka (po kaszubsku). [przypis autorski]
[61]*grelingi* — rodzaj fal. [przypis autorski]
[62]*zaloty* — rodzaj fal. [przypis autorski]
[63]*wywłoka* — miejsce na brzegu do wyciągania łodzi. [przypis autorski]
[64]*wanta* — ściana. [przypis autorski]
[65]*pecyna* — sadza. [przypis autorski]
[66]*białka* — kobieta. [przypis autorski]
[67]*wieszczy* — upiór. [przypis autorski]

Checza Antoniego Piocha była najbliższa z brzegu. Zbudowana na hylu[68], z wystawką podcieniową na czterech słupkach witała z daleka dziwacznym uśmiechem „dziadka-sztołta" na szczycie dachu. Podle domostwa stał piec piekarski wspólny dla obu sąsiadujących z sobą rodzin i półwieczny chlew sklecony ze szczątków przedziurawionej kwaczy. Dalej, już na granicy pażycy i okola widniała budka na torf zbita lada jako ze spróchniałego kilu[69] i burt starej łodzi.

Przed chatą na zydlu siedziała Heda Dorszówna i pomagała Józkowi Piochowi przy naprawie porwanej mreży[70]. Chłopak patrzał w jasnowłosą dziewczynę jak w tęczę. Toteż robota szła młodym jakoś niesporo i ręce ich znać nad potrzebę często spotykały się na tle sieci.

Stary uśmiechnął się pobłażliwie; nie były mu nowiną uczucia syna dla dorodnej dzewus z sąsiedztwa i przyjaznym okiem patrzył na te zaloty. Bo też pasierbica Zygmy Kurra zasługiwała na to pod każdym względem. Piękna, rosła i silna była jakby stworzona na żonę rybaka. Przędła i haftowała jak mało która białka z okolic przystrądzia, dziergała wątony i uklejnice[71] przy pomocy kleszczki niezgorzej od chłopów, a karznie i liszki na ryby z łyka i kory brzozowej wyplatała nawet lepsze i mocniejsze niż te, które wychodziły z rąk zawodowych koszykarzy. Pracowita i gospodarna, dzień cały uwijała się po domu, czuwając nad ładem obejścia. To pewna, że gdyby nie ona, nie wyglądałaby checza Zygmy Kurra tak dostatnio i zasobnie. Bo wiadomym było powszechnie, że nena jej, Elza, wyszedłszy po śmierci starego Dorsza po raz wtóry za mąż za Zygmę Kurra, zaniedbywała gospodarstwo, wciąż jeno nad tym przemyśliwając, jakby się młodszemu od siebie mężowi przypodobać czy to strojną ruchną[72], czy złotogłowym czepcem lub rębowaną mycą[73]; zajęta tylko podtrzymywaniem gasnącej już krasy, nie dbała o dom i oborę, troskę i staranie o gospodarskie sprawy córce zostawiając. Toteż nie dziwna, że stary rybak z duszy całej poszedłby „w rajbi[74]" do Kurrów z prośbą o Hedę dla syna i rad by był jak najrychlej ujrzeć w swej checzy jej „brutci tońc[75]" przed północą.

Lecz chęciom obojga młodych i życzeniom starego Piocha stawiał wyraźny opór Zygma Kurr, ojczym dziewczyny. Przypierany do muru, wykręcał się ni tym, ni owym, nie chcąc podać właściwej przyczyny odmowy. Zrazu przypuszczał Pioch, że Kurr nie chce dać pasierbicy Józkowi dlatego, że z jej zamążpójściem utraciłby poważną siłę roboczą. Później zmienił swe zapatrywania na tę sprawę. Spojrzenia, jakie rzucał Kurr na dziewczynę i jego zachowanie się wobec Józka wzbudziły w sercu starego pewne podejrzenia: wydało mu się, że Zygma jest zazdrosny o piękną pasierbicę jak mężczyzna o kochaną kobietę. Lecz z domysłami swymi nie zdradzał się przed nikim — nawet przed Józkiem, chociaż jego by właśnie najwięcej obchodzić mogły. Czy kto inny jeszcze podzielał jego podejrzenia, nie wiedział; być może przeczuwała prawdę sama Heda, lecz, skryta i małomówna, nie lubiła się przed nikim wywnętrzać. Może i coś zauważyła, lecz cóż mogła na to poradzić? Była na pół sierotą, małoletnią i biedną, a zwyczaj nakazywał posłuszeństwo dla ojczyma. Umiała tylko kochać i cierpieć w milczeniu. Miłość jej do Józka Piocha była głęboka jak morze; bo Heda była córką maszopa Dorsza, starego wilka morskiego, co ze śmiercią się kumał po rozłogach wodnych całego świata i odziedziczyła po nim wielki hart duszy wraz z słodyczą gołębiego serca. Widywała się z ukochanym tylko ukradkiem, korzystając z chwil nieobecności ojczyma; matki nie potrzebowała się obawiać; bo Elza, jakby coś przeczuwając, sprzyjała zamiarom młodych i ułatwiała im schadzki…

Toteż stary Pioch, spostrzegłszy teraz oboje na progu domu zajętych niby to naprawą sieci, zapytał wręcz Hedę, przechodząc mimo[76]:

— Gwes[77] ojc na torfowisku, co?

[68]*hyl* — wzgórze. [przypis autorski]
[69]*kil* — dno, spód. [przypis autorski]
[70]*mreża* — rodzaj sieci. [przypis autorski]
[71]*uklejnica* — rodzaj sieci. [przypis autorski]
[72]*ruchna* — suknia. [przypis autorski]
[73]*rębowana myca* — czapeczka z koronkami. [przypis autorski]
[74]*w rajbi* — w swaty. [przypis autorski]
[75]*brutci tońc* — Taniec panny młodej. [przypis autorski]
[76]*mimo* — tu: obok. [przypis edytorski]
[77]*gwes* — pewnie. [przypis autorski]

— Poszli za szperk krzewac żaki[78] — odpowiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo.

Pioch kiwnął głową na znak, że rozumie.

— Za pół godzine odcumujem, Józk, i pójdzemy z botami[79] na łowiszcze. — Zwrócił się z kolei do syna. — Będzie dzisia s nomi belna kumpania. Cezy[80] przyrychtuj[81] no czos!

— A skąd odbijem?

— Od cumowiska za szperkiem.

— Hej, podle kutra Paszkowego na kocwi[82], com go widzioł dzisia rano?

— Gwes, podle kutra.

I nie chcąc psuć młodym kilku chwil lubej samotności we dwoje, poszedł ku checzy Otylii Paczulanki. Zastał starą na progu z garnkiem pełnym „gapiego rosołu", chudej, postnej zupy z chleba pokrajanego w kostki i zalanego juszką czosnkową. Był to jej obiad; tym żywiła się codziennie na „półni".

— Podzcieno ku nom — zagadał do niej — podjecie se trochę bulwe i golców[83]; zostało ich noma dość z „podpólnika[84]". Najdzecie tyż w garncu na piecu zoczerke[85] i bańtke[86] smażono.

— Bóg wom zapłać — nie głodnom; jodłom dzisia podpółnik u Morscich Ponienek — odpowiedziała, przechylając brzeg garnka ku bezkrwistym ustom.

Pioch patrzył na nią ze współczuciem. Mimo jej zgryźliwości i ostrego języka lubił Otylię; wdowa po Paczuli, towarzyszu wspólnych wypraw na dalekie morza, przypominała mu dawne, piękne czasy; ponadto oboje byli jedynymi łącznikami między osadą i morzem a klasztorem: on jako dostawca ryb, ona jako pomocnica na folwarku. Za życia męża wiodło jej się niezgorzej; lecz gdy Jan podczas jednego z wiosennych sztormów zaginął bez wieści wraz ze swym botem[87], zła dola zagościła na stałe do jej checzy. Odtąd bytowała tylko, nie żyła. Trochę ratował ją klasztor, trochę ludzie dobrzy z pobrzeża, trochę praca własnych, starych rąk. Zgorzkniała, potwornie brzydka, wychudła jak szkielet obnosiła Ota swe stare kości po szarym, obojętnym jej świecie. Na wiosnę i jesienią, czasu wielkich burz trudniła się wyławianiem morskiego przypławku, w porze zimowej i letniej, gdy lód pętał pobrzeża lub na rozlewisku królowała głada[88], chodziła po okolicznych osiedlach w roli znachorki-krwawnicy; wypędzała zgagę do morza i przenosiła różę z chorych na członki zmarłych lub na drzewa i kamienie; umiała też wygotowywać przeróżne leki na choroby płuc i nerek, usuwała brodawki i puszczała chętnie krew. Na Oksywskiej Kępie uchodziła za czarownicę; mówiono, że Pomrucz, duży, czarny kot łażący za nią krok w krok był jej kmotrem-diabłem, z którym związała się paktem krwi. I chociaż Paczulanka śmiała się w żywe oczy z tych ludzkich pogadków, przezwisko baby-jędzony, Oty-czarownicy przywierało coraz uporczywiej do jej zawiędłej postaci...

— Zabiore wos dzisia s sobom w bot na łowiszcze — rzekł jej Pioch w tonie propozycji.

— Ceze gręzdec[89]? — zapytała.

— Gwes: gręzdec i wyciągać pełne. Pojedziecie s noma?

— Hej, pojode. Na Oksywiu powiodojom o mnie maszopy: „Ota w bot, stornie w bot".

— To rychtujce sę, bo wnetki odcumujem. Grepą dzisia w morze pożoniem.

— Póde przyrychtowrac karzne.

I zniknęła w głębi checzy. Pioch, wyzyskując resztę czasu pozostającego mu przed połowem, ruszył ku torfowisku; chciał zobaczyć, czy wykopane przed paru dniami cegiełki

[78] *krzewac żaki* — zaglądać do sieci. [przypis autorski]
[79] *z botami* — z łodziami. [przypis autorski]
[80] *cezy* — sieci. [przypis autorski]
[81] *przyrychtuj* — przygotuj. [przypis edytorski]
[82] *kocwi* — kotwicy. [przypis autorski]
[83] *golców* — klusek ziemniaczanych. [przypis autorski]
[84] *podpólnika* — śniadania. [przypis autorski]
[85] *zoczerke* — zacierkę. [przypis autorski]
[86] *bańtka* — Rodzaj ryby. [przypis autorski]
[87] *bot*, właśc. *bat* — łódź rybacka o jednym maszcie. [przypis edytorski]
[88] *głada* — cicha morska toń. [przypis edytorski]
[89] *gręzdec* — grążyć; [*ceze gręzdec*: zanurzać sieć, zarzucać sieć]. [przypis autorski]

wyschły i czy można je zabrać do domu. Stąpał ostrożnie po gruncie niepewnym i co krok zapadającym się pod nogami; obchodził co chwila wygarnięte czworokąty rząpów[90], czarne, cuchnące zgniłą wodą, podobne do gnojówek. Wreszcie dotarł do ostatnich, świeżo wybranych z podglebia. Opodal na kępach twardszego gruntu wznosiły się piramidy brykietów; dawniejsze, ułożone przed tygodniem, wyschły już galantnie na słońcu dzięki powiewom odmorskiej bryzy i nabrały właściwej sobie, ciemnobrunatnej barwy; świeższe, onegdaj ryskalem z okola wyprute nie pośpiały[91] jeszcze z wysuszem i były wciąż mokre, oślizgłe i czarne. Pioch podniósł porzuconą nad brzegiem cembrowiny łopatę i zaczął przy jej pomocy ładować na taczki gotowe już do użytku cegiełki. Kwapił się belnie, bo stanowisko słońca na niebie nakazywało pośpiech. Toteż wrychle zawracał z pełnym w obejście.

A czas był już wielki po temu. Już słońce mocno nachyliło się ku morskiej płani, już chłodniało z chwili na chwilę wieczorne wiodro[92], a do niedawna jeszcze złocisto-czerwony wid[93] przestworza nabierał rudawych odcieni miedzi. Na rozlewisku wód, hań, za wantami spychów, na obrzeżu strądowej płaskoci coraz to wyrastały białe płachty kutrów i kadłuby botów: schodziły się ze wszech stron na łów maszopy.

Pioch wytrząsł zawartość taczek do wnętrza torfówki i w mig przebrał się, jak należy. Wdział tedy na się mocne, nieprzemakalne bukse[94], na grzbiet wciągnął dobrze nawoskowany gumiak, pamiątkę z dawnych, żeglarskich swoich czasów, a nogi obuł w skórznie. Gdy tak przeistoczony wyszedł w podsień domu, zastał już oczekujących go Józka, Hedę i Otę. Młody Pioch gubił się cały w opłączy wyciorków, kaszorów i cez, które tysiącooką powięzią owinęły jego krzepką, dorodną postać. By mu ulżyć, chciał stary ponieść część sieci na własnym grzbiecie. Lecz Józk nie pozwolił na to:

— Niechojce to, ojc: som wydole; bedziecie mieć i tak dużo rwetesu na łowiszczu. Szparujcie sił na później. — I ruszyli grepą[95] ku strądowi.

— Ojc nie wrócił? — zapytał Antoni Pioch po drodze Hedę.

— A no nie, gwes czeko no mnie przy cumowisku. Snać nie nolozł nic w żakach.

— I nie wypłaciło mu se wracac do checzy — wywnioskował Józk.

— Rad ta was oboje gwes nie obacy na wywłoce — wtrąciła Ota, patrząc złośliwie na młodych.

— Co wom do tego? — odburknął jej niechętnie Józk. — Pilnujcie woszych karzni i korczaków[96].

— A jo ci, Józk, mówię: waruj się Kurra, bo to ćwardy hłop i Hedyć nie odda.

— Nie wasza sprawo, kumo — wmieszał się do rozmowy stary. — Nie strachujem se bele kogo.

Dziewczyna milczała. Głęboki rumieniec wywabiony na twarz pierwszymi słowami Oty nagle zniknął, ustępując miejsca przeraźliwej bladości. Ścisnęła mocno rękę ukochanego i przytuliła się doń jak dziecko.

— Jom twojo, Józk, jom twojo.

Zaczęli schodzić ku cumowisku. Antoni pierwszy spostrzegł Kurra. Ojczym Hedy wyciągnął właśnie na brzeg pławnice.

— Szczęsc Boże! — powitał go Pioch, zbliżając się z resztą towarzyszy. — Połów belny?

Odpowiedziało mu chmurne spojrzenie sąsiada.

— Do stu stolemów! — zaklął ponuro. — Sam czmyr[97]! Trzo beło wytrząchac ceze z tego plugastwo. Samo płoć marno, garnele i krewety.

— He, he, he! — szydziła Ota, obserwując całe pęki morszczyn uwikłane w niewód Kurra. — I kidzeny[98] siła wyłowilisce z morza.

Ogarnął ją wściekłym rzutem oczu.

---

[90] *rząpów* — zbiorników. [przypis autorski]

[91] *pośpiały* — zdążyły w porę. [przypis autorski]

[92] *wiodro* — powietrze. [przypis autorski]

[93] *wid* — światło. [przypis autorski]

[94] *bukse* — spodnie. [przypis autorski]

[95] *grepą* — kupą. [przypis autorski]

[96] *korczak* — czerpak. [przypis autorski]

[97] *czmyr* — mała rybka. [przypis autorski]

[98] *kidzena* — trawa morska. [przypis autorski]

— A wos, stara, po kiego tu licha nadniosło? — zapytał opryskliwie. — Pomuchle odstraszać od botów?

— Nie strachujcie sę, somsiedzie! — odgryzła się jadowicie. — Nie przysionde se do woszej kwaczy.

— Ponu Jezusowi chwoła! Baba z botu, kweres[99] z głowy.

I odwrócił się gniewnie do pasierbicy:

— A ty bez co dopiro teroz zeszło ku płaskoci? Trza beło wprzódzi przyśpiać i ceze na strąd se mnom ciągac.

— Niceście mi wprzódzi nie przykazali, tom i doma przyostało aż do godzine łowby — tłumaczyła się zmieszana.

Nie odpowiedział już nic, jeno chmurny jak noc zaczął spychać łódź z wywłoki.

— Przyprzy bot od bakortu[100] — rzucił jej po chwili rozkaz.

Dziewczyna całym ciężarem ciała wsparła się o lewy bok łodzi. Widząc jej wysiłek, Józek przyszedł z pomocą i jednym pchnięciem ramienia zesunął statek po pochylni strądu. Zygma na podziękę spojrzał nań tylko ponuro i wycedził przez zęby:

— O woszom pomoc nie stoje; małe s niej lo mnie wcieszenie.

— Toteż nie wom kciołem pomóc, jeno Hecie — odparował tamten.

Zmierzyli się ostro spojrzeniami; stalowe błyski, wystrzeliwszy z zimnych ich, zawziętych oczu, spotkały się w drodze, zwarły ze sobą i spięły w uścisku nienawiści.

— Ojc! Bot już na fali; wsiodojcie se mnom! — ozwał się drżący głos Hedy.

— Józk, i noma czas na wode — wzywał syna zaniepokojony Pioch.

Mężczyźni, obrzuciwszy się raz jeszcze groźnymi miotami oczu, rozeszli się: Kurr wskoczył za pasierbicą do łodzi, Józk wraz z Otą i starym poszli na koniec szperku, by tu wsiąść do oczekującego ich kutra…

Tymczasem wczesny, jesienny zachód zbliżał się krokami olbrzyma i lada chwila miał się rozlać pokrwawiem blasków po tamtej stronie klasztoru. Toteż kwapili się ludzie ogromnie. Raz w raz nowe boty zjeżdżały w morze po stokach wywłoki lub nadpływały w obręb łowiszcza ze stron obdalnych. Bo połów dzisiejszy obwieszczony już naprzód od tygodnia przez naczelnika maszoperii, Mateusza Chojkę z Oksywia, zapowiadał się rojno i gwarnie. Wkrótce też cały obszar łowiecki zaludnił się bezlikiem łodzi, kwacz i kutrów. Nadciągnęła bo brać rybacka niemal z wszystkich połaci „kraju[101]" i osad maszopskich na Helu. Były i kościerzyńskie Łyczaki, ludzie leśni, borów syny śwarne, Beloki spod Pucka i Oksywskiej Kępy, słupskie i lęborskie Niniaki, knopy[102] rzeźkie i wielmi wesołe, Karwatki w kaftanach przydługich i kartuskie Lesoki; wszyscy — ryboce zawołani, maszopy belne, z chwatem[103] wielkim w umozolonych rękach, Kaszuby sprawiedliwe.

Wybrali się na łów jesienny, może ostatni przed godnikiem, w czym kto miał i jak kto mógł. Bo jeden ci wypłynął w zwykłej łodzi, bez masztu, bez szotów[104] i wżerał się w głębię jeno gołych rąk belnotą[105], co mocno uchwat[106] paczyny[107] dzierżyły — drugi, zamożniejszy, wybrał się na szor[108] w żaglowym kutrze z osprzętem żeglarskim, przystojnie — inny pomykał nurtem na dwumasztowej kwaczy lub czhał po fali motorową szkutą. Łopotały w podmuchach wieczornej morki trójkątne sztaksle, fruwały wesoło na strzałach figlarne „wrony", odymały się gafle i foki. Pod czerwień zachodu podnosiły się i opadały w rytmicznej kolejności ruchów pałasze wioseł i ciągła rewek, pieniły się szumami bryzgów burty i dolbany[109], rozbrużdżało się hen, daleko, poza rufami statków rozorane morze…

Rozrzucone szeroko po płani łodzie i kutry zaczęły powoli skupiać się i ściągać w stronę łowiszcza. Ominąwszy linię tarlisk ochronnych znaczną z daleka beczką pomalowaną

[99] *kweres* — kłopot, zamieszanie. [przypis autorski]
[100] *bakort* — lewy bok. [przypis autorski]
[101] kraj — głąb lądu. [przypis autorski]
[102] *knopy* — chłopcy. [przypis autorski]
[103] *chwat* — siła. [przypis autorski]
[104] szot — żagiel. [przypis autorski]
[105] *belnota* — dzielność. [przypis autorski]
[106] *uchwat* — rękojeść. [przypis autorski]
[107] *paczyna* — wiosło. [przypis autorski]
[108] *szor* — głębina. [przypis autorski]
[109] *dolban* — nadburcie. [przypis autorski]

na niebiesko u zbocza rewy[110], przepłynęli rybacy pas snadkiej zielenicy[111] i co sił remkowali[112] ku żorowi[113].

Pogoda była przecudna. Łagodna bryza zachodnia mierzwiła lekko nawierzchnię toni, kędzierzawiąc ją w łagodne wzwody i wydmuchy. Zresztą, jak daleko okiem sięgnąć, gładź równa, potoczysta, rozlewna. Słońce zwisłe nad płanią, rzewne i roztęsknione jak konające szczęście, osnuwało się powoli śrzeżogą przedzgonnej omroczy. Na fali zaczęły pokazywać się brodate kępy webła i pęcherzykowatych morszczyn, chełbiły się galaretowate parasole bełtwi i przeźrocze jak mgiełki, z czterema różowymi gruczołami kapelusze meduz...

Kuter Piochowy trzymał się najbliżej strądu. Kierowany pewną ręką Antoniego statek wymijał właśnie rząd czarnych, bukowych słupców paliszcza wbiegającego głęboko w morze i podążał w niewielkiej odległości za botem Kurra. Stary maszop z ręką na helmącie[114] steru, nie spuszczał z oka zazdrosnego sąsiada i jego pasierbicy; powolny życzeniom syna, czuwał nad nimi z daleka jak Opatrzność. Józk manewrował przy szotach; przytwierdził mocniej do dzióba statku obluźnione trochę stachy[115], rozplątał powęźlone przez wiatr rewiny[116] do ściągania żagli, po czym rzucił się pomagać zmęczonej już remkowaniem Ocie. Rozkochane oczy jego biegły ku zawietrznej kutra na spotkanie chabrowym oczom umiłowanej, to znów zadumane wałęsały się bez celu ścieżami popławów. Józek Pioch nie miał dziś zrozumienia dla cudów morza i jego wierzchniowej żywizny. Kiedy indziej z ciekawością dziecka śledził rozgospodarowane na słupcach paliszcza osady pąkli, małych, wapienną skorupką okrytych raczków i podziwiał białe, na listkach kidzeny i innych chwastów morskich wyhaftowane koronki mszywiołów lub ślimakowatymi skrętami przylegające do glonów rureczki zawiłka i rozdepki. Teraz obojętnie przepływał obok tego świata umiłowanego, z roztargnieniem przegarniając wodę piórem[117] paczyny[118]; bo myśli jego i serce były przy Dorszównie[119].

— Hejno, ceze grędzec pora! — zabrzmiała nagle od steru komenda ojca. — Brodnik[120] za rufe!

Józk wyrzucił sieć w morze. Równocześnie stary umiejętnym manewrem opróżnił gaflę[121] z wiatru. Kuter, zwolniwszy biegu, wlókł za sobą zanurzony aż po klepki niewód. Za przykładem Piochów poszli inni. Co chwila wypadały za rufę lub burtę cezy i dragi, wątony i pławnice, nurkowały zwykłe ręczne czerpaki i kaszorki, zatapiały się wielookie mreże, matnie i klepy; tu i tam łowiono na spółkę przy pomocy rozpiętych pomiędzy dwoma botami gruntowników. Wrychle też wypełniły się sieci. Doświadczone maszopy wyczuły to zaraz po ruchach łodzi. Uwikłane w potrzask ryby rzucały się, szukając wyjścia z pułapki lub stłoczone w saki macic[122] ciążyły bezwładem zbitej masy. Boty zaczęły przechylać się burtami to w prawo, to w lewo lub podnosić dzioby w stronę czołowego nurtu. Chwila była sposobna do wyciągania. Setki muskularnych, nerwistych rąk wysunęły się sponad sztymborków[123] i bakortów i chwyciły za końce niewodowych lin; wychylone spoza dolbanów plecy i grzbiety wysklepiały się łukiem wysiłku i z wolna odprężały do linii pionu.

Połów był nadspodziewanie bogaty. W blaskach dogorywającego słońca lśniły płetwy siejbrzon i dorszy, połyskiwały szczeżełą[124] wątłusze, drgały w dreszczach przedśmiertnych stornie, gładysy i płastugi. Lecz przeważała pomuchla; wierna ta towarzyszka i przyjaciółka maszopskiej doli setkami wpadała we wnyki i odymała sobą środkowy worek niewodu, tzw. macicę. Tu i tam wydobywano też z żaków brzany-mareny, węgorzyce, skarpie-tur-

---

[110]*rewa* — mielizna. [przypis autorski]
[111]*snadka zielenica* — przestrzeń wód zielona i płytka opodal strądu. [przypis autorski]
[112]*remkowali* — wiosłowali. [przypis autorski]
[113]*żor* — głębina. [przypis autorski]
[114]*helmąt* — rekojeść. [przypis autorski]
[115]stachy — liny. [przypis autorski]
[116]*rewiny* — sznurki do ściągania żagli. [przypis autorski]
[117]*pióro* — dolna część [wiosła]. [przypis autorski]
[118]*paczyna* — wiosło. [przypis autorski]
[119]*Dorszówna* — córka Dorsza; daw. forma nazwiska kobiecego. [przypis edytorski]
[120]*brodnik* — niewód. [przypis autorski]
[121]*gafla*, właśc. *gafel* — żagiel wielki. [przypis autorski]
[122]*sak macicy* — środkowa część niewodu. [przypis autorski]
[123]*sztymbork* — prawa burta łodzi. [przypis autorski]
[124]*szczeżeła* — łuska. [przypis autorski]

boty krągłokoliste jak tarcze, flądry, rapy, pykony i głąbiele; gdzieniegdzie zabłąkał się skądś słodkowodny jesiotr, szczupak, łosoś, sandacz lub okoń, zamotała w oka jader[125] sielawka, troć lub limanda. Przyplątało się też, jak zwykle, dużo pospolitego czmyru, nieodstępnej przy połowach gawiedzi. Był więc i długonogi raczek, ulubiona pożywka szprotów i śledzi, i stonoga morska, podwojem zwana, fląder przysmak przedni, była mutka licha i chuda, gleszczka mizerna, omułka i wątła, łososiom na przynętę rzucana rybka Tobiaszowa.

Wkrótce dna botów i kutrów wypełniły się do półburty rozdrganą żywizną, której mocny, rybi obrzask bił w nozdrza belnym odorem…

Słońce zapadło już pod horyzont. Pozostało po nim tylko czerwone wspomnienie rozlane wielką zorzą na niebie. Skądś od północy nadpłynęły ostre, niepokojące podmuchy.

Antoni Pioch objął spojrzeniem mroczniejący gwałtownie wschód i rzekł do Józka:

— Idze dma. Hissuj gafie! Może przyśpiejem do strądu przed sztormem.

I na innych statkach znać było gorączkowe przygotowania do powrotu. Wciągano skwapliwie za burty ostatnie sieci, nastawiano żagle na wiatr, rzucano się do wioseł i sterów. Wielka, ociężała barża portowa, wchłonąwszy w brzuchate swe boki ładunek ryb z kilku kutrów, odpłynęła pospiesznie za swym holownikiem. Szczęśliwe motorówki, nie oglądając się na swe ożaglone lub zgoła bezmasztowe towarzyszki, lotem strzały wzięły kurs na Gdynię, od razu rozwijając najwyższą chyżość. Spieszyło się ludziom okrutnie.

Bo i było czego. Przed chwilą ostra bryza przeszła nagle w dmę. Fala stężała, zjuszyło się morze. Z daleka, od rozlewiska zaczęły nadjeżdżać w rysich skokach ogromne grzywacze, rozległ się ryk jakby spuszczonej ze smyczy bestii. Zgasła wieczorna zorza i nagły zmrok zarzucił na bujowisko ponure mreże; tylko tam, na przylądku rozbłyskiwały w odstępach trzech sekund zbawcze migawki strażującej blizy.

Rozproszone potężnym tchem wichru boty rozpierzchły się po morzu jak stado kiełpi. Każdy myślał teraz tylko o sobie. Rozpoczęła się zajadła walka z morzem na śmierć i życie…

Przywarłszy do rufy łodzi, przemoczona do nitki przelewą nie wypuszczała Heda z rąk helmąta. Zygma zimny i ponury, z namarszczoną brwią przerzucał wściekle pojazdę[126] z jednej burty na drugą; jakiś rozczochrany grzywacz wyrwał mu obie paczyny z dulek[127] i teraz musiał posługiwać się jedynym pozostałym mu jeszcze w łodzi, nieokutym wiosłem.

Sztorm wzmagał się z minuty na minutę. Rozszalałe olbrzymy wodne przewalały się co chwila przez łupinę botu, dźwigały ją na szczyty spienionych grzbietów lub z furią zmywały w bezdenne bruzdy. Heda oddała wojo[128] na łaskę falom i bez wytchnienia czerpała korczakami wodę z dna łodzi. Poprzez brudnozieloną przeponę prysków widziała ojczyma u dzioba statku borykającego się zaciekle z przewałem, jak przez mgłę dostrzegała ruchy jego ramion i oczy wciąż zwrócone w jej stronę. Coś krzyczał do niej, coś przykazywał, lecz nie słyszała: ryk topieli głuszył głosy ludzkie.

Czas dłużył się okropnie, rozciągał w nieskończoność, rozrastał w bezkresy. W jakiejś chwili Heda uczuła silny ból w prawej łopatce; instynktowo wypuściła korczak z mdlejącej już ręki i zasłoniła nią głowę. Jak przez sen prześmignął obok pień wyrwanego z nasady masztu i zaczepiwszy po drodze o nią swym kikutem, szczezł jak mara w chaosie kipieli.

Ochłonęła z przerażenia i znów pochyliła się ku dnu botu.

Czy to dzięki belnocie Kurra, czy to pod wpływem odlądowej bystrzy[129] łódź ich zbliżała się ku strądowi; coraz bo wyraźniej rysowały się w świetle sygnałów z rozewskiej blizy nadbrzeżne klify, coraz dokładniej wyłamywał się z mroków nocy strzelisty kontur klasztoru. Wtem wśród największego miotu fali buchnął z klasztornego tarasu ogromny, purpurowo-złoty płomień.

„Morskie Panny rozpaliły lo nos ognie — pomyślała Dorszówna i od razu objęło ją całą uczucie niewysłowionej ulgi. — Tero se ju nie strachujem; już trafim do strądu".

W tejże chwili w odległości kilku metrów od botu zjeżyła się potworna góra wody i zieloną wantą szła na nich do szturmu.

[125]*jadra* — sieci. [przypis autorski]
[126]*pojazda* — wiosło nieokute. [przypis autorski]
[127]*dulki* — kołki w burcie na wiosło. [przypis autorski]
[128]*wojo* — ster. [przypis autorski]
[129]bystrza — prąd. [przypis autorski]

— Jezusie, Mario! — krzyknęła Heda i wpatrzyła się jak oczarowana w zbliżającą się śmierć. Wtedy na zrębie szczytowym wału, wśród żywopłotu z pian i szumów spostrzegła wysoko nad sobą bladą twarz Józka Piocha; wychylił się poza burtę skołatanego straszliwie kutra i patrzył na nią ze ścinającą krew uwagą. Czy ją widział? Czy poznał?… Wzrok jego szklany, tępy, bez wyrazu uderzył jej oczy jak odblask zimowego słońca na tafli lodu…

Nagle wszystko znikło jak wizja. Potężna denega[130] chwyciła bot w sturamienne szpony, podważyła od kilu, podniosła jak pióro i siepnęła nim gdzieś w kierunku strądu. Przez chwilę czuła Heda, jak pędem strzały przelatuje przez wodną rozchyl i jak zapada się w przepaść. Potem usłyszała krótki, suchy trzask, niby odgłos rozpruwanej na drzazgi stępki[131], głuchy łomot i odurzający wstrząs.

„Osadziło nos na płaskoci" — pomyślała jeszcze w ostatniej chwili i tracąc już przytomność, wżarła się paznokciami obu rąk w piasek strądu…

Gdy po czasie otworzyła oczy, spotkała się z chciwie zatopionym w jej twarzy spojrzeniem Józka. Uśmiechnęli się do siebie równocześnie.

— Panu Jezusowi bądz chwoło — wyszeptał, porywając ją w ramiona.

Sprężyła się z rozkoszy pod żarem jego pocałunków.

— Zemdliło me zrozu od belnego miotu — mówiła, mrużąc rozkochane oczy. — Siepnęło bo noma jak brzadem[132] dostałym o ziemie.

I znów uśmiechnęła mu się słodko w objęciach.

— A ty, Józk, skądeś se ta wziął tutaj koło mnie? — zapytała nagle zdumiona. — Widziołom cie przecie przed tym miotem na wirzchu przelewy.

— Pon Jezus snać se noma opiekował; ta sama denega wyrzuciła nos oboje na strąd. Za to nasz kuter i wosz bot poharatało na szczapy. Patrz ino!

I wskazał ręką na szczątki obu statków rozsypane bezładnie po piachu.

— A twój ojc żyw? — zagadnęła nagle z trwogą.

— Żyw i odpoczywo hań pod wantą spychów — uspokoił ją, odciągając łagodnie w głąb lądu z obawy przed szalejącą wciąż falą.

— A o mnie ani słowem marnym nie zapytosz — odezwał się tuż obok nich czyjś głos chrapliwy. — Gwes, kto ta stoi o ojczyma?

W blaskach ogni spływających z klasztornej terasy wyrosła przed kochankami ponura postać Zygmy Kurra. Z rozciętego o głaz kamienny jego czoła ściekała struga krwi, w oczach umęczonych walką z morzem żagwiła się nienawiść. Brutalnym ruchem wytrącił rywalowi z ramion pasierbicę.

— Noma do checzy pora — rzekł krótko, i pociągnął ją za sobą.

Pioch chwycił go za barki i potrząsnął nim silnie parę razy:

— Szukocie se mnom zwady, Kurr, he? — zapytał, zaglądając mu groźnie w oczy.

— Waruj se mojej dzewus! Nie lo ciebie ona — odpowiedział tamten, zaciskając pięści.

Lecz rozdzieliła ich Heda:

— Nie wstyd wom, ojc, w tako pore swarzyc se z somsiadem, miast Ponu Jezusowi podziękować za ratunek?

I wcisnęła się między nich jasna i cicha jak anioł pokoju.

— A ty, Józk — zwróciła się nakazująco do kochanka — pódz stąd precz do twego ojca hań pod spychem; woła cie i ręką coś ci przykazuje.

I rzeczywiście stary Pioch, zauważywszy z dala groźną postawę przeciwników, przywoływał syna do swego boku. Józk usłuchał niechętnie i rzuciwszy pożegnalne spojrzenie Dorszównie, poszedł ku krzątającemu się wśród szczątków kutra ojcu. Gdy stanął przy nim, postacie Kurra i Hedy rozpłynęły mu się w cieniach nocy.

Tymczasem sztorm hulał po morzu ze wzrastającą wciąż siłą. Rozdąsana fala docierała już prawie do podnóży spychów: mokre bryzgi zaczęły zalewać im twarze.

— Ojc, pódźcie do checzy! — perswadował Józk staremu. — Niechajce kutra; pazurami go morzu nie wydrzecie; i tak z niego same deski i szczapy.

— Mosz racjo — przyznał mu ojciec i wypuścił z rąk szczątek burty.

[130]*denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]
[131]*stępka* — spodni tram, belka statku. [przypis autorski]
[132]*brzad* — owocem. [przypis autorski]

Ruszyli w głąb lądu. Lecz nie uszli kilkudziesięciu kroków, gdy natknęli na resztę rozbitków; parę ciemnych, obdartych, ociekających wodą sylwetek ludzkich umykało ku spychom przed nacierającym coraz zajadlej przewałem, parę innych pochylonych nad rannymi i omdlałymi usiłowało wyciągnąć bezwładne ich ciała poza zasiąg bałwanów.

Piochowie, zapominając o własnym niebezpieczeństwie, przyszli im z pomocą. Wśród huku pękającej nad głowami fali, wśród ryku rozwścieczonych deneg[133] podkładali ręce pod pachy bezsilnych towarzyszy i wlekli ich resztkami sił poza obręb miotu. Woda zalewała im usta, prała w oczy, zwalała z nóg; padali i znów dźwigali się, słaniali się jak kłosy i drzony[134] w podmuchach wichru, to znów prostowali hardo i nie dawali się morzu. A na te ich wysiłki i żmudę, na ten braterski trud i harowanie padała łuna klasztornego ogniska, rozświecając mroki sztormowej nocy.

Aż przyszedł ratunek. Gdzieś już niedaleko klifów, na linii spychowej wanty odezwały się nawoływania i błysły światełka latarek. To dziewki z klasztornego folwarku na rozkaz ksieni spieszyły z pomocą; przyniosły wino dla omdlałych i wyczerpanych i kilka par noszy. Przyszły jak Opatrzność w ostatniej już chwili. Bo już przelewa sięgała poprzez plażę drapieżnym szponem ściany spychów, już rozpanoszona fala zdobywszy płaskoć, wdzierała się na zbocza obsypów...

Teraz silniejsi, pokrzepieni trunkiem złożyli rannych i osłabłych na nosze i zaczęli wspinać się ku klasztorowi. Przed nimi szły z zapalonymi latarkami dziewczęta folwarczne i wskazywały drogę. Po półgodzinnej, znojnej wędrówce otwarły się przed nimi gościnne wrota klasztornej niemocnicy i nad bladymi z wyczerpania i utraty krwi rybakami pochyliła się słodka twarz siostry Benigny. A na tarasie przy blaskach dogasającego ogniska odprawiały Morskie Panny przed statuą Bogarodzicy dziękczynne modły za ocalenie rozbitków...

MIAŁO SIĘ POD NIESZPÓR

Minęła kanoniczna godzina meridiany, przeszła chwila poobiedniej rekreacji i dzień klasztorny powoli kłonił się ku zachodowi. Na ziemi wierni sposobili się do nabożeństwa wieczornego, w zaświatach Niebieski Wysłaniec wybierał się w daleką drogę, by jak przed wiekami zwiastować ludziom dobrą nowinę: miało się pod nieszpór...

Otulona w czarny, ciepły szal błądziła siostra Agnieszka samotnie wśród grobów klasztornego cmentarza. Oczy jej tułały się po mogiłach sióstr zgasłych tu cicho jak skarga dziecka, współczujące jej usta poruszały się szeptem modlitwy za spokój mieszkanek tego zacisza. Przy niektórych grobach zatrzymywała się dłużej: tu włożyła z powrotem na trzon steli zerwany przez wiatr morski wieniec róż powiędłych, tam poprawiła przekrzywioną na bok latarenkę z pełgającą wewnątrz świecą lub podniosła chylący się ku upadkowi krzyż; to znów, zapominając o zmarłych, zbliżała się ku balustradzie nad brzegiem cmentarnego urwiska i oparta o kamienną poręcz, odpływała rozmarzonymi oczyma w bezkresy morza. Wracała stamtąd zawsze dziwnie pokrzepiona. Gdy pijane wędrówką fal jej spojrzenie ślizgało się ponownie po rzędach mogił, nagrobków i krzyży, nie było już w nim smutku ani rezygnacji; oczy Agnieszki grały teraz rytmem tęsknoty za nieskończonością, a dusza korzyła się w dziękczynieniu:

— O bądź mi pozdrowione, morze!

Orzeźwiona na duchu i pogodna, przymknęła za sobą furtę cmentarza i skierowała się ku dzwonnicy. Wieża dzwonowa była ostatnią, najbardziej ku południowi wysuniętą odroślą klasztornych włości; z resztą monasterza łączyła ją kryta galeria rozpięta między nią a masywem klasztoru na wysokości pierwszego piętra. Na dzwonnicę można było wejść z chóru kościelnego właśnie tą drogą nadpowietrzną lub też wprost z poziomu dziedzińca wąską, wpuszczoną w mur wieży bramką. Wikaria wybrała to drugie wejście. Wspiąwszy się po schodach na wysokość galerii, minęła platformę pierwszego piętra i zapukała do małych, przekrzyżowanych żelaznymi sztabami drzwi.

— Proszę wejść — odezwał się z wnętrza głos siostry Placydy, dzwonniczki.

Agnieszka znalazła się w malutkiej, okrągłej izdebce z jednym przylepionym sieroco do muru łóżeczkiem. Wieżniczka przywitała gościa z miłym uśmiechem; lubiła bardzo

[133]*denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]
[134]*drzony* — ciernie. [przypis autorski]

wikarię za łatwość w obejściu, prostotę, a najwięcej może za cichą skargę drzemiącą w jej ślicznych, zadumanych oczach.

— Przyszłaś pomóc mi przy dzwonieniu na nieszpory, siostro? — zapytała, zdejmując z muru nad łóżkiem pęk kluczy — właśnie idę do moich dzieci porozmawiać trochę przed wieczorem.

— Więc pójdziemy razem. Chciałam obejrzeć twe dzwony i posłuchać ich muzyki z bliska.

Wyszły z izdebki i po trzeszczących mocno schodach weszły na szczyt wieży i znużone wysiłkiem przystanęły na kolistej platformie. U stóp ich wałęsały się w podrzutach węże sznurów, nad głowami gwizdał wiatr i kołysały się bezgłośnie klosze dzwonów. Było ich cztery: dwa mniejsze, jeden większy i czwarty, średni, na uboczu, jakby umyślnie wysunięty na skrzydło kopuły wieżowej.

— Gabriel i Michał — objaśniła siostra Placyda, idąc za spojrzeniem wikarii — a ten większy, odświętny: to Jan Ewangelista. Można obejrzeć dokładniej z bliska; na dzwonienie jeszcze czas.

— Chętnie obejrzę.

Wieżniczka odchyliła od wnęki muru podwójną drabinkę i rozstawiła ją na podłodze platformy.

— Tędy możemy podejść do samych dzwonów.

Agnieszka weszła pierwsza i wkrótce spostrzegła odbicie swej twarzy w gładkiej, wypolerowanej jak lustro powierzchni Gabriela.

— Stary dzwon, dobry dzwon — chwaliła swe dziecko wieżniczka. — Jeszcze z XV wieku; podobno ze Strzebielinek rodem.

— Co za szlachetna linia profilu! — podziwiała wikaria. — Jak pięknie związana korona!

I z lubością wodziła ręką po karbowanych obłękach przekrzyżowanych potężnym trzpieniem.

— A oto napis na szyi ujęty w koronkę ornamentu!

„*Vox mea — vox vitae — Vocat vos: ad sacra venite*[135]!"

— Poniżej na ścianie plakieta w kształcie medalionu *en relief* przedstawia Chrystusa Ukrzyżowanego. Mój ulubieniec — mówiła dalej siostra Placyda, patrząc na faworyta z rozrzewnieniem. — Głos czysty jak kryształ. Prawdziwy spiż. A ten drugi: to jego brat; wtóruje mu altem.

— „*Arnoldus me fecit*[136] — przeczytała Agnieszka początek napisu na szyi — *Anno Domini MCDXCII*[137].

— Też stary dzwon. Pamięta czasy Kazimierza Jagiellończyka.

— A tak, tak: narodził się w roku śmierci wielkiego króla.

— Reszta napisu też w minuskułach gotyckich; treść znamienna: „*Vigilate ergo, quia nescitis*[138]".

— Charakterystyczny szczegół — zauważyła Agnieszka, obserwując dolną krawędź dzwonu.

— Co takiego?

— Na pasie odsercowym posiada też wstęgę ornamentu.

— Rzeczywiście rzadki wypadek; zwykle obrzucona jest wzorcem tylko szyja.

— I to wcale piękny ornament: gotycki kwiaton przeplatany warkoczami meandrów, wśród których wiją się przyczajone przeguby smoków.

— Tak; za to ściany gładkie, bez kompozycji figuralnych. Czy wiesz, siostro — zapytała nagle wieżniczka — że wedle starego podania oba te dzwony odziedziczyłyśmy po dawnym klasztorze sióstr eremitek podobno rozwiązanym w wieku XVI?

— Czy był to ten sam klasztor, z którego ruin i szczątków wystawiono kapliczkę w części zachodniej naszych posiadłości?

---

[135] *Vox mea vox vitae, vocat vos: ad sacra venite* — głos mój głosem życia; wzywa was: przybądźcie na święte obrzędy. [przypis autorski]

[136] *Arnoldus me fecit* (łac.) — Arnold mnie ulał. [przypis autorski]

[137] *Anno Domini MCDXCII* (łac.) — roku Pańskiego 1492. [przypis autorski]

[138] *Vigilate ergo, quia nescitis* (łac.) — Czuwajcie przeto, ponieważ nie wiecie. [przypis autorski]

— Kapliczkę? Czy masz na myśli, siostro, tę w kącie muru ogrodowego u wylotu alei porzeczkowej?

— Tę właśnie.

Siostra Placyda zamyśliła się i spochmurniała.

— Tak — odpowiedziała wreszcie — tak; o ile mnie pamięć nie myli, Michał i Gabriel są spuścizną po owym zakonie. Ten trzeci, większy od tamtych, którego dźwięk tak zawsze podziwiacie podczas rezurekcji, to Jan Ewangelista. Młodszy jest od swych towarzyszy o cały wiek.

— Napis jego umieszczono na skłonie i przejściu czapki w szyję; piękna jest podwójna wstęga ornamentu: symetrycznie ułożone czworolistki wśród skrętów łodyg i pąków. Sama inskrypcja wykonana w majuskułach renesansowych zdradza dużo artyzmu i oryginalności w doborze początników[139] i rozdzielników[140]; jakie pomysłowe znaki! Lecz jakoś nie mogę odczytać samej sentencji; jest trochę zatarta.

— *Dum Maria sonat, omnia plasmata fugat* — dopomogła dzwonniczka.

— Dziwny napis.

— Dlaczego?

— Co właściwie należy rozumieć przez wyraz „*plasmata*"?

— Sądzę, że słowo to w średniowiecznej łacinie znaczyło tyle, co larwy, widma, fantasmaty, czyli twory piekła lub złej, grzesznej myśli.

— Czyli napis głosi, że „dopóki Maria dzwoni, odpędza i rozprasza wszelkie larwy piekła"?

— Oczywiście.

— Niemniej szczególny napis.

— Rzadki. Dla mnie ma on znaczenie symboliczne ze względu na to, że Jan Ewangelista jest najbliższym sąsiadem Mnicha Morskiego.

— Co powiedziałaś, siostro? — zapytała Agnieszka, jakby nie dowierzając temu, co usłyszała. — Kogo miałaś na myśli?

— Tamten dzwon czwarty, najbliższy ściany północnej, nazywa się Mnichem Morskim. Jest jak gdyby ucieleśnioną w spiżu larwą[141] Gehenny.

— Słowa twoje ciemne.

— Biada klasztorowi, gdy on zadzwoni.

Agnieszka ze zdumieniem zauważyła nagłą zmianę na zwykle pogodnej twarzy siostry; przeciągały teraz po niej zwodne światła lęku i obłędu. Dzwonniczka pochyliła się ku niej i mówiła szeptem:

— Między starszymi naszej kongregacji utrzymuje się wiara, że głos tego dzwonu zapowiada rychłą śmierć ksieni lub zdradza ciężki grzech jednej z nas. Jak długo jestem tu więźniczką, nigdy jeszcze ręka moja nie wprawiła w ruch jego serca. Przeklęty to intruz.

— To przesąd nielicujący ze świętością tego miejsca; nie powinnaś, siostro, dawać do siebie przystępu podobnym baśniom.

— Młoda jeszcze jesteś, siostro, młoda i niedoświadczona; i my nie jesteśmy bezpieczne przed atakami sił nieczystych.

— Dlaczego właściwie nazwano dzwon Mnichem Morskim?

— Sam on ci to wyjaśni. Spójrz na tę wypukłorzeźbę figuralną na jego ścianie.

Agnieszka, wspiąwszy się na palce, ujrzała na zzieleniałym od grynszpanu boku dzwonu dziwaczny relief. Postać na pół ludzka, na pół zwierzęca wyobrażała mnicha w habicie z kapturem odrzuconym na tył potwornej głowy podobnej do łba ryby — głowacza; ten łeb miał mniszą tonsurę. W miejsce rąk wypadały z boków dwie potężne, zakończone hakami płetwy a wychylające się spod habitu piersi okrywał łuskowaty pancerz.

Ponad tą rzeźbą, między szarfami ornamentu uwitymi z morszczyn ramienicy i webła widniały słowa napisu:

Profundis exii — in profunda redibo — cum claustrum peccata expiaverit[142].

[139]*początniki* — początkowe litery. [przypis autorski]

[140]*rozdzielniki* — znaczki ozdobne rozdzielające litery napisu. [przypis autorski]

[141]*larwa* (daw.) — maska. [przypis edytorski]

[142]*Profundis exii — in profunda redibo — cum claustrum peccata expiaverit* (łac.) — Z głębin wyszedłem i do głębin wrócę, gdy klasztor grzechy odkupi. [przypis autorski]

— Skąd wziął się u nas ten dzwon? — zapylała Agnieszka po przeczytaniu dewizy. — Jakie „głębiny” ma na myśli napis?

— Oczywiście głębiny morza.

— Czy go stamtąd wyłowiono?

— Nie; sam do nas stamtąd przyszedł. Wszak napis wyraźnie mówi: „*Profundis exii*”. Tak też było w rzeczywistości. Historia Mnicha Morskiego niedługa, choć dziwna. Wiek dzwonu stosunkowo młody, bo liczy on zaledwie 200 lat.

— To jest tyle mniej więcej, co nasze opactwo.

— Właśnie tyle. Bo narodziny tego dzwonu łączą się ściśle z powstaniem naszego klasztoru. W tę samą noc przed dwoma wiekami, w którą morze wydźwignęło ze swego łona zrąb skalny naszego przyszłego monasteru, wyrzuciło też z niezbadanych swych głębin na skały przylądka olbrzymią, czteroramienną kotwicę. Na rozkaz pierwszej ksieni zakonu, matki Gertrudy Łęczyckiej przetopiono ten dar morza na dzwon i zawieszono go na wieży obok trzech innych.

— To by po części tylko tłumaczyło początek napisu; lecz skąd nazwa i postać mnicha? Co dzwon może mieć z nim wspólnego?

— Mówią, że matka Łęczycka, każąc wyryć ten napis na jego ścianie, działała pod wpływem jakiegoś snu czy wizji w wigilię przybycia na miejsce dzisiejszego klasztoru. Podobno ujrzała na odległość obraz szalejącej burzy, a na jego tle postać potwornego mnicha wyrzucającego z odmętów na brzeg czworogranną kotwicę.

— Z drugiej połowy napisu — rzekła po chwili milczenia zamyślona siostra Agnes — należałoby wnosić, że ksieni wtajemniczona była też w dzieje tragicznego zdarzenia, które rozegrało się przed wiekami na tym samym miejscu w klasztorze sióstr eremitek, naszych poprzedniczek.

Siostra Placyda opuściła nagle głowę ku piersi.

— Zapewne — odpowiedziała, z widoczną niechęcią poruszając ten temat — słyszała i o tym.

— Może nawet widziała w tej wizji wskazówkę co do jednego z zadań, jakie czekały młody, na ruinach dawnego powstający klasztor?

— Wszystko to bardzo możliwe, siostro. Ale dość już tej świeckiej gawędy! Zwróćmy się teraz ku Bogu i pracujmy dla pomnożenia Jego chwały. Godzina już czwarta i czas dzwonić na nieszpory.

Zeszły z powrotem na platformę. Wikaria usunęła się we wnękę ściany, gdy więźniczka chwyciła za sznur spływający z korony Gabriela. Po chwili rozległ się głos ukochanego dzwonu. Zrazu wezwanie krótkie, urwane jak ocknienie z powszedniości — potem nawoływanie powtórne, dobitniejsze już, przeciągłe, niby powolne wchodzenie w nastrój nieszporowy — za tym odzew trzeci, pełniejszy, na dwóch głosach zbudowany: pieśń Gabriela wzmocniona braterskim współdźwiękiem Michała...

Rozkołysane ręką mistrzyni spiżowe serca zagrały preludium nieszporowe. W tonach czystych, nieskażonych, jak łza drgały melodie psalmów, rozbłyskiwały i gasły glorie różańców, lśniły gemmy i szafiry antyfon. W powietrzu rzeźwym od powiewów morki płynęły długie procesje litanii, składały się do aktu wiary niewidzialne ręce, chyliły gestem rozmodlenia widmowe postacie...

Wtulona w niszę siostra Agnieszka nie odrywała oczu od twarzy dzwonniczki. Pokorna, szara mniszka urosła nagle w jej oczach do rozmiarów tytanicznych, zgarbiona, zawiędła przed chwilą zakonnica wyprostowała się, zwysmuklała jak grecka kolumna; jej smutne, zamyślone oczy rzucały ognie entuzjazmu, pierś wzdęła się falą uczucia pod zakonną szatą. Piękna była siostra Placyda w tej chwili. Natchniona, z oczyma wzniesionymi ku dzwonom, zasłuchana w melodie modlitwy, zda się, zapomniała o świecie i jego sprawach; po twarzy jej pociągłej, ascetycznej przelatywały błyskawice zapału, na ustach błądził uśmiech...

Cicho opuściła wikaria wnękę muru i zaczęła zstępować po schodach w dół: śpieszyła na nieszpory. W drodze narzuciły jej się uporczywym refrenem słowa inskrypcji:

In profunda redibo, cum claustrum peccata expiaverit.

— Czyje grzechy?

Oczywiście jego; okropny mnich spodziewał się końca swej kaźni, gdy klasztor odpokutuje za jego ciężkie przewinienia.

Przed siostrą Agnieszką roztworzyły się nagle tajemne związki i znaki, stanęło jak żywe zjawisko w alei „starego klasztoru".

— To był on! Ten sam, o którym mówiły słowa łacińskiego rękopisu, wygrzebanego przez nią spod pyłów archiwum przed kilku miesiącami.

Pod datą: *anno Domini MCDLXXXVII* odczytała Agnieszka tę notatkę:

„Aliquando monachus quidam ignoti Ordinis moenia claustri clandestino modo transgressus ancillae Domini, Vestali ibi in horto perambulanti vim intulit floremque virginitatis sanctae ei ademit. Deinde flagellis Erynniarum fustigatus, stupri sui turpissimi conscius, desperans se in profunda maris praecipitauit. Sic iustam poenam sceleris sui pependit".

— Gwałt i samobójstwo — dwie straszliwe zbrodnie — tym straszliwsze, że popełnione przez sługę bożego, obciążyły mu na wieki sumienie. A my mamy grzechy jego obmyć w zdroju pokutnych łez, my mamy dać za nie Bogu zadośćuczynienie i ekspiację. Może dlatego, że objęłyśmy w spadku po eremitkach to miejsce, że na ruinach ich samotni stanął nasz monasterz. Może wraz z miejscem odziedziczyłyśmy i część niezawinionej winy?...

Na wysokości pierwszego piętra zatrzymała się wikaria i zamiast schodzić dalej w dół, obrała krótszą drogę wprost na chór przez galerię. Zatopiona w myślach nie spostrzegła, że z przeciwnej strony nadpowietrznego korytarza zmierza ku niej matka Anastazja. Ocknęła się dopiero w ostatniej chwili, gdy ujrzała tuż przed sobą wyniosłą postać przeoryszy.

— Szukam ciebie, Agnes — usłyszała, rozbudzona nagle z rozmyślań, słowa przełożonej. — Musisz dziś zastąpić mnie przy siostrze Beacie; przysłuchiwać się będziesz nieszporom z jej celi.

— Stanie się wedle woli waszej, matko wielebna. Już idę — odpowiedziała, pochylając głowę.

— Po nieszporach zmieni cię któraś z młodszych sióstr; wtedy przyjdziesz do mnie do sali kapituły.

— Dobrze, matko wielebna.

Ksieni odeszła w stronę wykuszu wieżowego, a siostra Agnes, zstąpiwszy przez chór w boczny korytarz, weszła do celi siostry Beaty.

Powitał ją u progu dobry uśmiech chorej. Wychudła, niemal przejrzysta ręka uniosła się z trudem ponad błękitne tło kołdry gestem pozdrowienia, duże, czarne oczy, głęboko osadzone w białej jak opłatek, jakby zwężonej przez wieloletnie cierpienie twarzy zaświeciły blaskiem pokornej podzięki.

Siostra Beata chorowała od lat 20, tj. niemal od chwili wstąpienia do zakonu panien anuncjatek. Cierpienia jej, nieraz wielkie i bardzo dojmujące, miały charakter niezwykły. Zdumiewała ich kolejność i uporczywość oraz zupełny brak chorobotwórczych przyczyn i źródeł. Zdawało się, jak gdyby wszystkie choroby trapiące ludzkość wypróbowywały siłę swych zabójczych jadów na tym biednym, łamiącym się pod wichurą niedoli ciele, znęcały się z iście diabelską furią nad tą cichą, słodką, nigdy nieskarżącą się kobietą. Było coś w tych cierpieniach zagadkowego. Już sam fakt, że wątłe ciało siostry Beaty zdołało przez tyle lat opierać się zaciekłym atakom, był objawem tajemniczym. Niemniej dziwne było to, że choroby, którym ulegała zakonnica, nie przenosiły się na nikogo z otoczenia; żadna z pielęgnujących ją mniszek nie zaraziła się. A przecież niektóre z cierpień Beaty zdradzały wyraźne symptomaty chorób zakaźnych. Bezkarnie dotykały siostry straszliwych jej ran i strupów, bez złych dla się następstw wchłaniały w płuca żar i gorączkę jej chorego oddechu. Owszem, obcowanie z Beatą zdawało się wzmacniać je duchowo i fizycznie i niejedna z doglądających ją zakonnic czuła się po nocy spędzonej u wezgłowia chorej zdrowsza i silniejsza.

Te wszystkie objawy, powtarzające się niemal bez przerwy w ciągu lat 20, jako też niezwykła słodycz i bogobojność Beaty otoczyły z czasem jej postać aureolą świętości; zaczęto patrzeć na nią, jak na istotę nadziemską, uważać za naczynie wybrane do celów wyższych. Od kilku już lat żyła siostra Beata *in odore sanctitatis*[143]. Zakonnice między sobą nie nazywały jej inaczej jak „nasza święta", a cela jej stała się dla nich tajemnym *„castrum doloris*[144]", mistyczną twierdzą boleści, której progi przestępowały z uczuciem podobnym

[143] *in odore sanctitatis* (łac.) — w aurze świętości (dosł. w woni świętości). [przypis edytorski]

[144] *castrum doloris* (łac.) — twierdza boleści. [przypis edytorski]

do tego, z jakim wchodziły do wnętrza świątyni. I rzeczywiście atmosfera tej celi tchnęła czymś niezwykłym; subtelna woń egzotycznych aromatów, mirry i olejków napełniała pokój; przepojone nią były pościel chorej i bielizna, a nawet szarpie i bandaże okrywające jej rany. Woń tę wydzielało biedne ciało Beaty jakby na dowód, że schorzenia jego nie z ziemi rodem i nic nie mają wspólnego z wyziewami brudu i grzechu. Nawet wysiąk ropy jej ran zdawał się posiadać własności uzdrawiające, nawet wydzieliny wrzodów zdradzały moc leczniczą; to, co u zwykłych ludzi jest jadem i trucizną, które należy jak najrychlej usunąć poza obręb ciała, stawało się u siostry Beaty źródłem zdrowia i pokrzepienia dla innych.

W dziesiątym roku jej choroby wystąpiły inne, równie dziwne objawy. Gdy pewnego rana przeorysza weszła do jej celi, ujrzała Beatę zatopioną w ekstazie modlitwy, unoszącą się na klęczkach w powietrzu. Stan trwał dość długo i dopiero po pewnym czasie postać chorej powoli opuściła się ku posłaniu. Kiedy indziej widywano Beatę równocześnie w dwóch miejscach: podczas gdy ciało jej spętane niemocą tężało już niemal w spazmie agonii, duch wyzwolony z ziemskich więzów asystował przy nabożeństwach w oratorium lub porwany mistycznym wirem krążył po klasztornych galeriach i krużgankach. Cud, Kobieta, Święty

Przychodziły czasem na nią chwile ekstatycznego upojenia i żaru tak wielkiego, że odrzucając przykrycie i szarpiąc na sobie bieliznę, wołała półprzytomna z rozkoszy:

— O Chryste, ulituj się nad sługą Twoją! Płonę cała w Twym słodkim uścisku, goreję jak żagiew! O Panie mój, o mój najświętszy Oblubieńcze!

Gdy po paroksyzmie zmieniano jej opatrunki i bieliznę, niejednokrotnie stwierdzały ze zdumieniem siostry, że koszula Beaty w okolicy serca, jakby przepalona, nosiła wyraźne, ciemno-brunatne ślady zetknięcia z ognistym żywiołem...

Dziś czuła się chora bardziej wyczerpana niż zwykle; tworzący się pod piersiami obrzęk wywołał gorączkę i ogólne osłabienie. Upadek sił był tak znaczny, że nie zdołała nawet podźwignąć się do pozycji siedzącej w fotelu i musiała poprzestać na przysłuchiwaniu się nieszporom z łóżka. Urządzenie jej celi, sąsiadującej bezpośrednio z kaplicą, umożliwiało Beacie przynajmniej częściowy udział w nabożeństwach i oficjach klasztornych. Ilekroć z powodu pogorszenia się stanu zdrowia musiała pozostać u siebie, spuszczano w dół ruchome przepierzenie w ścianie naprzeciw jej łóżka i przez powstały w ten sposób wykrój okienny udostępniano jej widok Wielkiego Ołtarza.

Tak było i dzisiaj. Z oczyma błyszczącymi gorączką, w purpurze chorobliwych rumieńców na twarzy słuchała Beata psalmów i antyfon. Przed pławiącymi się w gorączkowej omgle jej oczyma przesuwały się jak senne miraże postacie sióstr zakonnych na tle smukłych, strzelistych stall, sędziwa, pochylona laty sylweta księdza Pszenickiego, kapelana, i fragment ołtarzowej „Adoracji rybaków", pędzla jednego z mistrzów flamandzkich. Rozpalona jak ogień, rozedrgana pulsacją tętn ręka ściskała bezwiednie dłoń Agnieszki lub rozkurczonymi boleśnie palcami nerwowo, niespokojnie szukała czegoś na całunie prześcieradła...

Niedzielne nieszpory miały się ku końcowi. Spłynął już z chóru majestatyczny psalm: „*Dixit Dominus Domino meo*[145]", skonała po niszach oratorium owiana duchem seraficznym melodia: „*Beatus vir, qui timet Dominum*[146]" i rozbrzmiało pierwszymi akordami organów wzniosłe „*Magnificat*".

Piersią Beaty wstrząsnęło nagłe łkanie. Podniosła się z posłania i cała w dreszczach ekstazy uklękła na posadzce celi.

— Uwielbiaj, duszo moja, chwałę Pana swego! — szeptały w uniesieniu jej szkarłatne od gorączki wargi.

Agnieszka pochyliła się nad nią i wzięła słaniającą się w ramiona.

— Jak można, siostro?! Jak można?! — mówiła do niej z cichym wyrzutem.

W tej chwili otwarły się drzwi i weszła siostra Benedykta. Przy jej pomocy dźwignęła wikaria chorą z posadzki i złożyła z powrotem na łóżku.

— Ksieni oczekuje was, siostro, w sali kapituły — rzekła młoda zakonnica, ocierając chusteczką pot z czoła chorej.

[145]*dixit Dominus Domino meo* (łac.) — rzekł Pan do Pana mego. [przypis autorski]

[146]*Beatus vir, qui timet Dominum* (łac.) — szczęśliwy mąż, który lęka się Pana. [przypis autorski]

— Zaraz tam idę. Podaj tymczasem szklankę wina siostrze Beacie; obawiam się, by nie straciła przytomności; jest bardzo blada.

Beata podniosła na nią nagle przymknięte przed chwilą oczy.

— Dziękuję, siostro — szepnęła z wysiłkiem. — Nie potrzeba. Czuję się dobrze.

I znów opuściła ciężkie powieki. Po zapadłych głęboko jagodach[147] spłynęły dwie duże, jasne łzy.

Agnieszka szybko odwróciła się i wyszła na korytarz. Gdy mijała oratorium, doszedł ją szept końcowych słów litanii i uczuła słodką woń kadzidła. Na płytach posadzki wykwitła różyca blasków rzuconych przez zachodzące słońce i zagrała w półmroku uśmiechem jesieni… Nacisnęła klamkę ostatnich drzwi w głębi i weszła do sali kapituły.

Wnętrze było owalne, wysoko sklepione. W absydzie, na lazurowym tle opony z kitajki wielki, hebanowy krzyż z Umęczonym, pod nim katedra ksieni ze strzelistym, gotyckim krzesłem, na skrzydłach pod ścianami dwa rzędy stall dla matek z przedpiersiem ławek dla sióstr chórowych i służebnych; pod witrażem smukłego jak cyprys okna stół dębowy z miednicą, dzbankiem wody i zwieszonym z krawędzi ręcznikiem, a naprzeciw katedry w środku sali, na kobiercu, w ramach dwóch srebrnych lichtarzy klęcznik z czerwoną, aksamitną poduszką i dwa krzesła.

Tu gromadziły się mniszki po mszy na modły i pobożną lekturę, tu po nieszporach w dnie wyznaczone przez *horarium* tygodnia czytały ustępy z martyrologii lub reguły zakonnej, interpretowane potem przez przeoryszę. Tutaj w środy i soboty, po prymarii, czyniąc akt publicznej pokory i skruchy, wyznawały swe uchybienia przeciw przepisom klasztornym i były świadkami przyjęcia nowicjuszek.

W tej chwili sala kapituły tonęła w półmroku; nadciągające zewsząd cienie wieczora rozpraszał tylko nikły pełgot lampki krwawiącej u stóp Chrystusa Ukrzyżowanego. W kręgu tej cichej, smutnej rozświetli ujrzała Agnieszka na tle klęcznika wysmukły kontur ksieni. Z twarzą ukrytą w dłoniach, zatopiona w kontemplacji matka Anastazja nie odwróciła się na szelest jej kroków. Wikaria, nie chcąc przerywać jej chwili rozmyślań, zatrzymała się wyczekująco pod ścianą, opodal oszklonej szafki bibliotecznej.

Purpurowe rzuty lampki trafiały od czasu do czasu grzbiety książek i wyświęcały napisy. Jak w kalejdoskopie wychylały się z mroku i gasły orchidee mistycznych traktatów, rozpraw, dialogów. Przed oczyma Agnieszki przesunęła się w skrócie antologia hagiografii i mistyki chrześcijańskiej: *Traktat o czyśćcu* św. Katarzyny z Genui, Ruysbroeck'a Przedziwnego *Zaślubiny Duchowe*, Dionizego Areopagity *Hierarchie Niebieskie*, Katarzyny Emmerich *Pasja bolesna*, św. Bonawentury *Teologia seraficzna*, Angeli z Foligno *Księga wizji*, pełne metafizycznych upojeń rozprawy Magdaleny de Pazzi i liliowy kwiat średniowiecza, przepiękna *Legenda aurea* Jakuba de Voragine…

Nagle matka Anastazja podniosła się z klęczek i spostrzegłszy Agnieszkę, dotknęła kontaktu elektrycznego na ścianie przy stallach. Wnętrze wypełniło się łagodnym, przytłumionym przez mleczne matówki światłem. Ksieni zajęła miejsce za katedrą, wskazując siostrze gestem ręki jedno z krzeseł.

Agnieszka usiadła, w skupieniu ducha przygotowując się do rozmowy. Bo domyślała się już celu dzisiejszego wezwania. Od czasu do czasu w godzinach wieczornych, po nieszporach prowadziła przeorysza z siostrami zakonnymi dłuższe dysputy samowtór. Temat tych rozmów umiała matka Anastazja dostosować zawsze do poziomu duchowego interlokutorki, nie tracąc przy tym z oczu ogółu powierzonej sobie gminy niewieściej. Wysoka inteligencja ksieni harmonizowała w cudowny sposób treść tych silnie zindywidualizowanych dialogów z przeciętnym poziomem dyskursów zbiorowych prowadzonych pod jej przewodnictwem w dnie wyznaczone regułą klasztoru.

Siostra Agnieszka była jedną z najinteligentniejszych zakonnic; jej subtelna umysłowość była pod niejednym względem pokrewna umysłowości przełożonej. Toteż matka Anastazja, wyczuwając tę bliskość intelektualną siostry, chętnie zapuszczała się z nią w długie, przepojone ważką treścią rozmowy. Dysputy ksieni z wikarią, nacechowane głębią myśli, miały charakter wyjątkowy. Cel ich był pedagogiczny. Przy ich pomocy pragnęła przeorysza doprowadzić siostrę do tych wyżyn duchowych, na które wzniosła się sama. Bo przenikliwa, odczuwająca tajemne drgnienia serc intuicja mówiła jej, że

[147] *jagody* (daw.) — policzki. [przypis edytorski]

w duszy Agnieszki toczy się wciąż zaciekła walka i że daleko jej jeszcze do seraficznej pogody oblubienic Chrystusa…

Jakby sondując wnętrze duchowe podwładnej, utkwiła w nią ksieni spojrzenie swych pięknych, mądrych, ciemnoorzechowych oczu.

— Przychodzisz od łoża boleści, siostro? — zapytała.

— Tak, matko. Siostra Beata jest dzisiaj bardziej cierpiąca niż zwykle.

— A jednak duch jej wciąż nieugięty. Czyż nie godna podziwu?

— Czcimy ją wszystkie jak świętą, a ja może więcej od innych, bo w jej obecności czuję małość moją.

— Chrystus ci wynagrodzi pokorę twoją, Agnes. Małeśmy wszystkie przy siostrze Beacie. Żagwi się ona pośród nas jak Kierz Płonący[148], co wiódł lud Izraela do Ziemi Obiecanej.

Zaległo milczenie. Ksieni, jakby skupiając się, ukryła twarz w dłoniach; jej cudne, o subtelnym rysunku usta poruszały się lekko szeptem modlitwy. Gdy podniosła znów oczy, były pełne płomieni i blasków.

— A czy wiesz, Agnes, jaki cel mają cierpienia Beaty? Czy zastanawiałaś się kiedy nad tajemnicą męczeństwa?

— Niejednokrotnie, matko. Sądzę, że zadaniem istot podobnych jest ekspiacja cudzych grzechów. Podobno nasz klasztor wziął na siebie obowiązek zmycia hańby, którą okryto zakon naszych poprzedniczek.

Po czole matki Anastazji przesunął się ledwo dostrzegalny rumieniec.

— Nie można ściągać wielkości jej cierpień do wymiarów tak nikłych jak pokuta za winę jednostki. Niewątpliwie męczeństwo Beaty przynosi ulgę w kaźni i temu, który przed wiekami zbezcześcił klasztorne zacisze, lecz ma ono przed sobą daleko szersze, daleko rozleglejsze horyzonty. Czy słyszałaś coś o wielkim prawie „podstawienia”? O prawie „substytucji”?

— Nie, matko wielebna.

— Jest ono bolesnym darem, którym zaszczyca Chrystus tylko jednostki wybrane, a polega na tym, że wybrańcy biorą na siebie cierpienia fizyczne lub duchowe innych, którzy nie dorośli do ich ogromu, ugięliby się pod brzemieniem i zeszli na bezdroża. Substytucja duchowa, która niegdyś stanowiła chlubę karmelitanek, powoduje przenoszenie się katuszy moralnych z dusz słabych i podatnych jak trciny na jednostki silne i odporne, które śmiało stawiają czoło pokusom i atakom ducha przewrotności. I to jest właśnie chwałą zakonów kontemplacyjnych, że przez modlitwy i umartwienia, przenosząc na się cierpienia duchowne innych, chronią dusze chwiejne i niepewne przed upadkiem; na nich to wyładowują się przeważnie ciężkie, miazmatami piekła brzemienne chmury; są niby gromochronami społecznymi, które zwabiając na się przez modlitwę szatański fluid, rozbrajają zbyt silne chwilami napięcie potencjału zła i grzechu.

— Więc przypuszczasz, matko wielebna, że siostra Beata jest jedną z tych dusz wybranych?

— Przypuszczam więcej nawet. Sądzę, że choroby znęcające się nad jej biednym ciałem, nie odpowiadają tylko chorobom fizycznym, które były przeznaczone dla innych, lecz są ucieleśnionym na drodze mistycznej symbolem chorób duchowych, których dzięki niej uniknęły całe rzesze, może całe społeczeństwa ludzkie w ciągu wieków.

— Roztaczasz, matko wielebna, przede mną tak dziwne perspektywy…

— Niemniej rzeczywiste. Czy cię nie uderzyło to, Agnes, że zawsze w okresach największego rozpasania zmysłów i w ślad za tym idących zbrodni pojawiali się na ziemi ludzie święci, pełni zaparcia się i żądni męczeństwa?

— Istotnie, matko. Wygląda to tak, jak gdyby szczytom wyuzdania musiały zawsze towarzyszyć Monsalwaty[149] pokuty i cierpienia. Lecz czyż można to nazwać sprawiedliwym? Dlaczego zawsze ktoś ma cierpieć za drugich? Skąd ta nierówność doli?

— To tylko chwilowa konieczność, to tylko stan rzeczy przejściowy, będący wynikiem wielkiego prawa ewolucji powszechnej. Owszem, ja w tej „nierówności” widzę najwyższą

[148]*kierz płonący* (daw.) — płonący krzak, tu: biblijny krzew gorejący, w którym objawił się Mojżeszowi Bóg Jahwe (Wj 3). [przypis edytorski]

[149]*Monsalvat* — zamek świętego Graala pojawiający się w legendach o Parsifalu i Lohengrinie. [przypis edytorski]

sprawiedliwość. Bo słuszną jest rzeczą, by duchy silniejsze, wyżej na drabinie Jakubowej rozwoju stojące brały w obronę braci słabszych pod względem duchowym i pomagały im w pielgrzymowaniu ku bramom wieczystej Jeruzalem.

— Chociażby ci „bracia słabsi" odgrywali w życiu doczesnym role uprzywilejowanych, chociażby na ich drodze zakwitały same róże, tęczowały same jutrznie i blaski?

— Tak, siostro droga, tak: po trzykroć tak! Bo pomnij na to, że przyjdzie czas, gdy i ci marnotrawni synowie Ducha, te rozpieszczone przez życie beniaminki ockną się i oprzytomnieją; a wtedy i na nich przyjdzie z kolei okres twardej służby bożej i oni będą musieli w krwawym znoju dorabiać się Boga w sobie.

— Chyba po śmierci, matko? Biografie niektórych wielkich zbrodniarzy i „królów życia" są stylowe do końca: nie znać w nich ani cienia skruchy, ani śladu zboczeń z obranej raz drogi; życie niektórych „rozkoszników" snuje się aż do godziny zgonu jednym bujnym, powodzią świateł zalanym szlakiem, wydaje się być jedną wielką, bachiczną pieśnią radości i upojenia; nawet żałobne sztandary śmierci pochylają się kornie przed krasą ich życia: umierają nagle, szczęśliwie, bez cierpień, prawie nie wiedząc o tym. Więc chyba po tamtej stronie, w retortach zaświatów przetapiają się ich dusze?

— Sądzę, że duchowi jedynie przez ciało ku wieczności droga. Odrodzenie

— Więc jakże pogodzić te sprzeczności, matko? Jak wyjaśnić tę zagadkę?

— A skąd ta pewność, Agnieszko, że żyjemy raz tylko? Że w ciągu jednego żywota wyczerpujemy wszystkie tkwiące w nas możliwości?

— Więc wierzysz w powrotne wcielenia tej samej jaźni, matko?

— Chrystus Pan nigdzie nie wypowiedział się przeciw tej prastarej wierze…

Umilkły. W łagodnej poświacie wnętrza, na tle surowych ścian kapitulnej sali niby wycięte w onyksie rysowały się subtelne ich profile: ascetyczny, przeduchowiony matki Anastazji i wrażliwy, nerwowy siostry Agnieszki. A wśród ciszy wieczornej godziny niby motyw przewodni środowiska płynęła z oddali przytłumionym rytmem wieczysta pieśń morza.

KRAJOBRAZ ZIMOWY

Zima rozsiadła się na dobre na kaszubskim brzegu — sroga, pazurami mrozu zjeżona, od wichrów rzężenia ochrypła zima. Zakasała huby[150] śnieżystej karwatki[151], nacisnęła na sędziwą głowę uszatą, kożuszkiem szronu podbitą mucę i hulała po przystrądziu. Stężały na kość zasiąkla, pokryły się powięzią jeziora i stawy, zaciągnęła skrzepem przybrzeżna fala. Na zrębach spychów dumały na pół zamarzłe, sumiaste zwisy, podobne do rozczochranych wąsów i bród stolemów. Posczezały do niepoznaki wydmy, kopce i duny[152] piachów, a na ich miejsce wyrosły śnieżne, lśniące szkliwem posrebrza czapy i sterty, na których szczytach wystrzelały zielone pióropusze charszczu i chwierutały się sieroco[153] na wietrze.

Jak daleko okiem objąć ląd, od ujścia Piaśnicy wedle granicznych Dębków poprzez Rozewską Blizę, hań w dół, na południe helskim pałaszem, aż po redę[154] w Gdyni — wszędzie widział się lód i śnieg; mróz wziął się za bary nawet z morskim bujowiskiem[155] i zmógł je stronami przy brzegach; skostniała toń w Wiku na twardą gołoledź, że można było przejść suchą nogą od Pucka do Jastarni, pokrzepły belnie daleko w „kraj" zapędzone, pośrodku gdyńskich łąk porozlewane wody przystani; i w awanporcie z godziny na godzinę ścinała się fala na zdradziecki śrysz, co gruzłami szkliwa tamował dostępy i wjazdy. Na pełnym rozchylisku przewalała się denega[156] ciężka, ospała i zwarta w szafirowo-szary zwał, na horyzoncie przesuwały się groźnie cyple i szczyty kier.

Nad sitowcowym hakiem wedle Wielkiej Wsi i ondzie nad mewią rewą, co piaszczystą ławicą przebiera się chyłkiem pod wodami od Kuźnic ku „krajowi", rozwieszała w porze

[150] *huby* — fałdy. [przypis autorski]
[151] *karwatka* — kaftan. [przypis autorski]
[152] *duna* — wydma piasku, zaspa, morska góra. [przypis edytorski]
[153] *sieroco* — jak sieroty. [przypis edytorski]
[154] *reda* — przystań. [przypis autorski]
[155] *bujowisko* — sfalowane morze. [przypis edytorski]
[156] *denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]

południowej ruchna i rańtuchy[157] gruba, mlecznobiała douka[158], że nie było widać nic już w odległości kilku kroków.

Pod zachód, gdy wieczorny, mrozem zaprawiony wiatr rozpędzał mgły z wikowej snadzizny[159], oglądało się na ziemię słońce czerwone, krwiste i zimne. Na ściemniałym granacie nieba krzyżowały się na dobranoc ścigłe loty mew i kormoranów, na wirchach klifów i uroczysk majaczyły senne zwidy zimorodków. Od morza szedł przednocny ziąb i przenikał na wskróś niczym brzeszczot stali. Hej, zima włodarzyła na pobrzeżu, luta, kaszubska zima!...

Tak minął otulony opończą śniegów godnik[160], minął styczeń i zawitał zjuszony pogwizdami wichrów gromnicznik[161]. Znienacka nadciągnęły od Szweda cichą ławą szproty, śledzie i wywabiły na łowiszcze flotyllę botów.

Obuci w wysokie, jałowicze skórznie, opięci mocno w nieprzemakalne zydwestki i impregnowane eltychy bobrowali maszopi całymi dniami po morzu, odbijając się daleko od strądu na żaglówkach i kutrach. Nęciła ich ku sobie obietnicą połowu „bretlingowa[162]" woda o swoistym, białawym odcieniu. I nieraz zdarzało się, że wracając do checz[163] z botami[164] przeładowanymi sielawką, musieli je przeciągać przez lód, którego zaborcze zasięgi posunęły się w międzyczasie w głąb morza.

Potem przyszła kolej na węgorze. Grepami, po czterech, po pięciu z trójzębnymi ościeniami w ręku, niby jakieś hiperborejskie Trytony i Neptuny zapuszczali się ryboce jastarniccy i z Helu po lodzie w głąb wiku na poszukiwanie gniazd i kłębowisk „bodzionków". Od rana do nocy rozlegało się w zatoce stukanie bodorów[165] wziernikujących tajniki podlodowej nawierzchni.

Praca była żmudna. Smaleni przez nielitościwy wiatr, przemarzli do szpiku kości ryboce wybijali przeręble i zapuszczali w nie sondy bodorzy. Czasem godzinami bodli lód na próżno, czasem, gdy św. Antoni sprzyjał i wysłuchał modlitw pozostałych w domu białek, natrafiali na całe wężowiska odrętwiałych, w drzemce zimowej pogrążonych ryb. Teraz szło już wszystko snażnie jak na płani w czas głady. Wpierając się w szkliwo lodu żelaznymi bierdżadłami[166] podeszew, ściskając krzepko w dłoniach stroisze[167] ościeni, wywiercali w niewielkich od się odstępach w linii prostej od odkrytego legowiska dalsze przeręble i zawsze już wyciągali z zimowych pieleszy kłębowiska dziwnie poplątanych, zguśniałych od sennej drzemoty bodzionków.

Lecz niekiedy połów kończył się tragicznie. Zdarzało się, że rybak zacietrzewiwszy się zbytnio, „pchnął" za daleko od strądu, zapędzając się w sferę niepewną, na pół tylko zamarzłą; nagle lód pękał mu pod nogami i pokruszony na tafle „szczytów" odpływał z nieszczęśliwym na szor[168]. Epilog żeglugi na „szczycie" najczęściej bywał fatalny. Zagnany na pełne morze rozbitek zwykle ginął z głodu i zimna, zanim zdołano mu przyjść z pomocą; rzadko tylko udawało się doświadczeńszym i silniejszym przez przeskakiwanie ze „szczytu" na „szczyt" dotrzeć z powrotem do lodowej calizny lub przy pomocy bodoru skierować bieg tafli w stronę zbawczej zatoki. Zwyczajnie zabłąkani w pustyni wodnej nie wracali już do rodzinnej chaty. Tak przepadł bez wieści przed laty Jan Mroch, bosman z Poczernina, w podobny sposób zaginął bez śladu Grzegorz Glasz, retman z Odargowa. Morze jest zdradliwe — nawet wobec swoich ukochanych dzieci...

W połowie lutego zaniosło się na wielki łów niewodami w Sulistrowskim Jeziorze. Wybrany jednogłośnie przez „prawiów[169]" wodzem wyprawy Mateusz Chojka z Oksywia wyznaczył zbiórkę na dzień św. Macieja Apostoła, który tego roku przypadał na 24 lutego.

[157] *ruchna i rańtuchy* — szaty i całuny (fartuchy). [przypis autorski]
[158] *douka* — mgła. [przypis autorski]
[159] *snadzizna* — mielizna. [przypis autorski]
[160] *godnik* — grudzień. [przypis edytorski]
[161] *gromnicznik* — kaszubski: luty. [przypis autorski]
[162] *bretlingowa* — Szprotowa. [przypis autorski]
[163] *checza* — chata, dom. [przypis edytorski]
[164] *bot*, właśc. *bat* — łódź rybacka o jednym maszcie. [przypis edytorski]
[165] *bodor* — oścień. [przypis autorski]
[166] *bierdżadła* — haki. [przypis autorski]
[167] *stroisze* — rękojeści. [przypis autorski]
[168] *szor* — głębia. [przypis autorski]
[169] *prawiów* — rybaków, właścicieli łodzi. [przypis autorski]

Już od wczesnego rana zaroiły się brzegi jeziora od maszopów i pomocników — „manteliksów", wśród których nie brakło i dziewuch, radych, że nadarzyła się sposobność do przyśmiechów i pogwarków z knopami. Dzień wstał jakiś niemrawy, doukowaty[170], a lodowe podmuchy Nordy[171] niedobrze wróżyły. Jakoż koło dziewiątej nadciągnęła znienacka czarna jak noc tamcza[172] i opuściwszy się ciężko na jezioro, zarzuciła na świat nieprzeniknioną mreżę poćmy. Szczęściem jak nagle przyszła, tak i odleciała, sypnąwszy na pożegnanie śnieżną kurzawką.

A właśnie na tę chwilę przyśpiał[173] wódz wyprawy, spóźniwszy się trochę z tej przyczyny, że wraz z kilkoma prawiami chciał wysłuchać do końca mszy do św. Piotra, którą ksiądz kapelan Pszenicki odprawił na intencję połowu w przydrożnej kaplicy.

Chojka ledwo wysiadł z sań i otrząsnął się ze śniegu, dał znak do rozpoczęcia dzieła. Mocarne, rozłożyste w barach knopy i maszopy czyhały tylko na ten znak. Nie przebrzmiała jeszcze komenda, a już zadudniło na jeziorze jak na klepisku po ożniwinach. Na prawo i na lewo od miejsca, które zajął Chojka, zaczęto wyrębywać przeręble. Gdy poprzez otwory zaczerniała woda i wyzierała ku ludziom niby duże, czworogranne oko, zapuszczono gęstą, podwójnie skręcaną „watę" przytwierdzoną do dwóch drążków. Wkrótce spętane lodem jezioro pokryło się czworokątami rząpów i cembrowin, że z daleka wyglądało jak wielka, obwałowana szańcami śniegu szachownica.

Tymczasem w środku łowiszcza, tam gdzie obrał sobie stanowisko Chojka, wycinali „prawie" przerębel główną. Ku niej to, niby tętnice i arterie ku sercu zmierzały promienisto poprzecznymi kanałami i ścieżynkami przeręble oboczne.

Praca przeciągnęła się do południa. Dopiero „po półni", wedle podwieczorku zaczęli prawie wlec niewody do przerębli-matki. Chojka ćmiąc fajkę, otoczony kłębami żółtego dymu czuwał nad wydobywaniem sieci. „Cześnik", Grzegorz Paszek z Małego Kacka i kilku maszopów z Karwi i Odargowa chwyciło za rękojeści kołowrotów. Nabrzmiały mięśnie ramion, napęczniały żyły na czołach; rzęsny pot, chrzest gorzki utrudzonych, wywiązał się z ciał cierpkim wysiąkiem. Powoli, ociężale szedł w górę wielki niewód, kręcichą zwany, a za nim inne pomniejsze: klepy ze stedrami, wątony przepastne, pławnice z macecą w pośrodku, gruntowniki, drguby troiste, na łów wielmi zachłanne i matnie zdradliwe. A wszystkie pełne, a wszystkie rybą ciężarne. Poprzez oka niewodów i cez przebłyskiwały pancerzami łusek szczupaki, łososie, karpie i jesiotry, przeglądały obłe ciała miętusów i węgorzy, duśbiły się okonie, leszcze, jazgarze, stynki i karasie; miejscami, tam i sam spośród szarej czeladzi płotek, bańtek i mutek wyłaniał się pękaty, wisiorami wąsów obwieszony łeb starego suma. Rzuciły się chciwie ku zdobyczy manteliksy z karzniami i liszkami. Ryba, co większa i przedniejsza, przypadła w dziale prawiom, właścicielom łodzi i niewodów — pospolity czmyr dostał się pomocnikom. Nie obeszło się przy tym bez kłótni i sporów, ile że każdy chciał zagarnąć dla siebie, co lepsze. Najgłośniej rządziła się wśród białek Ota Paczulanka, manteliksa Piochowa. Jak möra-nocnica uwijała się przy przeręblach, wytrząchując do hurtownika karznię raz w raz zapełnianą rybami po brzegi. Aż ją Chojka hamować musiał, przed oczy stawiając innych, którym też się coś należało.

Wyłowek i podziałek przeciągnął się do późnego zmierzchu; poślednią część pracy wykonano już przy blasku pochodni. Józek Pioch, co się dotąd z dala trzymał od Dorszówny, pilnie strzeżonej przez zazdrosnego ojczyma, zbliżył się nagle do niej i korzystając z półmroku, objął w pół i przytulił do roztęsknionej piersi. Lecz nie uszło to uwagi Kurra. Jak spod ziemi wyrósł tuż przy zakochanych.

— Te kątorze[174]! — rzucił zjadliwą obelgę rywalowi. — Wara ci od moje dzewus[175]!

I zamierzył się nań pięścią. Józk, wypuściwszy z objęć Hedę, odparował zręcznie cios i już gotował się do walki, gdy rozdzielił ich surowy głos wodza:

— A wom wara od kłótnie i wygrozy! Lepiej beło wom dzisia doma siedzec, przy strondze żaki krzewac abo z biołkami ceze wizc[176], niż po próżnice burde robic i mową

[170] *doukowaty* — mglisty. [przypis autorski]
[171] *Norda* — wiatr północny. [przypis autorski]
[172] *tamcza* — chmura. [przypis autorski]
[173] *przyśpiał* — zdążył. [przypis edytorski]
[174] *kątorze* — dosłownie: ropucho. [przypis autorski]
[175] *dzewus* — dziewuchy. [przypis autorski]
[176] *wizc* — dziergać. [przypis autorski]

kąśliwą jeden drugiego gryzc. Małe tu z wos dzisia beło ucieszenie. Idzta teroz precz do checz, każdy po osobni, bo se belnie strachuję, by Smantk[177] wom większe zawzientości do serca nie przignoł.

Wielka musiała być powaga i znaczenie Chojki wśród Kaszubów, bo przeciwnicy, choć ich ofuknął ostro, nie bardzo przebierając w słowach, od razu zaprzestali zwady i tylko łypiąc na się złowrogo spode łba, rozeszli się w przeciwne strony.

Tymczasem połów skończył się. Objuczeni karzniami i liszkami prawie, manteliksy i maszopy zaczęli ściągać się z jeziora na brzeg. W świetle pochodni i żagwic postacie ich wyolbrzymiałe konturami cieniów pomykały po drogach i ścieżach, podobne orszakowi duchów i stolemów. Tu i tam zadźwięczały dzwonkiem sanie unoszące jeziorzany łup w odleglejszą stronę, tu i tam zaturkotał wózek furmanki. Czyjś głos świeży i młody, tęsknotą nabrzmiały nucił smętną jakąś piosenkę; melodia oddalała się w głąb lądu, cichła, mętniała, aż zgłuchła, rozwiała się wśród cieniów nocy...

Brzegiem spychów, ścieżyną biegnącą nad stromym wiszarem pospieszali samotrzeć: Mateusz Chojka, Ota Paczulanka i Antoni Pioch: starym, pięknym zwyczajem szli podzielić się połowem z Tomaszem Wzorkiem, latarnikiem z rozewskiej blizy. Należało się to staremu po sprawiedliwości, bo stróżem był czujnym i wartował u przylądka niczym żuraw. Toteż szanowały go władze portowe w Gdyni i wśród maszoperii rybackiej miał wielkie zachowanie[178]. Godnym był człowiekiem pan Tomasz Wzorek, rozewski latarnik. Dlatego lubo[179] obciążeni rybą w karzniach przewieszonych przez plecy, lubo chłostani przez Nordę bez litości, szli wszyscy troje ochotnie, bo oczekiwał ich gospodarz życzliwy.

Wśród jęków wichru minęli Chłapowo, obeszli borszucze wykroty Jażwcowego Jaru i opuściwszy się ku strądowi, wstąpili na betonowy bulwar u stóp latarni.

Teraz szło się im gładko, jak po stole. Po prawej huczało morze, obryzgując ich co chwila popluszczą pian, po lewej, poza szkieletami drzew rysowała się wysmukła sylweta latarni. Zeszli z bulwaru i zaczęli wspinać się po wąskiej, wyłożonej progami ścieżce. Na chwilę przysłonięta zboczem przylądka bliza znikła im z oczu; tylko świetliste dreszcze jej migawek upewniały ustawicznie, że tam, w górze jest i czuwa.

Zmęczeni wdzieraniem się po pochylni Pioch i Chojka przystanęli w połowie drogi; bardziej od nich wyczerpana Ota przysiadła na ławce pod sosną. W milczeniu rozglądali się po okolicy.

Smutno było na rozewskim wydrożu w tej porze. Z pościeli śniegów dźwigały się osierocone śniaty[180] jesionów i grabów, potrącając się wzajemnie kikutami nagich pławin — smętne, nastroszone nad roztoczą chocholiska. Wśród powęźlonych dziko chaszczy i drzonów dumały uschłe badyle sarnowca i krwawnicy, pokazywały morzu nędzę łodyg laskonogie tawuły. Wiatr luty, wiatr zajadły wpadał co chwila w tę zubożałą stronę, wykręcał drzewom ramiona w stawach, tarzał się w śniegu i wzbiwszy w górę białą kurzawę śniegu, wracał w pogwizdach ku płani.

Hej, inaczej tu bywało w czas lata, w żniw porę urodziwą, gdy zakwitły jarzębiny, głogi, zazieleniały lipy, brzozy a spodem podesłały się kilimami ametystowe mikołajki, osty i nietoty! I wiatr wtedy nie miał tu dostępu, bo napęczniałe sokiem gałęzie, listowiem zbrojne, zuchowate stawiały mu się hardo, sprężone w sobie i nieustępliwe — i morze, ilekroć nazbyt daleko zapędziło się pod blizę, spotykało odpór mężny, zwarty, niewątpliwy. Hej, inaczej tu bywało, inaczej w porę lata urodziwą...

Zakisłymi od starości oczyma wodziła Ota po bezludziu. Szedł od niego w jej zgorzkniałą, piołunem zaprawioną duszę wielki smutek zimy i mroził resztki krwi. Oddychała ciężko, bo ładunek karzni przenosił[181] jej siły. Nie byłaby może nawet powlokła się za szyprem i Piochem do Rozewia, gdyby nie znęciła jej obietnica większego przydziału w rybach oraz pewne widoki na wzorkową „zoczerkę” z mąki żytniej i tłusto omastą okraszone golce.

— Ninia! — zawołała, powstając z ławki. — Idzemy?

[177]*smantk* — diabeł. [przypis autorski]
[178]*zachowanie* (daw.) — szacunek. [przypis edytorski]
[179]*lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]
[180]*śniaty* — pnie. [przypis autorski]
[181]*przenosić* (daw.) — przerastać. [przypis edytorski]

— A no, gwes idzemy, ciejeś już odpoczęła — odpowiedział jej szyper, przekrzykując jęki wichru.

I poszli. W kilkanaście minut później kołatali już do drzwi wchodowych latarni. Otworzył im mężczyzna wysoki, chudy, z długą, mleczno-białą brodą, w futrzanej mucy na głowie.

— Witajcie, kumo i wy, kochani somsiedzi! — powitał ich i przyświecając kagankiem, poprowadził przez dziedziniec do parterowego domku obok latarni. Wkrótce potem goście, obsiadłszy duży, staroświecki kominek, rozgrzewali przy ognisku zdrętwiałe ręce i nogi. Gospodarz odebrał podarki, podziękował mocnym uściskiem dłoni i oddawszy ryby pod opiekę Rozalii, starej, od lat mu wiernie gospodarzącej słudze, usiadł obok na zydlu. W blasku jarzących się krwawo bierwion zarysowało się teraz wyraziście jego piękne, posągowe oblicze.

Twarz latarnika z Rozewia znamionował kamienny spokój; zdawało się, że nic na świecie nie potrafi zamącić nadludzkiej ciszy jej rysów. Wsłuchany w wieczysty rytm morza Tomasz Wzorek jakby wchłonął jego majestat i powagę — zapatrzony w gigantyczne rozchwieje deneg[182] stał się jak one bezwzględny i nieczuły. Latarnik z rozewskiej blizy był jak konieczność, jak nieubłagane rozkazanie. Zawieszony między niebem a ziemią i między lądem a morzem w lat długim korowodzie stał się człowiekiem rubieży, istotą na pół rzeczywistą; był jak posąg samotny na pograniczu dwóch światów, jak drogman przedziwny nasłuchujący szeptów płynących zewsząd ku szczytom niebosiężnej czatowni.

Od jak dawna pełnił obowiązki latarnika, nikt ze współczesnych mu nie umiał powiedzieć; najstarsi ludzie z pobrzeża mówili, że ich ojcowie znali już Wzorka z Rozewia; początki jego służby w nadmorskiej wypatrzni gubiły się oczom ludzkim w mrokach przeszłości; latarnik miał dziś może lat sto, może więcej; któż odgadnie?

Skąd pochodził, z jakich stron był rodem, też nikt nie wiedział. Nosił się jak Kaszub, lecz czy był nim ze krwi ojców, nie wiadomo. Mowa jego przeplatana z rzadka tylko nalotami postrądzia, nalotami jakby umyślnymi i siebie świadomymi, zdradzała człowieka ze stron odległych. Nagabywany o to wręcz, zbywał Wzorek pytania pogardliwym milczeniem.

W ogóle rozewski strażnik niechętnie wdawał się w dłuższą gawędę i stronił od ludzi; wieloletnie obcowanie z żywiołem, zda się, odstręczyło go od życia gromadzkiego; słowa jego skąpe i rzadkie miały za to ważkość kamiennego rzutu.

I dziś, lubo obdarowany hojnie i znać rad swoim gościom, milczał uporczywie, pykając z bursztynowej fajeczki. Aż Chojka wyciągnął go na słowo:

— Co u wos słychoc, somsiedze?

Wzorek wyjął z ust fajkę i przez chwilę wpatrywał się w ogień. W końcu, jakby odpowiadając własnym myślom, rzekł półgłosem:

— Źle słychać, bardzo źle słychać. Znów pojawił się Klecha-Głowacz na bujowisku. Sam widziałem parokrotnie, jak wychylał spośród przewałów swój mniszy plesz[183] i wiosłował płetwami ramion w stronę klasztoru. Niedobry to znak.

— Hm — chrząknął znacząco Pioch. — Niby lo kogo?

— I dla was, reboce, dla was, ludzie ze strądu i dla klasztoru. Pospólna bo wam sądzona tu dola.

— Hi, hi, hi! — zachichotała Ota. — Pan latarnik snaże bajki powiodajom. A ciejże chto widzioł Kleche-Głowacza?

— Głupio z wos białka i tele — zgromił ją Chojka. — Mądrzejszy od ciebie go widywale; nie od dzisia on i nie od wczora hakami pletw wody nasze porze. A to pewno, że, ciej dze zmora ta kanie[184], żałobę i smantek wróży. —

Wzorek odwrócił oczy od ogniska i wpierając je ciężko w Paczulankę, rzekł dobitnie, choć bez cienia gniewu:

— Śmiech wasz pusty, kumo; pusty jak wiatr w szczerym polu. Zrodziły go gorycz wasza i żal; nie wierzę w śmiech wasz, kumo. —

Stara patrzyła w strażnika, nie rozumiejąc.

---

[182] *denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]

[183] *plesz* — tonsura. [przypis autorski]

[184] *kanie* — zjawi się, spadnie. [przypis autorski]

— Doukowata[185] wasza mowa ciejbe[186] tamcza[187] na Wiku — odparowała.

— Straciliście, kumo wiarę w sprawy tajemne i zdaje się wam, że wszystkiemu koniec, gdy nam zadzwonią na pochówek. Tępy wzrok macie, kumo: tępy jak u kreta.

— Nie podziwno — próbowała się jeszcze bronić — starom i schorzało; ślepia me bielą zachodzą.

Lecz latarnik już jej nie słyszał. Opanowany przez myśli, które wywołała rozmowa, snuł je dalej półgłosem, nie zważając na gości, jakby dla siebie.

— Niebezpieczny jest Mnich Morski porówno dla dzieci strądu, jak i dla klasztornic — mówił cicho, sennie, wpatrzony znów w rubinowe serce ogniska. — Niebezpieczny, bo budzi żądze i zażega płomień chuci; czerwona ruja idzie w ślad za nim, porubstwo drzemie we fałdach jego habitu, zbrodnia mu kumą-towarzyszką. Ilekroć wynurzy sponad rozlewiska swój łeb ohydny, podobny do mordy ryby-głowacza z golizną pleszu na potylicy, tylekroć zakwita na strądzie urokliwe zielsko grzechu, plenią się bujnie krwią opiłe chwasty. Aż się wypełnią czasy: aż i on spocznie snem wiecznym po latach kaźni za grzech, swój wielki, ciężki grzech…

Izbę zaległa cisza. Słychać było tylko mruczenie dużego, czarnego kota, który się tu przywlókł za Otą, i pryskanie iskier w kominie.

— Teraz mnie na wieżę pora — przerwał zamyślenie gości głos latarnika. — Trza odbyć ront przedpółnocny. —

— Idzemy z woma, Wzorek — oświadczyli obaj mężczyźni.

— A no owszem, chodźcie! Jeno ogarnijcie się dobrze w eltychy, bo tam tęga dziś dma na górze.

I zostawiwszy kobiety w ciepłej izbie, poszli ku latarni. W jakie dwa pacierze stanęli pod szczytem na galerii.

Przestrzeń zalegała gęsta, mocno nasycona mgła. U stóp ich, głęboko w rozchylisku brzegów przewalało się z rykiem morze, mimo nich i ponad głowami szalał wiatr. Co parę sekund niby pulsujące arterie strądu rozrywały ciemność nerwowe skurcze migawek i świadczyły światu, że serce Rzpltej[188] bije zdrowe i czuwa. Od czasu do czasu jakby dla wzmożonej kontroli wystrzelał z trzona blizy podłużny, stożkowaty snop światła, rozgarniał mroki nocy, przeglądał morze uważnie wielkim, śledczym okiem i wsiąkał z powrotem w organizm wieżowy. Wtedy odzywał się sygnał mgłowy — przeciągły, pięciosekundowy ton syreny. I znów rozbłyskiwały dreszcze migawek…

Tomasz Wzorek patrzył na morze; na ustach miał uśmiech, w oczach rozmarzenie.

— Jak tu pięknie — szeptał, wtórząc myślom swoim — jak tu pięknie, bracia moi, reboce! Bujna, bezpańska dziedzina. Dzień w dzień, noc w noc grają mi wieczyste chorały fal, zawodzą wielkie harfy wiatru; dzień w dzień, noc w noc słyszę oddenne rytmy wełn, wichrowych skarg poświsty. Nad roztoczą wód, nad szumawą pian sam jestem, sam jak pierwszy człowiek na ziemi. Nade mną niebo, pode mną morze i ten skraw ziemi i więcej nic: nic prócz Boga i Jego bezmiarów…

Umilkł i przyczajony jak do skoku wżerał się spojrzeniem w noc. Wtem wyciągnął ramię i wskazując coś na morzu, zapytał:

— Widzicie tam na wirchu tej czarnej, zjuszonej posoką białych jadów denegi?!

— Statek — odpowiedział mu drżącym głosem Pioch. — Statek rozbity na ręby…

— To Szalona Fregata, towarzyszu ze strądu: opętana fregata bez steru, bez załogi, co błąka się po tych wodach od wieków. Nikt nie zna celu jej drogi, nikt nie zbada jej kursu. Od niepamiętnych czasów zeszła z rumbu i tuła się jak widmo, jak zmora… Na ocalałym cudem jakimś bezanmaszcie płonie gromnicznym światłem zielona latarnia i sieje upiorne światło na spróchniały pokład. Wśród oplączy powęźlonych want[189] i sztagów[190], wśród zgmatwanej na wieki sieci szkotów i halsów czernieją poszarpane płachty żagli, szczerzą się piszczele rej, bomów i gafów[191]. A w pośrodku, na kapitańskim mostku jakby na

[185] *doukowaty* — mglisty. [przypis edytorski]

[186] *ciejbe* — niby, jakby, jak. [przypis edytorski]

[187] *tamcza* — chmura. [przypis edytorski]

[188] *Rzpltej* — skrót od: Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

[189] *wanty* — tutaj: liny boczne masztu. [przypis autorski]

[190] *sztagi* — rodzaj lin. [przypis autorski]

[191] *rej, bomów i gafów* — drewn przy maszcie do rozwieszania żagli. [przypis autorski]

ironię zatknięty igraszką fal w rozszczepiony bosak zwraca się ku morzu wylotem trąby sztormowy megafon…

— Mróz idze ku nom od zwidu — mruknął, żegnając się Chojka.

— Ju sczezło — stwierdził po chwili, oddychając z ulgą Pioch.

— Ha, ha, ha! — zaniósł się nagle dziwnym śmiechem latarnik. — A czy wam się zdaje, że on tu jeden na bujowisku[192]? He, he, he! Gdzie tam! Setki ich tu się snują po falach, tysiące! Tylko oczy trza mieć wzwyczajone, tylko duszę wsłuchaną. Ja je znam wszystkie, słyszycie? Wszystkie! Przeciągają tędy przede mną korowodem mar od lat stare, z zagiętymi ku wnętrzu wargami burt karawele, korsarskie korwety, średniowieczne galeony i galery, dziwaczne, szyjami gryfów wygięte korabie, nawy i balingery. Znam je wszystkie po imieniu, znam te bezdomne włóczęgi, te pływające trumny. Zatopione przed wiekami ich kadłuby rozpadają się powoli gdzieś na dnie bełków[193] i otchłani, gdy widma ich wydźwignione z głębin wspomnieniami ludzi tłuką się z kąta w kąt po morskim bezdrożu. Z wysokości mojej czatowni śledzę ich szlaki błędne, kursy opętane, Bogu jednemu czy szatanowi wiadome. W głuche, jesienne noce, gdy rozhula się sztorm i morze rozkiełza miotem przewałów, widzę w rozbłyskach piorunów, jak borykają się z falą, wirują w piekielnym tańcu run lub porwane w szpony orkanu mkną lotem błyskawic po grzbietach grzywaczy.

Postawiony wolą losu na krzyżownicy wielkich dróg odbywam tu dziwne rewie; zrządzeniem doli wyznaczon na strażnika morskiej wypatrzni sprawuję tu rzadki urząd. Wychylony głęboko w roztocz wód, podany cały ku morzu jestem tu niby ogniwo pośrednie w łańcuchu stworzenia. O parę stajań od blizy, hen, w tym strzelistym klasztorze pełnią się co dzień sprawy Ducha, goreje lampa wieczysta bożej sprawy — do stóp klasztoru, niby do nóg matki przytuliła się susza lądu, przywarły ludzkie checze, przygarnęły się ludzkie serca — a dalej — już tylko wiecznie ruchome, wiecznie zmienne, wiecznie przelewające się morze. Na rubieży dwóch światów, na przejściu od bezkształtu Ducha do stężałych form ciała dźwiga się ponad rozchyle wód moja wieża; oczy jej czujne, nieustraszone patrzą spokojnie na prawo wieczystej przemiany, na nieśmiertelną wędrówkę Ducha z dziedzin nieokreślności w świat kształtów i na jego drogę powrotną. Morze, co wkoło oblewa moją latarnię, morze przetapiające bezustannie torsy fal w retortach zgonów i narodzin, wtórzy znojowi Ducha; jego huczne, wichrami orkanów, rykiem sztormów rozśpiewane chorały gędzą od wieków, od prapoczątku mękę wcieleń i zaników, rozbrzasków i zmierzchów. A tęsknica tułających się fal znakiem jest ludzkiej, wędrowniczej doli.

CIEMNA JUTRZNIA

Był schyłek Wielkiego Tygodnia. Rozszlochany skargami gorzkich żalów, rozsmętniony melodią suplikacji klasztor zbliżał się powoli ku wielkiemu dniowi Zmartwychwstania. Opustoszały ołtarze, umilkły dzwony, rozklekotały się drewnianym głosem kołatki. Nastała chwila zawieszenia, moment tęsknego wyczekiwania brzasku. I podczas gdy w perspektywie jutra wyczarowywał się już radosny świt, rozśpiewane hejnałami dzwonów *Allelujah* rezurekcji, nieubłagane, bezpośrednie „dzisiaj" spowijało serca kirem żałoby…

Jak za czasów wczesnego chrześcijaństwa, w epoce potajemnych zborów w podziemiach katakumb odprawiał klasztor Ciemną Jutrznię po północy. W kościele po stronie Epistoły zapłonęło na trójkątnym świeczniku 15 świec, symbol Apostołów i uczniów z Mistrzem na czele — sześć innych, również z żółtego, miodem pachnącego wosku rozbłysło na Wielkim Ołtarzu.

Z korytarza klasztornego wyszedł błękitny orszak Morskich Panien i rodzielony na dwa zastępy wypełnił stalle prezbiterium. Ksiądz kapelan Pszenicki w asyście diakona, księdza wikarego z Odargowa rozpoczął *officium tenebrarum*[194].

W mroku nocy zaglądającym do wnętrza świątyni przez szyby witraży, przy zgłuszonym przez mury akompaniamencie morza zabrzmiała melodia antyfony: — *„Astiterunt*

[192]*bujowisko* — sfalowane morze. [przypis edytorski]

[193]*bełk* — lej wodny. [przypis autorski]

[194]*officium tenebrarum* — ciemna jutrznia. [przypis autorski]

reges terrae[195]" — a w ślad za nią pełne oburzenia pytanie wielkiego Psalmisty: — „Przecżże[196] szemrają poganie a ludy rozmyślają o rzeczach próżnych?".

Powoli melodia psalmu wyczerpywała się; głos księdza jakby znużony wysiłkiem załamał się i umilkł.

Siostra zakrystianka przystąpiła do płonącego trójkąta i zgasiła pierwszą świecę u dołu od strony Ewangelii. Po kościele powiało nagle chłodem; jakby z ubytkiem tej jednej świecy wypaliło się jedno ożywcze ognisko i jakby zgęstniały mroki kwietniowej nocy…

A potem przyszła kolej na dalsze antyfony, psalmy i lekcje. Wśród coraz to pogłębiających się mroków świątyni, w przedświtowym chłodzie wnętrza snuły się różańcem recytatywów nabrzmiałe goryczą lamentacje, krwawiące bólem Ogrójca responsoria i rezygnacją owiane nokturny. Przed oczyma duszy odtwarzała się coraz wyraźniej, coraz plastyczniej przebolesna wizja klęczącego na Górze Oliwnej Syna Człowieczego, który resztkami instynktu broni się przed wychyleniem kielicha. Uczucie ogromnego osamotnienia, bezwzględnego opuszczenia przez wszystkich, nawet najbliższych narzucało się nieprzepartą suggestią i pogrążało w topiel bezbrzeżnego smutku. Sam, sam wśród ludzi…

A świece gasły, konały jedna po drugiej jakby z nakazu nieubłaganej woli, zawodziły w ostatniej, rozstrzygającej chwili, jak ongiś zawiedli Mistrza uczniowie w zaciszach Ogrójca. W końcu gorzał na szczycie trójkąta tylko jeden, nikły płomyk wydany na pastwę mroków w pustce czarnej, samotnej nocy.

Gdy po pieniu pochwalnym Zachariasza i antyfonie ksiądz Pszenicki zaintonował „*Christus factus est pro nobis*", diakon wyjął ostatnią płonącą świecę z wierzchołka symbolicznego triangułu i potrzymawszy ją przez chwilę nad brzegiem Epistoły, ukrył za ołtarzem.

Klęcząc już u stopni Stołu Pańskiego odśpiewali celebrujący i diakon psalm „*Miserere*". Potężna, rozdzierająca melodia wypełniła wnętrze zanurzone w matnię cieni. Gdy rozpłynęły się po kaplicach i niszach ostatnie echa psalmodycznej skargi, ksiądz kapelan zakończył nabożeństwo modlitwą „*Respice, quaesumus*"[197] W kościele rozległ się łoskot książek uderzanych o pulpity niby dalekie wspomnienie chaosu i zamętu po zgonie Zbawiciela. Spoza skrzydła ołtarza wyniosła zakrystianka ukrytą tam świecę i trzymając gorejącą wysoko ponad głową, postąpiła ku środkowi prezbiterium.

Wśród zaległej nagle ciszy obaj kapłani podnieśli się z klęczek i odeszli do zakrystii. W blaskach migocącej rdzeniem ogniska lampy wieczystej rozwinął się ciemnobłękitną wstęgą orszak sióstr i cicho, wśród szeptów modlitwy zagłębił się w podsienia klasztornych korytarzy. Na niebie świtało.

Nabożeństwo jutrzniane nie wywołało w sercu Agnieszki pożądanego nastroju. W duszy jej zamiast Oliwnego Ogrójca rozgościło się grzeszne roztkliwienie nad samą sobą; skargi psalmów, zamiast odtworzyć mękę duchową Zbawiciela, uświadomiły jej tylko własny ziemski smutek. I stała się dla wikarii ta Ciemna Jutrznia symbolem zdarzeń, co wkrótce już przywędrować miały szlakami żałoby, zapowiedzią jej własnych dróg krzyżowych, jutrznią złowrogich przeczuć.

Prawem niczym nieuzasadnionej, w głębinach duszy wylęgłej transpozycji przerobiły się melodie wielkopiątkowego nokturnu na uporczywe refreny fal morza. — Opętana ich rytmiką, oczarowana natrętnym ich urokiem wykradła się na palcach z *dormitorium* i wyszła na taras.

Była czwarta nad ranem. Łagodna, przedświtowa bryza zmierzwiła powierzchnię morza w bezlik białych run, co rozrzucone tam i sam pasły się jak stada baranków na płani. W przestrzeni panował szaroróżowy ton, na niebie spełzły już ostatnie gwiazdy i śnieżny sierp księżyca rozpływał się powoli w błękicie. Od strony Rozewia słała latarnia pożegnalne blaski, nadciągały porannym wyrojem stada mew. Gdzieś w głębi lądu piały koguty, dudnił daleki turkot wozu. Dzień wstawał wiosenny, poranek się budził kwietniowy…

[195]*Astiterunt reges terrae* — przystanęli królowie ziemscy. [przypis autorski]
[196]*przeczże* (starop.) — czemuż. [przypis edytorski]
[197]*Respice, quaesumus* — Spójrz (Panie), błagamy (Cię). [przypis autorski]

Wsłuchana w łoskot przyboju[198], w chichoty rozbijanych przez rafy na miazgę fal patrzyła Agnieszka w bezmiary roztoczy. Morze było puste; ani jeden żagiel nie rozpinał skrzydlatego ramienia nad rozchylą wód, ani jeden komin nie rzucał poza siebie wydłużonego cylindra dymu.

Nagle spoza rozewskiego przylądka wychynął oścień[199] statku z wydętymi od wiatru dzióbakami. Po chwili okrążywszy szerokim półkolem blizę, wyłonił się w całej okazałości piękny żaglowy dwumasztowiec; łopocąca na gaflu jego rufy biało-czerwona bandera zdradzała przynależność polską. Szedł pod wszystkimi żaglami; wypełnione przez wiatr płachty prężyły się jędrnie jak olbrzymie, białe piersi.

Statek zbliżał się szybko na linię klasztoru. Wtem gdy mijał połowę odległości między nim a blizą, nastąpiła w ożagleniu widoczna zmiana: zniknęły płótna górne i dolne, zwinęły się kliwry i sztaksle[200] a okręt zmieniwszy kurs, zwolnił biegu i jak tanecznica zaczął zataczać to naprzód, to wstecz niewielkie półkola; sprawiało to wrażenie, jakgdyby statek przestał żeglować w obranym kierunku i pragnął jak najdłużej utrzymać się na punkcie osiągniętym. I rzeczywiście po upływie pewnego czasu nie posunął się ani ćwierć mili morskiej lecz wciąż lekko i zgrabnie zakreślał drogę wahadła.

Na pokładzie uderzał brak ruchu; jak gdyby załoga po przebrasowaniu[201] rej i żagli zapadła się pod ziemię; tylko sternik drzemał przy odchylonym na wiatr rumplu[202].

Nagle na wyżce ukazał się mężczyzna w mundurze kapitana statku i oparłszy się o balustradę, zaczął przez lunetę obserwować wybrzeże. Stożek lupy powoli wędrował wzdłuż linii strądu, przeglądał uważnie nadbrzeżne wydmy, błądził po klifach i wreszcie zatrzymał się na klasztorze. Siostra Agnieszka instynktowo wyczuła, że marynarz spostrzegł i dlatego nie spuszcza lunety z poziomu tarasu. Ogarnęło ją uczucie zakłopotania; nie wiedziała, jak postąpić: odejść w głąb klasztornego ustronia czy pozostać na miejscu...

Nagle luneta wypadła z rąk obserwatora. Kapitan wyprostował się jak na baczność przed przełożonym i gestem żołnierskim przyłożył dłoń do daszka czapki.

— Czyżby kogo pozdrawiał?

Wikaria objęła szybkim spojrzeniem brzeg i otoczenie, lecz nie spostrzegła nikogo; ani na strądzie, ani na terasie nie było w tej chwili prócz niej żywej duszy. Więc pozdrowienie było skierowane w jej stronę? Nieokreślone uczucie zaczęło oplątywać jej dusze lianami czaru i lęku.

Tymczasem nieznajomy zeszedł z wyżki i manewrował przy szluplinach. Po chwili czarny kadłub szalupy podobny z daleka do dużej, pękatej łupiny zaczął po blokach obsuwać się na powierzchnię morza. W parę minut później kapitan odbijał od statku w kierunku klasztoru.

Agnieszka patrzyła na zbliżającą się szybko łódź; oczy jej jak uwiedzione siłą nieodpartych, bo tajemniczych uroków śledziły ruchy wioseł rozbryzgujących przedświtową falę, podziwiały męską moc ramion skracających z nieubłaganym uporem przestrzeń, co ich jeszcze dzieliła. Wtem zadrżała i zachwiała się jak pod ciosem przeznaczenia: poznała Janka Warmskiego!...

A on, jakby widząc, co się z nią dzieje, zerwał czapkę z głowy i, ukląkłszy na dnie szalupy, błagał ją oczyma o łaskę i przebaczenie.

— Odejdź stąd! Uciekaj stąd! — nakazywał jej głos czyjś surowy, niemiłosierny.

— Nie mogę. Na Chrystusa rany, na wszystko, co święte, nie mogę. Nie mam siły — broniła się rozpaczliwie, przechylając się przez balustradę ku kipieli. A tam w dole, wśród warów morskiego wrzątku, pomiędzy zjeżonymi wokół iglicami raf żebrał o litość jednego jej spojrzenia kapitan Jan Warmski. Podrzucany wraz z swą łupiną przez wściekły rozmach przyboju, pod ustawiczną grozą rozbicia i śmierci, z uporem szaleńca utrzymywał się na zjuszonej fali i wzniesionymi ku tarasowi oczyma pił słodycz jej spojrzenia, upajał się bezcennym widokiem najdroższej na świecie istoty.

— Hanko, Hanko moja! Tyżeś to, Hanko, tyżeś to naprawdę?

[198]*przybój* — uderzanie fal morskich o skałę. [przypis autorski]
[199]*oścień* — dziób (maszt poziomy). [przypis autorski]
[200]kliwry i sztaksle — rodzaje żagli. [przypis autorski]
[201]*przebrasowanie* — przestawienie, obrócenie. [przypis autorski]
[202]*rumpel* — rękojeść steru. [przypis autorski]

I porwany wirem pomiędzy skały, zapędzony wraz z szalupą w jakąś ponurą uliczkę między cyplami raf a calizną klasztornej rozkali przytulił usta do kamiennej, wiecznie mokrej ściany i całował w uniesieniu podnóże skalnego tronu, na którym Ona królowała.

Zapatrzona w tęsknicę oczu, urzeczona bezmiarem jego miłości siostra Agnieszka nagle drgnęła. Ktoś ją wołał po imieniu. Odwróciła twarz od czarownej topieli i spostrzegła o parę kroków za sobą siostrę Benedyktę.

— Siostro — mówiła tonem usprawiedliwienia — *officium* poranne już rozpoczęte; nie zechcesz wziąć udziału w ceremonii święcenia ognia i wody?

— *Officium* poranne już rozpoczęte — powtórzyła jak przez sen Agnieszka i podniosła rękę ku czołu.

W tej chwili strzeliły spod horyzontu pierwsze promienie wstającego słońca; różowe blaski zapaliły się w witrażach klasztoru, spłynęły na flizy tarasu i stoczyły w dół po pochylniach skały.

Agnieszka zapuściła chciwe, ostatnie spojrzenie w roztokę kipieli. Tam on z głową w aureoli brzasku patrzył wciąż w górę, szukał wciąż oczyma jej oczu. I spotkał się z nimi raz jeszcze. Spojrzenia ich głodne siebie zwarły się ponownie na długi, nieśmiertelny moment. Po twarzy kobiety przesunął się uśmiech bolesnej, najtkliwszej pieszczoty i zgasł bezpowrotnie. Całą siłą woli oderwała się od parapetu i zwracając się do towarzyszki, rzekła krótko:

— Idę za tobą, siostro.

I odeszła, unosząc z sobą złocistą wizję głowy w otęczy zarania.

Gdy z krużganka zstąpiły w klasztorny dziedziniec, u wrót kościoła krzesano już ogień; dobyte z krzemienia iskry objęły płomieniem pęk cierni i rozjarzyły węgle. Ksiądz Pszenicki we fioletowej stule i ornacie poświęcił ogień i grana[203] kadzidła. Gdy akolita włożył płonące węgle do trybularza, celebrans wsypał na nie z łódki szczyptę kadzidła i skrapiając świeży znicz Pański święconą wodą, odmówił antyfonę: „*Asperges me*".

Tymczasem w kościele pogaszono wszystkie światła; mroczne wnętrze świątyni krwawiące tylko rubinem lampki wieczystej przed Najświętszym Sakramentem wyglądało jak czarna, posępna czeluść z drgającym pośrodku pulsacją agonii sercem…

Uroczysta procesja wyruszyła od kruchty w głąb kościoła: na czele *thuriferarius* z trybularzem i łódką, obok ministrant z granami kadzidła na tacy, dalej *crucifer* z krzyżem, diakon w białej dalmatyce dzierżący trzcinowy trójkąt z trzema świecami, a po jego lewicy sługa kościelny ze stokiem zapalonym u świeżego ogniska; pochód zamykał ksiądz kapelan Pszenicki i orszak Morskich Panien o parę kroków za nim. Trzykrotnie w drodze od przedsionka do Wielkiego Ołtarza przyklękała procesja, trzykrotnie ksiądz wikary przechylał trianguł ku stokowi ministranta i śpiewając głębokim swym, pięknym głosem hymn „*Lumen Christi*[204]", zapalił kolejno wszystkie trzy odrośle trzcinowego świecznika.

Doszedłszy do ołtarza, procesja rozdzieliła się: siostry zakonne usunęły się na prawe skrzydło prezbiterium i zajęły miejsca w stallach — diakon w asyście ministrantów po odebraniu błogosławieństwa z rąk celebransa odszedł w stronę pulpitu po lewej i tu zaintonował pogodną, pełną nadziei i blasków pieśń: „*Exultet*", w czasie której włożył w otwory paschału[205] grana kadzidła.

Z rozjaśnionym, radosnym obliczem stał celebrans przy Wielkim Ołtarzu i twarzą zwrócony ku diakonowi słuchał jego pieśni. Tamten tymczasem, kończąc ją w spadkach rytmicznych, po słowach: „*rutilans ignis accendit*[206]" zapalił paschał jedną ze świec triangułu.

Czekała z niecierpliwością tej chwili siostra zakrystianka: skwapliwie podeszła zaraz do paschału, przytknęła doń mały, woskowy stoczek na trzcinowej lasce i tak pożyczywszy sobie świętego ognia, zaczęła nim obdzielać lampy po niszach i kaplicach. Pojaśniało od razu w kościele i jakby duch nowy, duch lepszego jutra wstąpił do świątyni.

---

[203]*grana* — ziarna. [przypis autorski]
[204]*lumen Christi* — światło Chrystusa. [przypis edytorski]
[205]*paschał-* — wielka świeca. [przypis autorski]
[206]*rutilans ignis accendit* — płonący (migocący) ogień zapala. [przypis autorski]

Ksiądz Pszenicki wraz z diakonem, przywdziawszy fioletowe szaty, zaczęli czytać profecje przeplatane pieśniami i odpowiedziami kantorek. Po ostatniej ustawił się znów orszak procesyjny i przyszła kolej na święcenie wody…

Stała w części południowej dziedzińca marmurowa cysterna ze statuą Madonny; słodka postać Królowej Niebios odziana we fałdzistą, błękitną szatę wynurzała się z kamiennej czary i kęp paproci, błogosławiąc płynnemu żywiołowi z łagodnym, ledwo dostrzegalnym uśmiechem na twarzy.

W tę to stronę skierowała się teraz procesja. Chór zakonnic wspomagany głosami obu księży i ministrantów śpiewał psalm: „*Sicut cervus desiderat ad fontes aquarum*". Uroczysta pieśń przesiąknięta wzniosłą symboliką porównań odbijała się gromkim echem od murów dziedzińca i płynęła w górę poza ich kamienne zręby na kaszubskie bielawy i okola:

— Jak jeleń tęskni za wodą źródlaną, tak tęskni za Tobą dusza moja, Panie. Spragnioną jest wielce dusza moja Boga żywego; kiedyż, ach kiedyż stanę przed Jego obliczem? I były mi łzy moje chlebem dnia i nocy, bo dzień w dzień stawiano mi pytanie: „Gdzież jest Bóg twój?".

Tak przyszli do studni. Śpiew umilkł. Ksiądz Pszenicki rozdzielił dłonią powierzchnię wody w kształt krzyża, po czym podniósłszy w górę rękę, przeżegnał ją, trzykrotnie błogosławiąc:

— *Benedico te, creaturo aquae, per Deum vivum, per Deum verum, per Deum sanctum: per Deum, qui te in principio verbo separavit ab arida: cuius Spiritus super te ferebatur*[207].

I znów opuścił rękę w głąb czary i wyciągnąwszy mokrą i ociekającą, prysnął wodą na cztery strony świata. Wtedy w lapidarnych słowach liturgicznej mowy przypomniał wiernym źródło raju, którego wodzie przykazał Pan czterema strugami orzeźwić całą ziemię, przypomniał źródło w pustyni cudownie wytrysłe pod laską Mojżesza z szarego skały opocza. Potem nasunęło się weselne wspomnienie Kany Galilejskiej, cud wędrówki po wodach i wizja chrztu w Jordanie.

I chuchnąwszy na wodę w kształcie krzyża, sędziwy kapłan zanurzył w cysternę trzykrotnie świecę paschału: za każdym razem głębiej, aż dosięgła dna misy i uderzyła o marmur.

A czynności tej towarzyszyła prośba: w formie coraz to dobitniej, coraz to donośniej śpiewanego recytatywu błagał sługa boży o udzielenie źródłu siły i krzepkości Ducha Świętego:

— Niechaj zstąpi w pełnię źródła tego moc i potęga świętego Ducha.

Gdy paschał wyjęto i obtarto ręcznikiem, przystąpiły do cysterny siostra Placyda i Benedykta i zaczerpnęły świeżo święconej wody w dwie duże, cynowe stągwie, by zaraz przelać ją z naczyń do chrzcielnic w kościele i oratorium. Za ich przykładem poszły wnet rybaczki, żony i córki okolicznych maszopów, które z dzbankami i flaszkami zaczęły cisnąć się jedna przed drugą do studni. Aż je siostra zakrystianka z pomocą ministrantów odsuwać musiała od wody, bo tłok się już był uczynił wielki dookoła celebrującego. Z pobłażliwym uśmiechem na ustach proboszcz z Jantarowa kończył obrzęd. Umoczonym w wodzie kropidłem pokropił siebie i gromadkę wiernych, po czym wlał do studni oleje święte.

Gdy wymawiał sakramentalne słowa: „*Infusio chrismatis Domini nostri*"… wśród zakonnic wszczął się jakiś popłoch. Ksiądz odwrócił się i spostrzegł, że siostry podtrzymują w ramionach śmiertelnie bladą wikarię. Wtem Agnieszka przymknęła oczy i obsunęła się bezwładnie na ziemię. Ksieni przytknęła jej do ust kubek z wodą, siostra Bernarda otarła jej twarz zwilżoną chustką. Agnes podniosła na chwilę ociężałe powieki i spotkawszy się z łagodnym spojrzeniem siwych, dobrych oczu księdza, zapytała szeptem:

— Ciemna Jutrznia skończona, księże kapelanie? Skończona?…

I zapadła w powtórne omdlenie…

---

[207] *Benedico te, creaturo aquae (…) cuius Spiritus super te ferebatur* (łac.) — Błogosławię cię, żywiole wody, przez Boga żywego, przez Boga prawdziwego, przez Boga świętego: przez Boga, który na początku oddzielił cię słowem od suszy; którego Duch unosił się nad tobą. [przypis autorski]

KAPITAN BRYGOLETY

Kapitan Warmski miał dziś dzień nader pracowity. Jako prezes Yachting-Klubu w Gdyni przewodniczył cały ranek tegorocznym wiosennym regatom, w południe zjadł dorywczo marny, prawdziwie marynarski posiłek, po czym zabrał się do załatwiania spraw urzędowych; od czasu jego wyjazdu na manewry morskie w Zatoce Botnickiej nagromadziło ich się tyle, że teraz po powrocie i objęciu zajęć służbowych inspektora policji portowej i żeglugowej nie wiedział, od czego zacząć, czego się wpierw „chwycić".

Po wysłuchaniu raportów dziennych, wydaniu najpotrzebniejszych zarządzeń i usunięciu najbardziej dokuczliwych zaległości udał się przede wszystkim do admiralicji, gdzie zdał sprawę z poczynionych przez się w czasie manewrów spostrzeżeń i obserwacji, przy czym jako uzupełnienie swego zwięzłego, iście żołnierskiego *resumé* złożył obszerny, kilkuarkuszowy memoriał. Pożegnany serdecznie przez admirała, jak wicher popędził do starosty morskiego, byłego komandora, Zakliki, starego druha i przyjaciela, z którym od paru już lat pracował nad dalszym rozwojem rybołówstwa polskiego na pełnym morzu i rozbudową portu rybackiego w Karwi, kontynuując w ten sposób dzieło wielkiego poprzednika i inicjatora, pierwszego starosty morskiego Polski zmartwychwstałej, generała Mariusza Zaruskiego. Zaklika powitał go jak Mesjasza, zasypując bezlikiem pytań i nowin. Z trochę bezładnej, bo z temperamentem przez obu panów prowadzonej rozmowy dowiedział się Warmski, że przyjaciel zamierza stworzyć nową bazę operacyjną dla rybaków przez rozszerzenie i pogłębienie koryta Piaśnicy i przekształcenie tej rzeki w rodzaj kanału dojazdowego do przystani rybackiej na Jeziorze Żarnowskim.

Warmski powitał projekt z entuzjazmem:

— Wybornie! Doskonale! Wyzyskać każdą piędź ziemi, każdy kilometr kwadratowy naszego strądu! Przedrążyć kanałami, związać z lądem, zbratać nierozerwalnie z calizną polskiej macierzy! *Vivat* starosta!... No a teraz do widzenia, stary wilku morski lub, jeśli wolisz z angielska, *my old chap*! Mam jeszcze dzisiaj odbyć parę poufnych konferencji przed nocną objażdżką.

Zaklika spojrzał zdumiony:

— Co?! Ledwoś wrócił, już chcesz się włóczyć po nocy?

— Trudno, bracie, służba nie żarty: patrolowy kabotaż[208]. Od czegóż się jest inspektorem policji morskiej, do licha?

— Więc szczęść ci Boże, kochany chłopie! A odwiedź mnie niebawem!

— Przy najbliższej okazji.

Warmski już był w sieni; śpieszyło mu się diabelnie do kapitanatu portu i do gospody „Pod wyjącą syreną", punktu zbornego marynarzy dalekiego rejsu[209] i miejscowych maszopów.

Była już godzina szósta wieczorem. Majowe słońce, zatoczywszy wielki łuk na niebie, pławiło się na zachodzie gdzieś w nurtach Bałtyku. Od Oksywskiej Kępy, od kościółka nad morskim wiszarem z najpiękniejszym w Polsce cmentarzem szedł wieczorny odzew dzwonów; od dworca kolejowego, dziwacznej a pełnej szczególnego wdzięku budowli oskrzydlonej podwórcem w stylu na pół mauretańskim dolatywały gwizdy lokomotyw i łoskot wagonów; od portów: wojennego, handlowego i pasażerskiego płynął chaotyczny a coraz potężniejszy zgiełk głosów i dźwięków.

Warmski zboczył z głównej ulicy w jakąś wąską szyję, przeprawił się promem przez daleko w ląd zaawansowaną odnogę portu i wszedł do biura kapitanatu. Na powitanie podniósł się ku niemu od biurka mężczyzna rosły, szpakowaty, o jasnym, przenikliwym spojrzeniu małych, szarych oczu.

— Jesteście nareszcie z powrotem, kolego — rzekł, podchodząc z wyciągniętą ręką. — Tak mi tu bez was jak bez ręki.

Warmski uścisnął mu dłoń i na uprzejmy gest kapitana zajął miejsce w fotelu. Przez chwilę panowało milczenie; obaj mężczyźni spoglądali na siebie z widoczną życzliwością i szacunkiem.

Kapitan portu, Kotwicz, osiwiały już na poły w znojach służbowych wilk morski był bezpośrednim zwierzchnikiem Warmskiego. — Obaj jeszcze do niedawna uganiali po

[208] *kabotaż* — żegluga przybrzeżna. [przypis autorski]

[209] *daleki rejs* — żegluga statków handlowych. [przypis autorski]

wszystkich zaułkach morza obu półkul ziemskich, obaj tłukli się jak „dwa marki po piekle” i obaj niemal równocześnie „osiedli na mieliźnie” w porcie gdyńskim: Kotwicz na stare lata, Warmski z nieznanej bliżej nikomu przyczyny. Ta wspólność obecnej doli i pewne podobieństwo przeżyć z lat ubiegłych związały ich jeśli nie węzłem przyjaźni, to pewnej, solidnej, bo na granicie ich charakterów opartej sympatii. Dlatego współpraca inspektora policji morskiej i kapitana portu w Gdyni zapowiadała się od samego początku owocnie i pozwalała rokować jak najpiękniejsze dla dobra publicznego nadzieje.

— Wyglądacie mi trochę zmizerowany — zaczął pierwszy Kotwicz. — Czyżby na manewrach floty tak wami orali? O ile mi wiadomo, admiralicja nasza przydzieliła was tam w charakterze obserwatora.

Uwaga wprawiła Warmskiego w zakłopotanie. Zmieszał się widocznie i szukał odpowiedzi.

— No tak — odpowiedział po namyśle — rzeczywiście czuję się zmęczony; nie spałem przez 36 godzin z rzędu.

— Hm — podjął niedowierzająco Kotwicz — a może się szanowny kolega tak stęsknił za kim okrutnie? Za kimś pozostawionym tu w porcie? — a spostrzegłszy lekki skurcz brwi u tamtego, dodał dobrodusznie: — No, no, tylko bez obrazy. Nie dziwota: młodziśmy jeszcze, młodzi. Ale przejdźmy *ad rem*.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Serdeczny uśmiech rozjaśnił twarz Kotwicza:

— Tylko bez tych oficjalnych formalności, kolego: między nami to chyba zbędne. Mam tedy do zakomunikowania wam parę spostrzeżeń wraz z prośbą o radę. Ale „śpiewać darmo, boli gardło”. Napijecie się czego ze mną? Mam tu pod ręką niezgorszego burgunda. —

— Nie mam nic przeciwko temu. Czy w czasie mej nieobecności zaszło coś szczególnego?

— Zaraz się dowiecie. Najpierw przypijmy.

I wychylili po kieliszku wina.

— Otóż — kontynuował rozmowę Kotwicz, obcierając wąsy szerokim gestem — zauważyłem w ostatnich czasach, że kręci mi się tu w porcie i okolicach naszego pobrzeża parę podejrzanych indywiduów; jakieś przybłędy nieznanej proweniencji, uważacie?

— Chyba nie od strony lądu?

— Notabene; w takim razie nawet bym koledze o tym nie wspominał jako o sprawie nie z jego resortu.

— Papiery okrętowe mają w porządku?

— Otóż w tym sęk, że niby wszystko w porządku. Ale tylko „niby”. Przyplątali się do nas przed tygodniem na 60-tonowym motorowcu i stanęli na rejdzie[210] przed portem.

— Przynależność państwowa?

— Niby to wywodzą się z Ekwadoru; statek wabi się z hiszpańska „*Esperanza*”, ale licho ich wie, co to za jedni. Zanadto mi się kręcą w pobliżu naszej flotylli wojennej i zbyt natrętnie ciągną za język naszych chłopców. Trzeba te sprawę spenetrować aż do samego dna.

— Zrobi się. Czy z moich ludzi nikt się do pana w tej materii nie zgłaszał?

— Owszem, bosman Sowa pierwszy zwrócił mi uwagę na tych podejrzanych osobników. —

— Wybornie; właśnie jeszcze przed rontem ponocnym ma mi zdać raport; mam się z nim spotkać w gospodzie. Pójdę tam wprost od pana, kapitanie.

— Zatrzymam kolegę jeszcze na małą chwilę. Czy jesteście wolny jutro rano od obowiązków służbowych, inspektorze?

Na wrażliwej twarzy Warmskiego odbiło się niezdecydowanie.

— Jutro rano? — zapytał. — Mniej więcej o której godzinie? Po nocnym patrolażu będę kaducznie zmęczony; chciałbym trochę odpocząć.

— A zatem po południu: tak koło piątej?

— Jestem do usług, kapitanie.

---

[210] *na rejdzie* — [na] postoju. [przypis autorski]

— Zapraszam pana *ex offo* do komisji śledczej w sprawie zderzenia statków zaszłego na naszych wodach terytorialnych. Sprawa ważna, bo poszkodowanym jest parowiec szwedzki, „Król Olaf"; gotowi mieć do nas pretensje. Należy zbadać i rozsądzić, czyja w tym wina.

— Gdzie miała miejsce katastrofa?

— U samego wylotu helskiego międzymorza. „Król Olaf", okrążając przylądek, wpadł znienacka na wypływającą z przystani rybackiej naszą brandwachtę[211] „Mewę"; chciał jej zejść z drogi w ostatniej chwili, lecz nastąpiło fatalne zjawisko „ssania": nasz statek strażniczy, jako mniejszy, stracił sterowość i całą siłą grzmotnął w rufę Szweda. Awaria[212] była znaczna, groziło zatonięcie. Sprawę komplikują: mgła, która owej nocy zaciągnęła cały Wik, i wadliwa podobno sygnalizacja z wybrzeża.

Warmski niecierpliwie potarł czoło:

— Rzeczywiście wypadek dość zawiły; możemy grubo za to zapłacić.

— Dlatego zapraszam kolegę do komisji jako eksperta. A zatem do widzenia jutro po południu o piątej!

— Stawię się punktualnie. Do widzenia, kapitanie. — Wkrótce potem Warmski wchodził pomiędzy zaułki dzielnicy portowej.

Wieczór był ciepły, niemal letni. Syreny fabryczne i gwizdawki dokowe sygnalizowały finał prac dziennych, na ulicach rozbłysły pierwsze światła. Kapitan brygolety co krok odbierał pozdrowienia od ogorzałych, osmalonych przez wiatry całego świata, mocnych w spojrzeniu ludzi, co krok spotykał krzepkie, samozaufane[213], trochę niezgrabnie poruszające się postacie. Wreszcie dotarł do linii nabrzeża w okolicy molo północnego.

W smugach światła rzuconych daleko na falę przez banie elektrycznych latarń zarysowały się imponujące kontury pancernika „Warneńczyk". Spoczywał tu na kotwicy po trudach bojowych ogromny, milczący i w sobie skupiony; stał zjeżony cały wylotami armat i mitraliez[214], zakuty w stal pancerza jak Rycerz Czarny spod Grunwaldu, jak symbol władzy i niezłomnej woli: chluba Rzpltej, zwycięzca odznaczony pierwszą nagrodą na polsko-szwedzkich manewrach floty.

A obok inni towarzysze spod pancernego znaku: „Hetman Karol Chodkiewicz", „Zamojski" i „St. Żółkiewski", krążowniki: „Admirał Sierpinek", „Władysław IV" i „Jan III", dreadnaughty: „Chrobry", „Bolesław Śmiały" i „Batory", torpedowce, kanonierki, trawlery, minostawy, łodzie podwodne i działowce.

Szła od tych statków jakaś moc wielka, jakiś rozmach heroiczny i podnosił pierś rytmem dumy, rozkołysywał krew dreszczem entuzjazmu.

Warmski przystanął na chwilę i z rozkoszą wodził oczyma po stalowych kadłubach, barczystych, działowych basztach i wieżach, przyczajonych do skoku, pływających kasztelach i fortalicjach, po całym tym wojennym dobytku Rzpltej, tym morsko-bojowym dostatku, co bronił granic, strzegł dobra pospólnego i uczył wrogów moresu. A gdy już nasycił rozkochane oczy obrazem rodzimej siły i tężyzny, ruszył dalej nabrzeżami wzdłuż portowego basenu.

Po drodze witał znajome hangary wodoplanów i ślizgów, bezpieczne przystanie samolotów i aerostatków, z uśmiechem przyjaźni mijał zbożowe spichrze i magazyny, płodów polskiej ziemicy szafarzy i rozdawców. W brzasku nadbrzeżnych latarń lśniły krzyżownice kolejek rozdzielczych, rozpinały się na granacie nieba zamaszyste linie dźwigów, elewatorów i żurawi. Jeden z nich o herkulicznych wymiarach, nośności 5 ton, wyciągu 14 m, mimo spóźnionej już pory, pracował niezmordowanie: potworną, żelazną swą żuchwą za pomocą uchwytów samoczynnych przeładowywał węgiel z wagonów na lichtugę „Maciek".

„Szczęść Boże przy pracy, wierny sługo!" — pomyślał Warmski z rozrzewnieniem i wszedł w dziedzinę olbrzymich turbin hydroelektrycznych. Tutaj tętniło serce portu, tutaj schodziły się wszystkie arterie polskiego strądu, przysposabiało się wielkie dzieło ochrony brzegowych granic; tu za pociśnieciem guzika rozpalały się wszystkie latarnie portowe, stąd płynęło światło i ciepło daleko w głąb lądu a czasu wojny wywiązywały się

Polska, Morze, Wróg, Marzenie

[211]*brandwachta* — statek strażniczy. [przypis autorski]
[212]*awaria* — uszkodzenie. [przypis autorski]
[213]*samozaufany* — pewny siebie. [przypis edytorski]
[214]*mitralieza* — kartaczownica, pierwotna wersja ciężkiego karabinu maszynowego. [przypis edytorski]

potężne pola elektromagnetyczne tworzące wzdłuż polskiego wybrzeża nieprzebytą dla wroga zaporę.

Warmski zawrócił znów w stronę basenu; był już w pobliżu mola południowego. Przed nim jeżył się las masztów przekreślonych poprzeczkami rej, wybrzuszały się kadłuby opasłych „kupców" wszystkich narodowości, kołysały w podskokach fali parowce śrubowe i kołowe, motorowce, holowniki, transportowce, drzemały przycumowane żelaznymi postronkami do knechtów nabrzeża ociężałe, węglem i drzewem ładowne berlinki, lichtugi i barże. Tu i tam przemykały cicho pomiędzy torsami statków zwinne i obrotne jak frygi awiza, snuły się podobne widmom nocnym kutry celne i małe a czujne statki strażnicze.

Po zmierzwionej lekko powierzchni wody pląsały czerwone i zielone rzuty latarń burtowych, drgały strzeliste wrzeciona złotożółtych świateł znad dziobów i ruf.

Powietrze przepełniał charakterystyczny obrzask portu handlowego: ostre wyziewy skór i ryb, zapach zamorskich korzeni, woń przetworów chemicznych, ropy naftowej, garbników, smarów i mazi.

Warmski obrzucił krótkim spojrzeniem ten kołyszący się na fali świat przemysłu i handlu, po czym przemierzywszy szybkim krokiem w poprzek nasadę mola, zagłębił się w dzielnicę rybacką. Nie szukał już długo; u wylotu najbliższego zaułka powitała go z daleka rozświetlona pstrokatym lampionem wywieszka: „Gospoda pod wyjącą syreną". Tu zawinął.

Zaraz u wejścia owionął go zapach absyntu, piwa i pikantnych zakąsek. Poprzez zasłonę tytoniowego dymu zalegającą ciężkimi warstwami wnętrze ujrzał w perspektywie parę izb wypełnionych po wręby gośćmi. Byli to przeważnie marynarze wszelkich narodowości i ras i kilku tubylców-rybaków. Od szczelnie obsadzonych stołów dolatywały strzępy słów i rozmów, spoglądały twarze smagłe od pocałunków podzwrotnikowego słońca, wyzywające, zuchowate, ryzykanckie. Czasem ponad zgiełk głosów wybijało się przekleństwo mocne jak udar maczugi, jakiś okrzyk dziki i groźny jak orkan lub śmiech huczny jak odgłos przyboju. Za ciasno było tu w tej zamkniętej przestrzeni synom morza przywykłym do szerokiego gestu fali, bezkresnych dali horyzontu i gigantycznych wymiarów. Toteż co chwila wybuchali odruchami żywiołu.

Przy jednym ze stołów jakiś mat z harpunniczego statku zakotwiczył na amen uwagę współbiesiadników opowiadaniem swych przeżyć z ostatniego rejsu. Twarz młoda jeszcze, a już schłostana dmami północnych wichrów mieniła mu się łuną entuzjazmu; jasne, stalowoniebieskie oczy ciskały błyskawice świateł, a bujna, płowa czupryna miotała się jak lwia grzywa w podrzutach głowy. Mówił wartko, z temperamentem. Słowa jego pełne rozmachu i swobody miały siłę schełbionych deneg[215] i malowniczość morskiego krajobrazu. Z ich płynnej, toczącej się zwycięsko rozchwiei wypadały od czasu do czasu zwroty przedziwne w swej pierwotnej plastyce, wyrażenia jedyne w swej dzikiej krasie…

Właśnie odtwarzał jakiś manewr żeglarski. Wpatrzony przed się w przestrzeń, może w rozłogi oceanu, ilustrował całym sobą zwroty statku.

— Uważacie, chłopcy — mówił, przechylając się na lewo — Szkuniec położył się na bakbort i wyszedłszy z pełnego wiatru prawym ciągiem, zakołował i zawrócił lewym. To był ruch, panowie! Niech go kule biją! Zeszliśmy wprawdzie z kursu o dwa rumby, lecz mitręga opłaciła się sowicie: upolowaliśmy w ciągu kwadransa aż trzy sztuki.

— Zdryfowałeś[216] kaducznie[217]! — wołał głos czyjś ochrypły z sąsiedniej izby i zamilkł zduszony ogólnym rozgwarem.

— Rafy na kursie! — krzyczał ktoś inny wysokim, piskliwym dyszkantem.

— A ja wam powiadam, braciszkowie mili — tłumaczył swej grupie jakiś osobnik stentorowym basem — że w takim wypadku najlepiej wziąć trajsle[218] na gejtawy[219], spuścić kliwry i sztaksle i lec w dryf[220]…

---

[215] *denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]
[216] *zdryfowałeś* — zboczyłeś. [przypis autorski]
[217] *kaducznie* — diabelnie. [przypis edytorski]
[218] *trajsle* — rodzaj żagli. [przypis autorski]
[219] *gejtawy* — rodzaj lin. [przypis autorski]
[220] *lec w dryf* — zatrzymać statek na miejscu. [przypis autorski]

— Ha, ha, ha! — przerwał mu wywód któryś ze słuchaczy. — Ha, ha, ha! Legnąć w dryf, powiadasz? Wśród pełnego sztormu, co? Dobry sobie! Czyś ty, Kuźma, przypadkiem nie zdryfował do Tworek[221]? Co?

— Lec w dryf, powiadam! Środek niezawodny! — upierał się tamten.

— Cholera brodzka! — klął na całe gardło jakiś sternik z Małopolski. — Zmyło mnie galantnie w kluzę[222]; małom kulasów nie pogubił. Aliści, moiściewy, jak nie wygramolę się z dziury, jak nie chwycę za rumpel, nie zawrócę młyńca ku nawietrznej, aż zachrobotało coś w szturwale[223].

Kapitan brygolety przekraczał już próg trzeciej z rzędu izby. Wtedy w kącie, za szklanicą grogu spostrzegł nareszcie Sowę. Bosman na widok Warmskiego podniósł się ku niemu: ogromny, atletyczny, z podłużną, siną szramą na policzku.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie! — rzekł, prostując się przed nim o parę kroków.

Warmski uścisnął mu serdecznie dłoń.

— „Królewna Hanka" zdrowa? — zapytał, zajmując miejsce za stołem.

— Jak makrela w lecie, panie kapitanie, jak rybka w głębinie.

— To dobrze. Dziś odjeżdżamy na nocny patrolaż.

Sowa poskrobał się w tyle głowy. Warmski zrozumiał gest.

— Wiem ju, wiem — uprzedził bosmana. — Chodzi ci o załatwienie afery z „Esperanzą", nieprawdaż?

— Właśnie, panie kapitanie.

— Możemy odłożyć rzecz do jutra. Dziś zdasz mi tylko relacje w tej sprawie.

— Kiedy w tym sęk, że oni, zwąchawszy pismo nosem, chcą dziś w nocy dać nura. Musimy działać szybko… Co mówię? Bezzwłocznie! To chytry naród. Zamówiłem naszych chłopców i kilku jeszcze wtajemniczonych zuchów na dziś, na godzinę jedenastą przed północkiem; wszystko ukartowane. Zaskoczymy ich znienacka! To szpiegi w rosyjskiej służbie, panie kapitanie. Mam dowody niezbite, namacalne: papiery, dokumenty. Zakradłem się wczoraj do kabiny kapitana i wyłowiłem plany naszego portu; porobili fotograficzne zdjęcia wierne jak odbicie w lustrze, powykradali akta arsenału, posiedli tajemnice wojskowego archiwum.

— Gdzie są te dokumenty?

— Mam je tu przy sobie; proszę: oto są.

I wydobywszy z zanadrza wincerady[224] plik papierów związanych sznurkiem, podał je kapitanowi. Warmski przeglądnął uważnie, schował do kieszeni napierśnej i powstając od stołu, rzekł:

— Załatwimy rzecz przed objażdżką. Gdzie wyznaczyłeś punkt zborny naszym ludziom?

— Na pokładzie „Królewny Hanki" w awanporcie[225].

— A zatem w drogę.

Zapłacili i wyszli. Była już dziesiąta. Minęli linię przystani rybackiej w zakątku między dzielnicą maszopską a molem południowym i weszli na betonowy bulwar nabrzeża.

— Gdzie nas oczekuje „Rybitwa"? — zapytał po drodze Warmski.

— Przycumowana do pachołków w połowie mola, niedaleko żurawia.

— A tamci?

— Nie rozumiem, panie kapitanie.

— Gdzie stoi na kotwicy owa „Esperanza"?

— Na rejdzie przed awanportem, poza wylotem mola południowego. Sprytne juchy nie chciały zawijać nawet w obręb przedporcia, by w każdej chwili ulotnić się bez przeszkody. Ten statek znam doskonale nie od dzisiaj; gdzie mu tam na imię „Esperanza"! Taka z niego „Esperanza" akurat, jak ze mnie Achmet Bej. I pan go zna dobrze, kapitanie z czasów naszych dalekich rejsów.

Warmski spojrzał pytająco.

[221] *Tworki* — tu: dom dla umysłowo chorych; dom wariatów. [przypis edytorski]

[222] *kluzę* — otwór w dziobie statku na łańcuch kotwiczny. [przypis autorski]

[223] *szturwał* — machina sterowa. [przypis autorski]

[224] *wincerada* — płaszcz nieprzemakalny noszony przez marynarzy. [przypis edytorski]

[225] *awanport* — przedporcie, reda; wysunięta część portu właściwego, osłonięta falochronami, służąca jako chwilowe schronienie statków np. przed burzą. [przypis edytorski]

— To „Siewjer” z Archangielska, panie kapitanie.

— „Siewjer”? Ależ, o ile mnie pamięć nie myli, „Siewjer” był żaglowym szkunerem! Tymczasem Kotwicz nazwał ten statek motorowcem.

— Ano tak; przerobili szkuner na motorowiec; przemalowali kadłub, przechrzcili na inną nazwę i dziś jest sobie „Esperanza”. Chytre Moskaluszki!

— Oho! — przerwał mu nagle Warmski, obserwując jakiś statek pod banderą francuską — „Tourterelle” wywiesiła żółtą flagę; pewnie mają chorych za burtą.

— Zawinęli do portu dziś rano; podobno zaszło tam parę wypadków tyfusu. Lecz oto i nasza „Rybitwa”.

Po chwili kapitan i bosman odbijali od mola na ścigłej jak mewa szalupie. Przecisnąwszy się pomiędzy kadłubami okrętów zakotwiczonych w basenie wewnętrznym, „Rybitwa” wypłynęła na swobodniejsze trochę wody awanportu.

— Nie widzę „Królewny Hanki” — zauważył Warmski z odcieniem zniecierpliwienia.

— Stoi opodal łamacza fal, prawie u wylotu przedporcia — uspokoił go Sowa.

— „Brunhilda” gotuje się znać do odjazdu — rzekł kapitan w czasie mijania pięknego, pasażerskiego parowca. — Podjęła sygnał: „*Blue Peter*[226]”.

I wskazał Sowie na wielką, granatową flagę z białym prostokątem w pośrodku wywieszoną na maszcie przednim.

— Jutro nad ranem podnoszą kotwice — *Abfahrt nach Hamburg*[227].

Lecz Warmski już go nie słuchał; uwagę jego pochłonął zupełnie tak znany mu, tak drogi kontur statku, który nagle wyłonił się przed nimi w perspektywie portowego ujścia.

— „Hanka”! — szepnął, wybiegając jej na spotkanie duszą i oczyma. — Moja królewna.

W odległości zaledwie kilku kabli pląsała śliczna, dwumasztowa brygoleta. Warmski nie widział jej od dnia wyjazdu na manewry, tj. od trzech tygodni; od dziś rana aż do tej późnej, wieczornej godziny nie miał ani chwili czasu wolnego, by wpaść choć na moment na pokład ukochanego statku i przywitać się z nim po dniach rozłąki.

Lecz oto dotarli już pod lewą burtę. Przy blasku sygnałowej latarni spływającym czerwoną strugą ze szczytu grotmasztu spuszczono ku szalupie sznurową drabinkę. Kapitan wbiegł pierwszy i z bijącym sercem stanął na pokładzie. Przywitał go serdeczny okrzyk załogi.

— Dobry wieczór, chłopcy! — pozdrowił ich, odpowiadając na ukłon.

Starszy mat zdał raport dzienny.

— Karabiny w pogotowiu? — zapytał Warmski i odruchowo skierował spojrzenie za rufę, he-hen poza klin południowego mola. — Będziemy mieli dziś jeszcze przed północą małą przeprawę z kilku drapichrustami.

— Wedle rozkazu, panie inspektorze! — meldował Sowa, który tymczasem też przesadził burtę. — Wszystko w porządku.

— Szalupę na szlupliny i podciągnąć! — zakomenderował Warmski, z lubością wdychający już atmosferę statku.

Zawirowała korba windy i w mig „Rybitwa” zawieszona na szlupbelkach zakołysała się nad pokładem.

— Spuścić motorówkę! — zabrzmiał nowy rozkaz. — Dziesięciu ludzi z bosmanem Sową za mną! Broń w pogotowiu. Milczenie bezwzględne! Ślepe latarki licami ku sobie! Motor w ruch! A wy tam, na pokładzie podwoić czujność! Możecie spodziewać się nas za dwie godziny. Jazda!

Zawarczał silnik, zakołowały młyńcem skrzydła śruby i łódź pomknęła w ciemność. Warmski z przyjemnością studiował postawę swych zuchów, z satysfakcją wodza wyczuwał w nich głód przygody; gdzie spojrzał, twarze zdecydowane, oczy czujne a zawzięte, rozdęte oczekiwaniem walki, wietrzące awanturę chrapy.

Tymczasem łódź ślizgała się po fali i parła dziobem w strefę zatoki południową, poza wyimkami portu.

Dookoła robiło się coraz puściej, coraz rzadziej spotykano nocujące statki. Przejechali mimo ostatnią latarnię na samym cyplu mola, rozminęli się w drodze z pływającym żura-

---

[226] *Blue Peter* — dosłownie: „Niebieski Piotr”. [przypis autorski]

[227] *Abfahrt nach Hamburg* (niem.) — odjazd do Hamburga. [przypis edytorski]

wiem, „Turoniem", który po całodziennej pracy wracał na zasłużony spoczynek i zaczęli wkręcać się w połać zatoki między tamą a Kamienną Górą. Wtedy znienacka otuliła ich gęsta mgła.

— Zwolnić tempo! — zakomenderował półgłosem Sowa. — Oni są tu już gdzieś w pobliżu.

— Łajdaki! — dodał, pochylając się do ucha kapitana. — Umyślnie pogasili sygnały, by ich nie wytropić! Według mych kalkulacji powinniśmy już teraz byli dostrzec czerwone światło z bakortu.

W tej chwili ogromny, czarny kontur wysiąkł z kotłowiska mgły w odległości zaledwie kilku metrów. Łódź zawirowała gwałtownie i dzięki przytomności sternika uniknąwszy katastrofy, ustawiła się w tor równoległy do okazałego towarzysza.

— Oni! — szepnął bosman. — Całe szczęście, że nas nie spostrzegli.

— Zatrzymać motor! — rozkazał Warmski. — Wiosła w ruch!

Na pokładzie „Esperanzy" nikt nie zdawał się zwracać uwagi na to, co się dzieje pod jego bokiem, za lewą burtą; biała jak mleko, z minuty na minutę gęstniejąca mraka przesłaniała im widok na najbliższe otoczenie; zresztą załoga statku, jak wkrótce wywęszył Sowa, czyniła gorączkowe przygotowania do odjazdu.

— Stali na kotwicy gęsiego — informował kapitana przytłumionym głosem bosman — teraz widzę, wciągnęli już do kluzy oba koty i zabierają się do podniesienia kotwicy głównej. Za chwilę będzie bratszpil[228] w robocie. Przedtem jednak złożymy im wizytę. Czas już dać im znać o sobie.

— Chwilkę jeszcze, panie kapitanie — wstrzymał go Sowa i uśmiechnął się chytrze. — Mam pomysł; trochę może ryzykowny, lecz jeśli się powiedzie, lepszy od oficjalnego wpraszania się na pokład. Podpłyńmy na wszelki wypadek do łańcucha kotwicznego.

Warmski oparł mu rękę na ramieniu.

— Czyś oszalał, stary? — zapytał, patrząc mu bystro w oczy. — Chciałżebyś[229] tą drogą?

Bosmanowi błysnęły w odpowiedź dwa rzędy białych, drapieżnych zębów.

— Nie pierwszyzna mi to, panie kapitanie. Zresztą lubię ryzykanckie kawały.

— Twoja wola, druhu stary. A rewolwer masz?

Sowa niemym ruchem wskazał mu dwie wystające z pasa kolbki.

— Proszę tylko o sznurową drabinkę. Zrzucę ją wam wprost z kasztelu na przedzie.

Warmski po cichu wydał rozkazy. Ostrożnie przekradając się poprzez mgłę, podsunęła się łódź ku dziobowi „Esperanzy".

Sowa przechylony w pół ciała ponad sztybork[230] wodził w powietrzu wyciągniętym ramieniem.

— Stop! — rzekł nagle cicho, lecz dobitnie. — Znalazłem. Uchwyćcie się łańcucha! Tu, tu poniżej!

Parę rąk porzuciło wiosła i przywarło do żelaznych ogniw. Łódź jakby uwięziona na linie pluskała lekko na miejscu.

— Teraz puszczają w ruch braszpil — przerwał naprężone milczenie bosman. — Baczność! Teraz odrywają kotew od dna... Puśćcie łańcuch! Zastawcie mnie samego! —

Posłuszne ręce cofnęły się w głąb łodzi. W ostatniej chwili Sowa wyrwał jednemu z majtków wiosło i ujął je krzepko w prawą rękę.

— To będzie mój zderzak — rzekł na pożegnanie.

Łańcuch szarpnięty silnie przez nawój maszyny oderwał od gruntu kotwicę i wraz z uwieszonym na nim Sową śmignął ku dziobowi statku. Bosman, oplótłszy go jak linę nogami i trzymając się lewą jego przegubów, odbił się od kadłuba „Esperanzy" przy pomocy wiosła, które ściskał w ręce prawej. Impet, z jakim łańcuch kotwiczny uderzył o przód statku, był tak wielki, że strzaskał mu wiosło na drzazgi; lecz właśnie dzięki temu Sowa ocalał. Uniknąwszy szczęśliwie bezpośredniego zderzenia ze ścianą okrętu, bosman, zręczny jak małpa, zaczął wspinać się po łańcuchu ku sztabie. Zanim wciągnięto go w całości do komory, Sowa zniknął za burtą. W tymże momencie załoga motorówki

[228]*bratszpil* — machina do wyciągania kotwicy. [przypis autorski]

[229]*chciałżebyś* — konstrukcja z partykułą -że; inaczej: czy chciałbyś, czyżbyś chciał. [przypis edytorski]

[230]*sztybork* — burta prawą łodzi. [przypis autorski]

usłyszała z dołu parę wściekłych, *istienno*[231] ruskich zaklęć, tupot nóg, szczęk żelaziwa, wreszcie dwa, jeden po drugim oddane strzały. Niemal równocześnie stoczyła się wzdłuż bakortu „Esperanzy" bliżej dzioba upragniona drabinka.

— Za mną, chłopcy! — krzyknął Warmski, wspinając się z rewolwerem w ręce po ruchomych szczeblach.

Gdy przesadzili burtę, walka na pokładzie była w pełnym toku. Jeden moment opóźnienia — a byłoby po bosmanie. Osaczony przez trzech rosłych jak dęby marynarzy Sowa bronił się resztkami sił i zręczności. A już z głębi statku, ze śródokręcia i spod pokładu zaczęli wysypywać się inni. Lecz pojawienie się kapitana i towarzyszy na lewym flanku placu boju od razu zmieniło sytuację.

— Ruki wierch[232]! — zawołał Warmski, mierząc zimno w pierś najbliższego wroga.

Groźba poskutkowała. Rosjanie, widząc przewagę przeciwników, zaniechali oporu.

— W imieniu Rzpltej Polskiej aresztuję panów — oświadczył im tonem urzędowym kapitan brygolety.

— Jakim prawem? — próbował protestować jeden z uwiezionych, prawdopodobnie dowódca. — Papiery nasze przedłożyliśmy władzom portowym.

— Przyczyn dowie się pan jutro w urzędzie śledczym; na razie musi to panu wystarczyć, że jestem inspektorem polskiej policji morskiej. Zresztą, przypuszczam, ten mundur jest panom dobrze znany i nie potrzebuje specjalnych legitymacji — odpowiedział grzecznie, lecz chłodno Warmski. — Bosmanie Sowa! W imieniu Rzpltej dziękuję Wam. Z przebiegu całej sprawy zdam niebawem przed władzą dokładny raport. Pan będziesz jego bohaterem.

— Wedle rozkazu, panie inspektorze!

— Panowie — zwrócił się z kolei kapitan do uwięzionych — zechcecie udać się za mną do oczekującej już nas łodzi. Z prawdziwą przykrością jednak jestem zmuszony ze względu na bezpieczeństwo własne i moich ludzi nałożyć panom prowizoryczne kajdanki.

Wśród załogi „Esperanzy" odezwał się pomruk sprzeciwu, lecz na widok wymierzonych luf karabinów i wylotów browningów momentalnie rozpłynął się i zniknął bez śladu.

— Dalej chłopcy, czyńcie swoją powinność — zakomenderował Sowa.

Bez oporu już skuto im ręce.

— Bosman Sowa wraz z matem Więciorkiem i marynarzem Owregą pozostaną tu na pokładzie do jutra rana. Zawiesić natychmiast na masztach właściwe światła; ponadto ze względu na mgłę co trzy minuty wysyłać syreną sygnały dźwiękowe. Nad ranem wpłyniecie do portu wewnętrznego.

— Wedle rozkazu, panie inspektorze.

— A teraz w drogę! Konwojowi! Sprowadzić w dół więźniów!

Wkrótce potem motorówka z kapitanem Warmskim i uwięzioną załogą „Esperanzy-Siewjera" zdążała z szybkością 10 węzłów ku portowi w Gdyni. Biła już dwunasta w nocy na zegarze w stoczni, gdy inspektor oddawał więźniów pod straż inwigilatorom w policji. W pół godziny później, znalazłszy się z powrotem na pokładzie „Królewny Hanki", natychmiast kazał podnosić kotwicę.

„Nareszcie — myślał z uczuciem ulgi — nareszcie jestem u siebie".

Tymczasem puszczony w ruch braszpil odrywał już od dna kotwicę, uwalniając statek z uwięzi. Kapitan wskoczył na mostek i, otulając się przed chłodem nocnym i mgłą w winceradę, wydawał rozkazy:

— Grotreje na prawy ciąg, fokreje w lewo! Na burtę ster! Nastaw kliwry!

„Królewna Hanka" schwyciła wiatr i rozpieniając sztabą falę, wypłynęła z przystani. Po drodze żegnały ją ostatnie portowe latarnie, minął jakiś parowiec-włóczęga, obrzuciły łuną światła czuwające doki.

Mgła szczezła. Cudna, majowa noc rysowała krajobraz barwami tempery. Na nurcie czołowym rozświetlonym magnezjową poświatą księżyca przewalały się w podmuchach bryzy łagodne, srebrnoszare grzywacze, na dalszym planie, w głębi na lewo majaczyły krzywą linią kontury Wiku, na wprost, przed dziobem szarzało międzymorze.

---

[231]*istienno* (z ros.) — zniekszt., właśc. istinno (*истинно*): prawdziwie, zaiste. [przypis edytorski]

[232]*ruki wierch* (z ros.) — ręce do góry. [przypis edytorski]

Gdzieś w połowie cięciwy wikowego łuku, na kursie między Nowym Obłużem a Helem wyodrębniła się nagle na płani czarna, tajemnicza plama Kępy Swarożyca.

Warmski zszedł z mostku i, oparłszy się o balustradę zawietrznej burty, obserwował w mijaniu wyspę. Ten kolisty, o średnicy ledwo kilometrowej wydźwig lądu budził w nim zawsze dziwnie niemiłe uczucia. On, nieustraszony marynarz, były oficer marynarki wojennej odczuwał w pobliżu tej samotnej, przez nikogo niezamieszkanej wyspy coś w rodzaju przesądnego niepokoju.

Kępa Swarożyca była nowotworem morskim stosunkowo niedawnych czasów; starsi rybacy i żeglarze oceniali jej wiek na lat co najwyżej 150. Jak powstała, dokładnie nikt nie umiał powiedzieć; jedni przypisywali jej pochodzenie wulkaniczne, inni uważali ją za wytwór powolnego podnoszenia się dna morskiego dzięki nanoszonym przez fale piachom i odmiałom. Ostrów w nader krótkim czasie pokrył się nieprzebytymi chaszczami drapieżnej tarniny, ponad którą wystrzeliła mocno związana koślawymi pławinami konarów buczyna. Niebawem przyplątały się do wysepki tajemnicze gawędy i opowieści. Podobno jakiś maszop z Kuźnicy podpłynąwszy raz w noc do kępy, ujrzał wśród nadbrzeżnych zarośli postać starca-olbrzyma o trzech twarzach zapatrzonego szklanym, martwym spojrzeniem w rozchyle morza. Gdy nazajutrz kilku śmiałków z Chałup ponownie odwiedziło wysepkę, znaleźli u brzegu na piasku ułomek kamiennego posągu o kształtach ludzkich.

Wiadomość o tym dotarła do Gdyni i sprowadziła wkrótce potem komisję archeologiczną. Uznano fragment za cenny zabytek sztuki religijnej z epoki prasłowiańskiej i dopatrywano się w zatartych konturach postaci podobizny jednego z bogów staropruskich. Niestety zanim zdołano przewieźć go no ląd, złośliwy sztorm zmył go następnej nocy na zawsze sprzed oczu ludzkich; zazdrosne morze, wyrzuciwszy na chwilę ze swych ostępów niespodziewany gościniec, pochłonęło go z powrotem i skryło na wieki. Lecz pamięć zdarzenia utrwaliła legenda. Odtąd zwano wyspę Kępą Swarożyca. Jednak nikt jakoś nie kwapił się do objęcia jej w posiadanie; ludzie unikali bliższej z nią styczności. Toteż stała obrośnięta na głucho nieprzebytą gęstwiną drzew i kuszczy, samotna i dzika. Tylko ptactwo morskie w przelotach na wyraj zatrzymywało się tu na krótki postój i napełniało głuszę odludzia chwilowym rozgwarem. Zresztą nikt tu nie zaglądał. U rybaków pobrzeża miała kępa niedobrą opinię; jakieś licho przykucnęło w jej bukowych matecznikach; wszystko zło rozsiane po strądzie, rozrzucone pomiędzy ludźmi nadmorskiej strony, tu, zda się, miało swe główne siedliszcze, tu się zebrało w sobie, zgarnęło do kupy i stąd czyniło wypady pod osłoną nocy i sztormu — stare zło, pogańskich jeszcze czasów wnuczę, bogów dawnych ze świata precz przegnanych ostatnie, mściwe echo…

Statek mijał wyspę bakortem. Kapitan zapuścił zamyślone spojrzenie w głąb bukowego lasu, cofnął je stamtąd zmrożone chłodem mroków i przeniósł na wąski spłacheć piasku bielejący przy blasku księżyca w wykroju sierpowatej zatoczki. Jak majak przesunął się kontur drewnianego krzyża z rozpiętym Zbawicielem, jak przez sen mignęło czerwone światełko zapalonej u Jego stóp latarni…

Warmski odetchnął głęboko i oddał się marzeniom. Kochał te noce morskie, miesięczne na wolnym od gwaru ludzkiego, wysrebrzonym poświatą księżycową pokładzie, gdy nieobserwowany przez nikogo mógł wsłuchiwać sięw majestatyczny szum fali, gędźbę wichru i łopot żagli; drogie mu były te chwile rozmowy sam na sam z morzem, ten duet wieczysty duszy ludzkiej, twórczyni kształtów z plastycznym, bajecznie giętkim żywiołem…

Tymczasem brygoleta opływała przylądek Helu. Przesunęła się mimo światła nawigacyjne latarni, rozbłysły i zgasły zielonawe refleksy księżyca w oknach Morskiego Laboratorium i statek wpłynął na wody Wielkiego Morza. Do uszu zadumanego kapitana doleciała komenda:

— Zwinąć topsle i kliwry! Zarefować fok i grot!

— Widocznie wiatr wzmógł się i zmienił kierunek — wyciągnął leniwo wniosek i zapadł z powrotem w zamyślenie.

Odezwał się znamienny szum w ożagleniu, potem charakterystyczne trzaskanie z raband[233] i „Królewna Hanka" ze zmienionym halsem[234] zaczęła iść pod wiatr.

[233]*rabandy* — taśmowe naszywki żagli. [przypis autorski]
[234]*hals* — ciąg. [przypis autorski]

— Pół rumbu[235] z kursu! — brzmiał ciąg dalszy komendy.
— Pół rumbu z kursu — potwierdziło echo od szturwału.
— Wyrównaj kurs!
— Wyrównano.
Brygoleta mknęła dalej w kierunku północno-zachodnim…
Kapitan, nie zmieniwszy pozycji, stał wciąż w zadumie, przechylony przez burtę. Zdarzenia dnia przestały narzucać mu się natrętną bezpośredniością; odpadły od duszy jak plewy, odleciały jak ptaki, przelotne; nie pozostało po nich nic: znać, jak bardzo mu były obojętne. Nareszcie mógł zwrócić się tam, dokąd rwało serce i dusza, nareszcie wolno mu było myśleć *o niej*. Przed spojrzeniem wewnętrznym zaczął rozwijać się film przeszłości.

Strzał w parku, walka ze śmiercią, cudowne wyzdrowienie i nagła jak grom z jasnego nieba decyzja Hanki — oto pierwsze obrazy wyrzucone falą wspomnień na ekran duszy. Instynktem serca wyczuwał pobudki, jak przez mgłę widział zarysy motywów. Coś w niej musiało zajść w czasie jego choroby, jakiś potężny proces psychiczny musiał rozegrać się w tej wielkiej, ukochanej duszy. I właśnie temu procesowi zawdzięczał powrót do życia i… utratę najdroższej na świecie istoty. Rozpaczliwy bunt, jaki podniósł wtedy, załamał się przed opoką jej woli. Warmski zrozumiał, że stoi wobec sił wyższych, którym nie zdzierży, i wijąc się jak robak z bólu, poznał tę smutną prawdę, że wielkość duszy i szczęście najczęściej odmiennymi chodzą ścieżami i rzadko kiedy spotykają się w drodze na tym padole łez.

Hanka Działyńska stała się odtąd „zakładniczką Bożą", straconą dlań na zawsze oblubienicą Chrystusa, której wielka ofiara wróciła go zdrowiu i życiu. A zakład to być musiał ważki i wielce go sobie musiał cenić niebieski Oblubieniec, jeśli ten, którego wydarła z paszczy śmierci, żył dotychczas cały i zdrowy. Cud to był, cud prawdziwy; kto inny byłby już zginął do tej pory niechybnie.

Bo nie było takiego hazardu, na który by się Jan Warmski po utracie narzeczonej nie ważył. Szarpany rozpaczą młody człowiek wyzywał wprost przeznaczenie i szukał śmierci na każdym zakręcie drogi. Jak opętany szedł na spotkanie karkołomnej przygodzie, jak desperat błąkał się po krawędziach przepaści, rzucał na oślep w zatraceńcze wiry. I zawsze wychodził zwycięski. Prowokowana na każdym kroku śmierć ustępowała z drogi szaleńcowi, który mścił się za to nadludzką dla niej pogardą. Rzecz dziwna — nawet obcowanie z nim, nawet bliskość jego fizyczna zdawały się chronić przed niebezpieczeństwem. Toteż ludzie chętnie z nim przestawali i wielu młodych zapaleńców towarzyszyło mu stale w jego „wariackich potrzebach[236]".

Najpierw służył w marynarce wojennej. Odznaczony kilkakrotnie za dowody szalonej odwagi i zimnego, nieliczącego się z niczym męstwa otrzymał już po roku służby wraz z krzyżem kawalerskim rangę oficera. Gdy w rok potem w czasie manewrów floty odniósł świetne zwycięstwo jako dowódca łodzi podwodnej, ofiarowano mu godność komandora. Ku powszechnemu zdumieniu Warmski zaszczytu nie przyjął i tłumacząc się chorobą nerwową, „przerzucił się" z marynarki wojennej do handlowej. Zrazu prowadził statki cudze, później dzięki kilku szczęśliwym rejsom, w archipelagu malajskim zdobywszy pewną fortunę, usamodzielnił się i został kapitanem własnego okrętu.

Była nim brygoleta ku uczczeniu nigdy Niezapomnianej ochrzczona imieniem „Królewny Hanki". Jak prawdziwy marynarz przenosił Warmski jazdę na żaglowcu nad żeglugę statkami o napędzie parowym czy motorowym; jak nieodrodny syn morza wolał trudniejszą, bo bezpośrednią walkę, niż ułatwione przez nowoczesną technikę zmaganie się z żywiołem. Dlatego, chociaż w tych czasach żaglowce były już właściwie przeżytkiem tułającym się jeszcze tu i ówdzie na torach śródlądowych i przybrzeżnych, Warmski jakby na przekór wszystkim znalazł upodobanie w tym właśnie typie statku i wbrew utartemu powszechnie zwyczajowi odbywał na swej brygolecie dalekie i niebezpieczne rejsy na głębokich wodach.

W okręcie swym był zakochany jak w pięknej kobiecie. Przejrzał wszystkie jego zalety i wady, właściwości i tajniki, znał na wskroś jego organizm, jak dobry lekarz zna ciało swego pacjenta, odczuwał każdy najlżejszy odruch, najsłabsze drgnienie, rozumiał

[235] *pół rumbu* — 1/32 horyzontu. [przypis autorski]
[236] *potrzebach* (daw.) — przedsięwzięcie, bitwa. [przypis edytorski]

nawet jego chimery i kaprysy. Toteż pod czułym i kochającym jego okiem pływała brygoleta pewna i bezpieczna po najburzliwszych morzach, borykała się zwycięsko już od lat siedmiu z odmętami najdzikszych oceanów. I chociaż w swym smukłym, wytwornie sklepionym kadłubie posiadała w odwodzie dwa potężne motory spalinowe gotowe w każdej chwili do wyręczenia w pracy żagli, dotychczas skorzystała z ich pomocy tylko raz jeden: dwa lata temu podczas bezwietrznej martwicy, która zaskoczyła ją znienacka na Oceanie Spokojnym w pasie podzwrotnikowym, gdzieś kilkanaście mil morskich na południe od wysp Galapagos...

Lecz tułaczka po morzach nie przyniosła ukojenia; nie uśpiły tęsknoty za Hanką kołysanki fal, nie zgłuszyły jej ponure chorały cyklonów. Życie bowiem ułożyło mu się w rytm Norwidowej piosenki:

Źle, źle zawsze i wszędzie,
Ta nić czarna się przędzie:
Ona za mną, przede mną i przy mnie;
Ona w każdym oddechu,
Ona w każdym uśmiechu,
Ona we łzie, w modlitwie i w hymnie...

I oto po 10 latach męki nie do zniesienia los jakby ulitował się nad nim. Pół roku temu, jakoś z końcem listopada, po powrocie z Hondurasu dzięki szczególnemu przypadkowi dowiedział się o miejscu obecnego pobytu Hanki. Wiadomość podziałała jak objawienie; przez parę dni Warmski chodził po świecie jak lunatyk, nie jadł, nie spał, na pytania nie odpowiadał.

W ciągu 10 lat przepływać tyle razy obok klasztoru i nie wiedzieć, że ona w nim przebywa! Jak można, jak można było! Co za karygodna niewiedza, co za potępienia godna ślepota! Hanka — anuncjadą! Hanka — Morską Panną! Królewna! Święta!

W tydzień potem zaciągnął się ponownie do rządowej służby i został inspektorem policji morskiej na wodach terytorialnych: zrzekł się wędrówki po bezkresnych pianiach morza i zamienił żeglugę w wielkim, bujnym stylu na skromny, przybrzeżny kabotaż.

Dla ciebie Hanko! Dla ciebie, Jedyna!

Od tej chwili nie było dnia, aby Warmski nie przejeżdżał na swej brygolecie mimo klasztoru anuncjatek. Pod pretekstem wymogów służbowych, pod osłoną racji strądowego ładu i bezpieczeństwa wymykał się kapitan z portu na swym ukochanym statku i zawsze docierał do linii klasztornej rozkali.

Tu witały go zimnymi blaski mroźne, grudniowe zarania, okrążały zgiełkiem południowej godziny rzesze mew i rybitw, tu szydziły zeń pokrwawiem zachodu konające słońca i patrzyły na jego tęsknotę chłodne, obojętne księżyce. W noc wigilijną, gdy cała załoga rozpierzchła się po domowych zaciszach, by na łonie rodziny spędzić ten jedyny w roku radosny wieczór i pokolędować Maleńkiemu przed stajenką i choinką, kapitan Warmski, pozostawszy na opustoszałym statku sam jak palec, wsiadł do motorówki i pognał ku klasztornemu przylądkowi. I podczas gdy inni w ciepłych, rozjarzonych światłem izbach łamali się opłatkiem, on jak potępieniec tułał się po morzu dookoła skalistego wyskoku, roztrącając stężałą, na pół zakrzepłą już falę dziobem swej łodzi.

Tak upłynęła mu zima i początek wiosny. Warmski czekał. Roztęsknione oczy jego błądziły po klasztornym tarasie, zagłębiały się głodne w wyloty krużganków, żebrały o litość strzeliste, bezcenny skarb skrywające okna i konały z bólu u podnóży kamiennych przyporników...

Aż wybiła godzina spełnień: niezapomniany świt Wielkiej Soboty. I nastały dnie miłosnego rozmodlenia i adoracji, tydzień hołdu i uwielbienia.

Co dzień, gdy ponad rozłogami morza budziły się pierwsze przeczucia poranku a rozewska latarnia wysyłała ostatnie rozbłyski, podpływał Warmski pod taras i co dzień witał z daleka oczekującą. I szły ku sobie ich spojrzenia poprzez kurzawę kipieli, poprzez wrzątek wód i zwarłszy się w uścisku, wiązały ślubami wieczystego miłowania. I wędrowały ku sobie ich dusze poprzez grzywy deneg[237], poprzez zgiełk przyboju i spotkawszy się

[237]*denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]

w drodze, tuliły do siebie jak para rozkochanych gołębi. Tylko twarz jej z dniem każdym stawała się bledsza, tylko oczy jej z dniem każdym bardziej podobne do oczu konającej łani…

Rozkaz admirała przerwał na długie trzy tygodnie słodycz tych nabrzmiałych smutkiem jesieni spotkań. Nie zdołał jej nawet pożegnać; twarda, żołnierska służba odwoływała w inne strony.

Dopiero dziś, po spełnieniu obowiązku leciał ku niej na skrzydłach ogromnej tęsknoty. Lecz czy będzie go wyglądała? Czy wyjdzie jeszcze raz na taras? Czy może zniechęcona daremnym, trzytygodniowym czekaniem zamknie się z powrotem w zimnych wnętrzach klasztornej samotni?

Okrutna niepewność szarpała duszę szponami sępa, zaginając pazury pod samo serce. Z rozterki duszy zaczął wywiązywać się dziwny stan pół snu, pół jawy — niebezpieczny stan, któremu ulegał od czasu do czasu w momentach wewnętrznego przełomu.

Gdy uczuł znamienne odrętwienie w nogach i szum w uszach, oderwał się resztkami świadomości od bariery i powlókł ku trapie juty[238]. W drodze usłyszał jeszcze niewyraźnie komendę:

— Do zwrotu! W prawo na burtę! Puść kliwer-szkoty!

„Przebrasowują żagle na nowy hals" — przekradła mu się chyłkiem ostatnia myśl i wysilona rozwiała się w ciemnościach.

Na pół przytomny zeszedł do kajuty i rzucił się bez pamięci w głąb koi[239].

I podczas gdy statek po dokonaniu zwrotu przez sztag[240] szedł pełniejszym kursem w pół wiatru, kapitan jego leżał w kajucie stężały i bezwładny jak kłoda. Po kilku minutach bezwzględnego zastoju władz psychicznych zaczęła budzić się w nim nowa, zmieniona do gruntu świadomość.

Sen, Przemiana, Wspomnienia, Odrodzenie, Kara

Warmski uczuł się nagle mnichem na tle ponurego średniowiecza. Na horyzoncie zarysował się kontur potężnego opactwa, mroczne wnętrze kapituły i zbór braci-zakonników w białych, okapturzonych habitach — jak zmora przesunęło się wspomnienie klasztornego sądu i klątwy, i długiej, samotnej wędrówki wzdłuż morskiego wybrzeża. W końcu zmartwychwstała wizja najcięższej przewiny: ohydnego gwałtu na dziewiczej mniszce w cichym, klasztornym sadzie, zrodzonego stąd zwątpienia i samobójczej śmierci w rozchylach morza. Nastąpił okres pokuty: czasowy zanik ludzkiej świadomości i upokarzające dla ducha zlanie się z żywiołem…

Porwana siłą retrospekcji jaźń Warmskiego dotarłszy do tego momentu poprzedniego swego żywota, opuściła ciało śpiącego i przywdziawszy ponownie postać mnicha, zbratała się z morzem.

Był pół człowiekiem, pół rybą-głowaczem, zwierzęciem z ludzką świadomością. Teraz przypominał sobie przebytą kaźń, kiedy to łuskowatą piersią przez wieki całe pruł rozłogi Bałtyku i krążył dookoła klasztoru, rozgarniając fale hakowatą płetwą. Był postrachem i plagą strądu: ilekroć gdzie wychylił z toni łeb swój z tonsurą mniszą, roiły się nieszczęścia i zbrodnie. Aż się wypełniły przeznaczenia, aż wolą wyższą duch jego oswobodzony z miejsca pokuty zamieszkał po wiekach tułaczki w ciele przyszłego marynarza. Lecz pamięć grzechu i minionego żywota powracała w chwilach duchowego przesiłu i rozterki; wtedy kapitan, chwytany nagle w kleszcze sił nieznanych, tracił przytomność i nie władnąc sobą, zapadał w stan drętwoty, z którego budził się niepomny sennych widziadeł i przeżyć…

I teraz, w tę noc srebrzystą, księżycową cień mnicha morskiego, potuławszy się po przedrannej fali, rozpłynął się jak majak przed brzaskiem; i znów dreszcz życia przepłynął przez bezwładne ciało Warmskiego: śpiący poruszył lekko wargami i ocknął się.

Był świt: przez iluminatory kajuty wpadały do wnętrza pierwsze, szarobiałe jego smugi. Kapitan zerwał się z koi i wypadł na pokład. Z morza wyłoniła się właśnie górna krawędź słońca i skoraliła grzebienie wełn. Brygoleta była na wysokości klasztoru.

Warmski jak piorun wskoczył na wyżkę.

— Trajsle i sztaksle na gejtawy! — krzyknął donośnie. — Spuścić kliwry! Odbrasuj fokreje do położenia zasadniczego! Ster na wiatr!

[238]*trap juty* — schody w tylnej partii statku. [przypis autorski]
[239]*koja* — łóżko okrętowe. [przypis autorski]
[240]*zwrot przez sztag* — dziobem ku wiatrowi. [przypis autorski]

Zatrzepotały formarsle, napełniły się wiatrem grotmarsle i brygoleta zatrzymana w biegu zaczęła wykonywać na miejscu ruchy półkoliste: statek legł w dryf. Kapitan spojrzał na taras i pokraśniał ze wzruszenia. Oparta o parapet czerniła się smukła postać zakonnicy; z ram kornetu wychylała się twarz bielsza niż lilie, patrzyły oczy śmiertelnie smutne.

Warmski podszedł na koniec mostku i zasalutował. Siostra Agnieszka nisko pochyliła głowę…

PUSTA NOC

Ważyła się ku końcowi druga połowa wiosny. Przeświątkowały się jastre[241], przegnała mimo pora uklejnic[242] i płań morską pokryły brudno-zielone zakwity glonów. Nadszedł okres ryb letnich: zawitały nareszcie grepami do kaszubskich brzegów tęsknie wyglądane flądry i makrele, dorsze i płastugi, gładysze, rapy, skarpy-turboty i półmetrowe sieje.

Od świtu do nocy uwijały się po łowiszczu kutry, boty i kwacze; przy strądzie, za linią wywłok, u kończyn rew, we wnękach brzegu, kędy spokojniejsza woda i łagodniejsze zaloty fali, czyhały na zdobycz chytrze zastawione żaki i więciorki, wątony, pławnice i sanie, w zatoczkach cichych, fioletową wstęgą mikołajków obwiedzionych drzemały pomiędzy jazami podstępne kłonie; a dalej, poza klinami paliszcz głęboko pod wodą na potyczy rozpięte wahały się trójdzielne dargi, waty, cezy, klepy i mreże.

Po wiosennych sztormach i nawałnicach nastał czas głady. Morze zrobiło się ciemnoszafirowe i ciche jak dzewus na piersi miłośnika a wiodro[243] czyste jak kryształ na turkusowym tle nieba. Przy brzegach zaczęły brodzić kulingi, pływać kaczki morskie i dzikie kiełpie-łabędzie.

W głębi kraju, po jarach i wądołach jęły rozglądać się przezorne jaźwce, przekradać się między krzewami janowca i drzonów mądre i sprytne lisy.

Zmężniała zieleń charszczu po dunach, rozzłocił się jerk-sarnowiec, zawoniały mlecznobiałe, laskonogie tawuły. Po wydmach i osypiskach przeginały się w pieszczotach wiatru strądowe stróżki — sosny, godowały w świeżych przyodziewach jesiony i jarzębiny, porastał w liście buk. Wiosenka dościgała na kaszubskim brzegu, wiosenka — latu nena[244]…

W któreś słoneczne, świętojańskie[245] popołudnie przyszli Józk Pioch i Heda Dorszówna na schadzkę do Borsuczego Jaru. Czas był gorący, miejsce zaciszne, dobrze przed wzrokiem ludzkim zakryte, a oni młodzi i siebie spragnieni; nigdy jeszcze nie nadarzyła się sposobniejsza chwila.

Toż gdy on owinął sobie dookoła szyi jej jasne, polem i macierzanką pachnące warkocze i przywarł wargami do ust jej pąsowych, do brzadu[246] wiśni podobnych, zawrzała im krew w żyłach i długo tłumione miłowanie wybuchnęło pożarem. Cały w dreszczach lubej ciągoty przechylił ją Józk ku ziemi na trawę. Wtem krzyk jej nagły i błysk strachu w oczach odtrąciły go od niej jak czyjeś nieubłagane ramię. Poszedł spojrzeniem za oczyma Hedy, odwrócił się i ujrzał o dwa kroki za sobą Zygmę Kurra z nożem podniesionym do ciosu…

Zamigotało w słońcu ostrze i opuściło się ku jego piersi. Lecz zanim zdołało przeszyć mu serce, Heda jak lwica rzuciła się między nich i zasłoniła swym ciałem ukochanego. Cudem jakimś ześliznął się nóż po stalce dziewczyńskiego gorsetu i rozpruwszy tylko głęboko stanik na piersi, wypadł z brzękiem z dłoni napastnika.

Pioch blady jak ściana odsunął lekko dziewczynę i popatrzył wzgardliwie w oczy rywala.

— Te zbóju! — rzekł niskim, rozdrganym z wściekłości i wzruszenia głosem. — Chyłkiem chcesz ludzi dźgać? Jak to bedło, he?

Tamten milczał ponury i czarny jak tamcza gradowa; jeno po licu chmurnym chodziły mu złe błyski. Nie darmo ponoś wywodził się z Północy, od twardych, normańskich wikingów.

---

[241] *jastre* — Wielkanoc. [przypis autorski]
[242] *uklejnice* — rodzaj ryb. [przypis autorski]
[243] *wiodro* — powietrze. [przypis autorski]
[244] *nena* — matka. [przypis autorski]
[245] *świętojańskie* — czerwcowe. [przypis autorski]
[246] *brzad* — owoc. [przypis autorski]

Nagle spojrzał na Piocha w szczególny sposób i uczynił ręką gest tajemniczy. Józk zrozumiał go i pochylając głowę na znak zgody, szepnął mu do ucha:

— Pod zachód za szpyrkiem.

— Gwes. A te Heda pódź tera se mnom do checze!

— Nie pójdę z woma — stawiła mu się hardo.

Łypnął na nią groźnie oczyma, lecz widząc nieustępliwą postawę obojga, machnął ręką i rzekł na odchodnym ze złością:

— Ninia! Obaczeme wnet, gdze ci jiść sądzono.

I odwróciwszy się od nich, zbiegł ścieżyną w dół jaru i wkrótce zniknął między krzewami leszczyny. Józk i Heda ujęli się za ręce i długą, długą chwilę wpatrywali się w siebie rozkochanymi oczyma. Potem milcząc, poszli ku domostwu Piochów.

W chałupie i na obejściu nie było nikogo; stary pewnie gdzieś wałęsał się po płaskoci i krzewał[247] onegdaj zastawione żaki. Józkowi było to bardzo na rękę; pragnął uniknąć rozmowy z ojcem o tym, co zaszło między nim a Kurrem. Heda smutna błąkała się po izbach, nie śmiąc zagadnąć go wręcz o tajemnicę znaku i porozumienia z ojczymem; jeno serce, nieomylne serce białki mówiło jej, że zanosi się na sprawę ważką, że zimny spokój, jaki nagle zagościł na twarzach przeciwników, niedobrze wróży. Toteż w checzy zapanował nastrój przygnębiający; na wszystkim zaciążyła duszna atmosfera zbliżającej się burzy.

Heda jak senna przechodziła z kuchni do świetlicy, ze świetlicy do alkierza, jak pijana czepiała się ścian, imała sprzętów. Aż zdjęta trwogą i lękiem nie do zniesienia przypadła mu do piersi z pytaniem:

— Co on ce ręką pokazował, Józk? Na Krysta rane litość nade mnom miej! Nie skrywoj nic! Przeciem ci twojo miło.

— At, przywidzioło ci sę — uspokajał ją, tuląc mocno do siebie. — Cos se zbiero na dmę — rzekł po chwili, patrząc w stronę morza.

— Ninia, od mniedzemorza wiater kanie[248] — przytwierdziła wpatrzona w rozkołysane od pewnego już czasu przez bryzę bujowisko. — Ciejbe[249] je chto mlekiem poloł.

— Gwes, wieczorowe kurzysko. Hej, bedze sztorm te noce, belny sztorm! Patrzaj Heda, jak douka[250] idze s morza ku dunom[251] i słońce ćmi. Pójde jo wyciągnąc bot z wode na wywłoke; dma porwie sznure i poniesie na bystrz. No, bywoj me zdrowo, Heda! Za mały czas wróce; uwarz tam dlo nos trochę ciepłe strawy; ojc lubi smażoną pomuchle z golcami.

Objął ją, przycisnął mocno do piersi i zanim zdołała coś odpowiedzieć, wypadł za próg. Zakłuło ją coś nagle pod sercem i zemdliło, że aż zatoczyła się z osłabienia na nogach. Gdy zabrała się do gotowania wieczerzy, jakoś nie szło; jak mara zwidywał jej się wciąż tajemniczy znak ojczyma. Targana złym przeczuciem zarzuciła na plecy szal i zamknąwszy dom, zbiegła na płaskoć. Instynkt kierował ją ku szpyrkowi koło cumowiska.

Tymczasem wiatr wzmógł się; biała kurzawka przemieniła się we wzdętą przelewę. Od morza szedł groźny, ostrzegający pomruk. Heda ujrzała na wzburzonej piani dwa dobrze sobie znane boty skwapliwie odsadzające się od strądu: Józk i ojczym odbijali od brzegu, jakby idąc na spotkanie sztormowi; płynęli pobok siebie jak na wspólny łów, trzymali się blisko jak rodzeni bracia-przyjaciele. Ta bliskość ich, to szukanie siebie na schełbionej dziko roztoczy miało w sobie coś okropnego, coś, przed czym wzdrygała się cała jej istota.

Upadła na kolana u wylotu piaszczystego języka i dygocąc ze strachu, zaczęła modlić się. Tymczasem oni oddalali się w kierunku Rozewia; w blaskach zachodzącego ponuro słońca zjeżdżali z deneg[252] w bruzdy, wdzierali się z powrotem na grzbiety przewałów i znów zapadali w rozdoły. Aż zniknęli jej z oczu za przylądkiem…

Zaryczał wicher, zahuczała fala i zjeżywszy się przyłbicą pian i warów, zaczęła wdzierać się na strąd. Przemoczona do nitki Heda schroniła się pod opiekę spychów. Wciśnięta w niszę wanty, pod okapem zwisu klęczała nieruchoma jak przydrożny świątek. Zbielałe usta szeptały słowa litanii, wylękłe oczy błądziły po rozchylach.

[247]*krzewał* — macał. [przypis autorski]

[248]*kanie* — nadchodzi, skrada się chyłkiem. [przypis autorski]

[249]*ciejbe* — jak gdyby. [przypis autorski]

[250]*douka* — mgła. [przypis autorski]

[251]*duna* — wydma piasku, zaspa, morska góra. [przypis edytorski]

[252]*denega* — wzburzone morze. [przypis edytorski]

— Boże, bondze noma miłościw! Boże, ulituj se nad noma!

Tak minęła długa godzina. A gdy już słońce zapadło pod ziemię i na chwilę przycichł sztorm, wielka, grzywiasta denega przyniosła jej i złożyła u stóp łódkę z rozciągniętym na dnie martwym ciałem Józka.

Wyglądał okropnie; z pokrwawionej, pociętej nielitościwie razami wiosła i pięści twarzy wyzierał siny, obrzękły język.

Z cichym jękiem rzuciła się na zwłoki i straciła przytomność.

Gdy się zbudziła z omdlenia i podniosła ociężałe powieki, uderzył ją w oczy żółty, schorzały blask świec. Pełgotały gdzieś w górze naprzeciw i zaglądały jej prosto w twarz smutkiem gromnic...

Przypomniała wszystko. Rozpacz porwała ją od nowa za włosy i zwlókłszy z posłania, jęła znęcać się nad nią bez litości. Heda zaparła się ręką o odrzwia i patrzyła w głąb żałobnej świetlicy.

Tam, na marach, zwyczajem ojców, z dwóch botów dnem wywróconych, kirem pokrytych leżał on: Józk Pioch — jej ukochanie. Leżał cichy i spokojny jak dziecko na łonie nenki. Trzy krzyżyki mu na piersi położyli, trzy krzyżyki z osiny — by nie mógł krewnym i powinowatym szkodzić po śmierci.

Trup, Obyczaje

— Głupie ludzie! Józk szkodzić?!... Ten dobry, jasny knop, ten böb jej kochany, co robaczki zdybane pod nogą podnosił i na liściu kładł, co pisklęta ptasie w gniazdach karmił — on „szkodzić" po śmierci?

Uśmiech goryczy przewinął się po ustach i rozlał po zbolałej twarzy.

A tam za oknami głucha, czarna noc, ryk sztormu i jęk wichru...

Heda patrzy na mary jak na jakieś nieprawdopodobne, trudne do wiary dziwowisko i widzi starą, siwą głowę pochyloną nad Józkiem i palce drżące, powęźlone przesuwające się bolesną pieszczotą po jego włosach.

„Ojc — myśli — jego ojc..."

Z kąta izby błyszczy para złośliwych, zakisłych od starości oczu i płynie nuta ponurej jak noc ta pieśni. Na tle huczącej nawałnicy, skowytu wichrów i drzew zawieruchy brzmi zawodzenie płaczki żałobnym, beznadziejnym wtórem. A gdy na chwilę ścichnie wiatr, milknie posępna piosenka i słychać szept niezrozumiałych zaklęć zmieszanych ze słowami modlitwy:

Śmierć, Żałoba, Trup, Pogrzeb, Obyczaje

— Wojcze nasz, chtory jes niebie, świanceno bondzie imio twoi, przijdze krolejstwo twoi...

To Ota w zgrzebnej koszuli i czarnej, podartej kiecce odprawuje przy zmarłym straż „pustej nocy". Od czasu do czasu przerywa sowie pacierze, zbliża ku marom swój rozczochrany, popiołem posypany łeb czarownicy i przenikliwym okiem przygląda się nieboszczykowi: szuka zmian na jego twarzy, bada, czy przypadkiem nie nabiera rumieńców „wieszczego[253]". Dziś jęczy i zawodzi jak złowróżbny puchacz-zwiastun żałoby a jutro, po pogrzebie rej będzie wodziła przy „przepijaniu skórki[254]".

Gniew nagły zdjął Hedę na tę starą, rozmiłowaną w cudzym nieszczęściu wiedźmę. Odepchnęła ją szorstko i sama zajmując jej miejsce, przylgnęła ustami do ręki Józka...

Cień jakiś długi padł w poprzek mar i ramiona czyjeś mocne, zachłanne jak żądza oplotły kibić nieszczęsnej dziewuchy.

Ucieczka, Kobieta, Mężczyzna, Pożądanie, Przemoc

— Teroz ty ju mojo — szepcze jej nad uchem głos znany, nienawistny — mojo no zawsze.

Wydarła mu się z objęć, splunęła w twarz i pomknęła w noc z checzy śmierci. Zakląwszy głośno, Kurr rzucił się w pogoń za pasierbicą. Lecz zanim opatrzył się, w którą ścigać stronę, wyprzedziła go o duży kawał drogi. Rozpoczęła się dzika gonitwa. Heda uciekała zrazu brzegiem spychów w kierunku północnym. Śmigła jak łania prawie nie dotykała w biegu ziemi. Prześladowca — krępy i trochę przyciężki — nie dorównał jej w lekkości i zwinności ruchów, lubo[255] górował siłą i wytrwałością. Toteż losy ciągle ważyły się: raz

---

[253]*wieszczy* — upiór kaszubski [tj. po kaszubsku]. [przypis autorski]
[254]*przepijanie skórki* — stypa. [przypis autorski]
[255]*lubo* (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

ona wysforowała się naprzód i ginęła mu z oczu w ciemnościach, to znów on zdawał się już, już dosięgać ją kazirodczą ręką.

Tak okrążyli Borsuczy Jar, minęli Lisie Rozdoły i wpadli pomiędzy pola; Heda wyraźnie już zmierzała ku klasztorowi. Kurr zaniepokoił się na dobre; wiedział, że jeżeli ona zdoła dotrzeć tam w porę, wszystko stracone. Postanowił przeto przeciąć jej drogę i dlatego rzucił się na przełaj przez księżą pażycę. Łąka w tym miejscu była torfiasta i nie podeschła należycie po wiosennych ulewach; zrobiwszy parę kroków Zygma zapadł się po kolana w jakimś zdradzieckim zasiąklu. Zaklął brzydko i z biedą wydobył się z zapadni. Tymczasem Heda wyprzedziła go znacznie i chyża jak sarna pędziła ścieżyną prosto już ku klasztornej bramie; nadzieja dodawała jej sił, uskrzydlała śmiertelnie znużone już nogi. Wreszcie dopadła zbawczych podwoi, szarpnęła za dzwonek i obsunęła się ciężko na stopnie u wejścia. Zegar na wieży dzwonowej zaczął bić godzinę drugą po północy. Na kamiennym chodniku, co wiódł z drogi do klasztornej furty, zadudniły kroki Kurra.

— Boże ulituj se nade mnom! Nie doj me na pohańbenie! — jękła, trzęsąc się ze strachu i zaczęła bić rękoma o drzwi.

Zygma był już od niej o parę kroków, gdy wtem zazgrzytał klucz w zamku i Heda oparta całym ciężarem ciała o bramę runęła do wnętrza.

— Jezus, Maria! — krzyknęła siostra odźwierna, podnosząc w górę latarnię. — Co tu się dzieje?!

— To jo, Heda Dorszówna — wyjąkała dziewczyna, słaniając się pod ścianą korytarza. — Ratunku! Ratunku!

Kurr usiłował wtargnąć za nią do środka, lecz nagle jak tknięty piorunem zatrzymał się na ostatnim stopniu schodów. Pomiędzy nim a Hedą wyrosła dostojna postać ksieni Anastazji. Piękne, surowe oczy spoczęły badawczo na twarzy zabójcy i gwałtownika. Pod mocą tego spojrzenia Kurr zachwiał się i spuścił głowę. Przeorysza podniosła rękę i władczym ruchem wskazała mu drogę. Usłuchał bez słowa sprzeciwu. Gdy ciężkim krokiem odchodził ku polom, doszedł go zgrzyt klucza i głuchy łoskot zasuwanych z powrotem wrzeciądzów...

OBŁÓCZYNY

Grono Morskich Panien powiększyło się o jedną jeszcze oblubienicę Chrystusa: Heda Dorszówna znalazłszy u stóp Pana przytułek przed burzami życia, postanowiła na zawsze pozostać w murach klasztoru i poświęcić się odtąd wyłącznie miłości Boga, modlitwie i dobrym uczynkom.

Dla dopełnienia ceremonii obłóczyn zjechał do monasterza opat kartuzów i wezwał do asysty księdza kapelana Pszenickiego wraz z wikarym z Odargowa. Obrzęd odbył się w czasie uroczystej *missa pontificalis virginum*. Ślub, Bóg, Chrystus, Religia, Kobieta

Po komunii opat celebrujący w białym habicie z mitrą i krzyżem na piersi zasiadł na tronie prałatów na stopniu górnym Wielkiego Ołtarza, a ksiądz proboszcz jantarowski jako mistrz ceremonii zaintonował wyjątek z paraboli „O dziesięciu pannach":

— Dziewice roztropne, przynieście swe lampy! Oto Małżonek się zbliża; wyjdźcie Mu na spotkanie!

Chór mniszek za kratą prezbiterium odpowiedział mu hymnem św. Ambrożego: „*Jezu, corona virginum*".

Zagrały uroczyście dzwony i szpalerem wiernych w towarzystwie druhen weszła do kościoła Heda. W stroju białym, weselnym, w koronie z kwiatów pomarańczy, z welonem przesłaniającym słodkie jej, zamyślone oblicze wyglądała jak jedna ze świętych dziewic na obrazach szkoły prerafaelickiej.

Z zapaloną świecą zbliżyła się nowicjuszka do ołtarza i uklękła na najniższym stopniu. Wtedy opat, powstawszy z tronu, wezwał ją w imieniu Niebieskiego Małżonka:

— Przyjdź, oblubienico moja!

— Oto jestem — zabrzmiała cicha, pokorna odpowiedź. I podeszła ku niemu o jeden stopień. Z głębi odezwał się śpiew mniszek:

— Przyjdź, oblubienico moja! Zima już minęła, synogarlica grucha, winogradu kwiaty napełniają powietrze balsamiczną wonią. Przyjdź, oblubienico moja!

Wtedy znów podeszła ku niemu o jeden stopień i pochylając z pokorą głowę, wyszeptała:

— Oto jestem, Panie. Oblubienicą się mienię Twoją, oblubienicą Tego, któremu służą aniołowie, którego piękność podziwiają gwiazdy.

Wezwana po raz trzeci przez kapłana podniosła się z klęczek i podtrzymywana za ramię przez diakona podeszła do stóp tronu. Tu uklękła. Wśród uroczystej ciszy zawiązał się między oblubienicą a celebransem rytualny dialog:

— Czego pragniesz, córko?

— Przewielebny Ojcze! Przenikniona gorącą i serdeczną tęsknotą ku Bogu, w związku z Panem naszym, Jezusem Chrystusem chcąc resztę życia mego spędzić na adoracji Przenajświętszego Jego Sakramentu, przy zachowaniu reguły św. Franciszka, proszę cię kornie, Ojcze Przewielebny, o łaskę i przywilej zakonnego habitu.

— Użyczę ci go, córko, jeśli posiadasz pewną i niezłomną wiarę, że podołasz nowym, szczytnym zadaniom, że potrafisz żyć, jak na ofiarę poświęconą św. Sakramentowi przystało.

— Mam głęboką nadzieję, że sprostam swym obowiązkom wspomagana przez nieprzebraną łaskę i nieskończoną dobroć Zbawiciela mego, Jezusa Chrystusa.

— Oby Bóg, córko moja, użyczył ci wytrwania.

Tu celebrujący ukląkł naprzeciw ołtarza i podniesionym głosem zaintonował „*Veni Creator*".

Pieśń podjął chór niewidzialnych mniszek i kościół cały zabrzmiał melodią weselnego hymnu. Obaj asystujący kapłani odprowadzili nowicjuszkę do klęcznika i oddali w ręce drużek. Te zdjęły z niej welon oblubienicy, koronę z kwiatów pomarańczy i rozpuściły jej na plecy bujne skręty warkoczy.

Ksiądz Pszenicki rozłożył na kolanach opata serwetę, a diakon podał mu na tacy nożyce. Okryta złotolitym płaszczem włosów uklękła Heda u stóp celebrującego. On ujął złocisty jej bugaj lewą ręką i przez chwilę jakby go ważył; potem przyłożył ostrze nożyc i uciął włosy powyżej karku. Błysnęły po raz ostatni w blasku świec i rozsypały się złotą strzyżą na białym obrusie. Druhny przyodziały oblubienicę w błękitny habit, a diakon podał jej z koszyka pełnego płatków róż pas skórzany, kaptur mniszy i czarny welon.

— Siostro Alicjo! — przemówił opat, po raz pierwszy nazywając nowicjuszkę jej nowym, klasztornym imieniem. — Przyjm ten pas zakonny i pomnij na to, że podobnie jak skrępujesz nim biodra swoje, tak na przyszłość skrępujesz i zwiążesz wolą zapędy krwi mieszczące się w lędźwiach. A oto kaptur twój i welon, które ci odtąd nosić przystoi; niechaj ci one przesłonią widok na sprawy błahe i doczesne, a zwrócą twe spojrzenie ku rzeczom wiecznym. Bo powinnaś wiedzieć, że są symbolem samotności życia w Bogu.

W końcu powstawszy, ze słowami: „Przyjmij, najdroższa siostro, światło Chrystusa" podał jej zapaloną świecę. Potem pokropił ją święconą wodą na krzyż i zaczął tłumaczyć jej piękno i poezję życia klasztornego:

— Nie oglądaj się poza siebie na porzucone przez się rozłogi świata i nie żałuj, córko moja, niczego, coś pozostawiła poza furtą klasztoru; bo cząstka, którą obrałaś, lepsza jest i nie będzie ci nigdy odjęta. Zamiast czczych zajęć światowych będziesz spełniać odtąd dzieła miłosierdzia, pokutować za drugich, modlić się za tych, co się modlić nie umieją lub nie chcą; przyczyniać się będziesz do powiększenia i wzmocnienia ligi duchów dobrych w walce wieczystej z synami piekieł, by zadośćuczynić Panu za nienawiść, którą ku Niemu zioną. Męki się nie lękaj! Cierp, zmagaj się i łam z sobą, a będziesz szczęśliwa. Kochaj swego Niebieskiego Oblubieńca, a przekonasz się, jak słodkim, jak nieskończenie czułym jest dla Swych wybrańców. Miłość Jego jest tak ogromna, że nie będzie nawet czekał twego oczyszczenia przez zgon, by cię wynagrodzić za cierpienie; przed czasem, już za życia obsypie cię Swymi łaskami i jak św. Teresa z nadmiaru tęsknoty za Nim błagać Go będziesz o przyspieszenie dnia śmierci. Na koniec pamiętaj, córko moja, że podwaliną życia klasztornego jest ubóstwo, czystość i pokora; wyposażona w te trzy cnoty stawisz zwycięsko czoło wszystkim, choćby najzajadlejszym atakom i zakusom szatana. A teraz, siostro Alicjo, błogosławię ci na nową drogę żywota w imię Ojca i Syna, i Ducha św. Amen!

Powstał i z wzniesionymi ku stropowi świątyni oczyma modlił się:

— Panie, przyjmij tę dziewicę ofiarowującą Ci się jak Hostia za grzechy świata!

Organy zagrały „*Te Deum*". Siostra Alicja z płonącą świecą w ręce, poprzedzana przez diakona z krzyżem i gromadkę wiernych, a w ślad za nimi opat wsparty na pastorale wyszli z kościoła na podwórze. Melodia hymnu ścichła. Nowicjuszka zbliżyła się ku bramie od podwórca wewnętrznego i uderzając o nią trzykrotnie prawą ręką, prosiła:

— Otwórzcie mi podwoje sprawiedliwości! Bo wszedłszy, uczynić chcę wyznanie Pana.

I otwarła się brama na podwórzec drugi, odsłaniając w głębi zastęp mniszek.

— To są podwoje Pana; tylko sprawiedliwi mogą je przekroczyć — śpiewał chór Morskich Panien.

— Wejdę do miejsca Przedziwnego Tabernakulum, wejdę aż do samego przybytku Pana — odpowiedziała siostra Alicja i śmiało posunęła się ku progowi.

— Dom to Pański, dom to silnie zbudowany: mocno spoczywa na skalnej podwali — ostrzegały ją mniszki.

Lecz nowicjuszka, nie ulękłszy się przestrogi i ważkości obowiązków, które ją czekały, uklękła na progu i zwrócona ku opatowi rzekła głosem stanowczym:

— Tu miejsce mego spoczynku na wieki wieków. Tu zamieszkam, albowiem to miejsce sobie wybrałam.

I podniosła ramię, i pokazując palec zdobny pierścieniem ślubnym, zawołała:

— Pan mój, Jezus Chrystus związał mię z sobą pierścieniem, który zdobi mię jak małżonkę. Na koniec zdobyłam to, czego tak pragnęłam, na koniec mam to, czego tak wyczekiwałam; oto złączona jestem w niebiosach z Tym, którego tak umiłowało serce moje.

Opat wzniósł ręce ku jasnemu, pogodnemu w tej chwili niebu i patrząc w lazur błękitu, błagał Pana Zastępów o utrwalenie tego, co zdziałał w duszy świeżo poślubionej Mu dziewicy.

Z grona zakonnic w głębi podwórca odłączyła się matka Anastazja i podeszła do progu bramy.

— Pani — zwrócił się do niej arcykapłan — oddajemy w Twe ręce tę nową oblubienicę Chrystusa. Utrzymuj ją, Pani, w świętym postanowieniu, któremu zaświadczyła dziś w sposób uroczysty, pragnąc poświecić się Bogu jako ofiara na Jego ołtarzu. Przygotuj ją, Pani, do wieczystego związku z Niebiańskim Małżonkiem i w tym szczęśliwym przyroście powierzonej Ci gminy dusz znajdź nowe bodźce do troskliwości macierzyńskiej.

Przeorysza odebrała siostrę Alicję z rąk opata, objęła ją serdecznym, miękkim ruchem ramienia i uprowadziła z sobą w głąb, ku oczekującym towarzyszkom. Zamknęły się za nimi powoli skrzydła bramy...

A GDY O BRZASKU MINĄŁ SZTORM...

Splecione w siostrzanym uścisku spoglądały Agnieszka i Alicja z platformy tarasu na morze. Dziwnie szybko przylgnęły do siebie te dwie tak różne pod względem kultury i pochodzenia istoty. Zagnane zrządzeniem losu w mury jednego klasztoru panna z arystokratycznej rodziny i córka kaszubskiego rybaka uczuły ku sobie od razu głęboką, może ze wspólnoty doli płynącą sympatię. I tuliły się do siebie jak para bezdomnych, przez nawałnicę ściganych synogarlic.

Siostra Agnes wtajemniczała przyjaciółkę w arkana życia klasztornego, rozwijała jej bystrą z natury, lubo surową umysłowość. — Alicja w zamian niosła jej w darze urok prostoty i wielki liryzm serca. Owinęły się dookoła siebie jak dwa bluszcze i tak wsparte jedna o drugą spodziewały się dojść do kresu przeznaczonej im jeszcze na ziemi wędrówki.

A zwłaszcza siostra Agnieszka odczuwała wtedy bardzo potrzebę takiego oparcia. Bo od dłuższego już czasu dusza jej błądziła w ciemnościach; od niezapomnianego zarania Wielkiej Soboty stanęła jak pielgrzym na rozstajach dróg, niepewna, w którą zwrócić się stronę. Nagłe pojawienie się Warmskiego po dziesięciu latach rozłąki wniosło w zacisze jej życia nieład i rozterkę; nie znalazła dość sił w sobie, by odmówić mu widywania jej z oddali, nie mogła zdobyć się na przerwanie tej beznadziejnie smutnej sielanki. A przecież wystarczyłoby nie wychodzić na taras i pozostać w głębi klasztoru, wystarczyłby jeden jej gest, by dać mu do zrozumienia, ile ją te schadzki kosztują. Lecz na to zabrakło jej hartu woli. I z bolesną radością poddawała się jego życzeniu.

Codziennie, gdy siwy świt rozpraszał cienie, a rozewska latarnia kończyła nocne swe straże, wiedziona tęsknotą wykradała się Agnes na nadmorską platformę. I zawsze zastawała go już tam w dole, u podnóża skalnego wykuszu, wśród wrzątku kipieli z trudem utrzymującego się na łodzi; nigdy nie zawiódł, zawsze już czekał na nią.

Krótkie to były spotkania, krótkie jak uśmiech słońca wśród kirów żałobnego nieba: jedno długie, przeciągłe spojrzenie rzucone w dół spoza kamiennego przedpiersia balustrady, jedno zwarcie się roztęsknionych oczu — oto i wszystko. Potem zaraz odchodziła na poranne *officium*.

Lecz schadzki wyczerpywały ją duchowo. Agnes zdawała sobie sprawę, że wyłamuje się spod reguły, że zdradza swego Niebieskiego Małżonka, że czyni źle, że grzeszy. Zaczęły ją nękać wyrzuty sumienia. Najbardziej ciążyło jej to, że nie mogła nic wyznać na spowiedzi z obawy, że ksiądz kapelan zabroni jej wychodzenia samej na taras. Lecz to zatajanie sprawy wydało jej się nowym grzechem; spowiedzi swoje zaczęła uważać za świętokradzkie i nie czuła się godną Sakramentu Ołtarza.

Była jak to drzewo samotne przy drodze szarpane przez wichry, jak krzak polnej róży zdany na łaskę losu. Wychudła i wybladła snuła się jak cień po klasztornych korytarzach z głową nisko pochyloną ku piersi, nieśmiejąca nikomu spojrzeć w oczy. Modlitwy, nabożeństwa i praktyki religijne nie przynosiły już ukojenia: nie przepojone żarem oddanej im wyłącznie duszy wydały się czcze, jałowe i obce. Często z przerażeniem stwierdzała, że modląc się, myśli o Warmskim. Zaczęły znów nawiedzać ją nocami sny dwuznaczne, na pół zmysłowe, na pół mistyczne, w których on odgrywał przemożną rolę; i nieraz twarz Chrystusa dwoiła jej się w wizjach sennych rysami Janka. Rozpętało się od nowa piekło pierwszych lat klasztornego życia.

Jedyną ostoją siostry Agnieszki w tych czasach była przyjaźń z Alicją. Cicha i łagodna dziewczyna osładzała jej chwile duchowej walki opowieściami o twardej, kaszubskiej doli lub mnóstwem pytań, którymi zasypywała swoją mistrzynię. I chociaż wikaria nie odsłoniła przed przyjaciółką tragedii swego życia i nie zwierzyła jej swej tajemnicy, widziała w błękitnych jak lazur jej oczach bezgraniczne dla siebie współczucie i wielkie, serdeczne oddanie...

Dziś nad ranem wstała siostra Agnieszka wcześniej niż zwykle i nie czekając brzasku, wysunęła się cicho na taras. W półmroku dogorywającej nocy poszła za nią w ślad Alicja i otoczywszy ramieniem przyjaciółkę, stanęła obok niej pod kolumnadą krużganka. Przez chwilę patrzyły w milczeniu na majaczejącą w mrokach roztocz. Powoli zaczęło szarzeć. Na ciemnym podglebiu żywiołu wyodrębniały się grzebienie pian, chełbiły wzwody fal, bielały pióropusze wodnych hełmów. Popielata poświetl przedbrzasku odkryła raz jeszcze odwieczną pracę morza: wbieganie zalotów na strąd po wyszlifowanych gładko pochylniach, atak na rafy, odskoki odrzuconych run i nowe zakusy rozjątrzonych oporem grzywaczy...

Siostra Agnieszka nie spuszczała z oczu latarni i przylądka. W miarę rozjaśniania się horyzontu czuła, jak obecność Alicji zaczyna jej ciążyć. Nagle drgnęła: spoza Rozewia wysunął się dziób brygolety.

— Siostro — usłyszała głos towarzyszki — chłodno tu dzisiaj; czy nie czas już wracać na poranne nabożeństwo?

— Chciałabym teraz pozostać tu sama, Alicjo. Za chwilę będę z powrotem w oratorium.

Agnes uczuła, jak ramię siostry odwinęło się od jej ramienia.

— Stanie się wedle twojej woli, siostro — odpowiedziała jakimś smutnym, jakby zrezygnowanym głosem i odeszła.

Tymczasem statek zbliżał się pod wszystkimi żaglami; silna, poranna bryza wiejąca prosto z rufy pędziła go z ogromną chyżością na linię klasztoru.

Agnes podeszła ku kamiennemu przedpiersiu i wytężyła wzrok w kierunku brygolety. Urzeczona jej widokiem patrzyła, jak rozpienia sztabą wodę, jak rozpręża białe płótna. W pewnej chwili statek położył się w dryf i spuszczono szalupę z kapitanem. Po upływie paru minut Warmski, przedarłszy się szczęśliwie przez zjeżony archipelag raf, zawinął z łodzią w ponury zaułek wodny między wysterczającym z morza cyplem a klasztorną skałą i liną przymocował szalupę do wystającego kła rakwy.

Lecz cóż to? Co to miało znaczyć?!

Zamiast poprzestać na tym, uchwycił się ręką za gzyms skalnego zwisu ponad głową i odbiwszy się nogami od burty, zaczął piąć się w górę. Przechylona ponad przedpiersie tarasu śledziła Agnes jego ruchy ze śmiertelną trwogą. Chciała zawrócić go z drogi, powstrzymać w szalonym zamiarze, lecz nie mogła wydobyć głosu: zesznurowane żelazną powięzią gardło odmówiło posłuszeństwa. Tymczasem on wspinał się coraz wyżej. Jak akrobata zaczepiał się końcami palców o nieuchwytne, ledwo dostrzegalne wyimki, zawisał na sekundy całe nad zawrotnymi przepaściami, wkręcał się wężowym ruchem w najpłytsze wnęki i przystanie: chciał za wszelką cenę dotrzeć do niej, na szczyt.

Ciało Agnieszki przebiegł zimny, lodowaty dreszcz. Mimo woli cofnęła się w głąb platformy. Lecz było już za późno. Warmski pokonawszy ostatnie przeszkody, jak błyskawica przerzucił się przez parapet i z wyciągniętymi ramionami runął do jej stóp:

— Hanuś! Hanuś najdroższa! Hanuś moja! Święta moja! Najmilsza nad wszystko Hanuś!

Zbladła i zachwiała się. On zerwał się z klęczek i otaczając jej kibić ramieniem, przycisnął usta do jej ust zbielałych.

— Nie bój się, Hanka! To ja, twój Janek. Jam ci nie wróg przecież! Przyszedłem wziąć cię stąd z sobą, uprowadzić stąd na zawsze w bujny, piękny świat, za dalekie morza! Niech się wszystko potem za nami zawali, niech osądzą ludzie! Co nam po ludzkim osądzie, Hanka? Co nam po opinii?... Na rękach cię nosić będę, królewną mi będziesz, panią mi będziesz, żoną umiłowaną — wszystkim!...

Wyrwała mu się z objęć.

— Na rany Chrystusa odejdź stąd! Miej litość nade mną i sobą! — żebrała głosem i oczyma.

Lecz on nie cofnął się i ponownie sięgnął po nią ramieniem. Wyszarpnęła mu się z rąk i jak niegdyś przed widmem mnicha zastawiła się przed nim znakiem krzyża. To ją ocaliło. Jak porażony niewidzialną mocą upadł na kolana i trzymając w ręku skrawek oderwanego woalu, patrzył na nią błagalnie; lecz już jej dotknąć się nie ważył. Wtedy ona podniósłszy w górę krzyż, przeżegnała nim klęczącego i patrząc mu w oczy z głębokim smutkiem, zaczęła cofać się ku krużgankowi. Gdy dotarła pomiędzy pierwsze kolumny, odwróciła się i nie patrząc już poza siebie, rzuciła się ku drzwiom w głębi...

Za chwilę przesuwała się chwiejnym krokiem wzdłuż korytarza oratorium. Z dala dolatywał już śpiew zakonnic odprawiających poranne *Godzinki*, płynęła woń kadzidła i płonących świec.

W uszach Agnieszki brzmiał wciąż namiętny szept kusiciela, przed oczyma mieniła się łuną miłości jego twarz. W pewnej chwili zatrzymała się:

— Jeszcze czas zawrócić. Zawrócić, póki pora! On tam czeka wciąż jeszcze! Potem może być za późno! Śpiesz się, zanim odejdzie!

Porwał ją wicher tęsknoty i zaczęła biec z powrotem w stronę terasy. Wtem, gdy mijała ostatnią celę, zastąpiła jej drogę postać siostry Beaty. Wychudła, ascetyczna jej twarz pytała smutkiem wielkich, czarnych oczu:

„Dokąd idziesz, siostro wikario?"

Pod siłą tego spojrzenia Agnes spuściła oczy i skłaniając się nisko przed majestatem cierpienia, wyjąkała:

— Przebacz, siostro!

Gdy po chwili znów podniosła głowę i spojrzała przed siebie, postać Beaty rozpłynęła jej się w oczach. Wtedy krokiem pewnym, zdecydowanym zawróciła do kaplicy.

Godziny klasztorne przesuwały się dnia tego leniwo i ospale. Po nieszporach i komplecie nie poszła Agnes do wspólnego dormitarza, lecz pozostała sama w oratorium. Ogromna boleść przykuła ją do stóp ołtarza i rozkrzyżowawszy ręce, z wielkim płaczem rzuciła się na płyty posadzki. W purpurowej poświacie lampki wieczystej patrzyła na nią umęczona twarz Zbawiciela w cierniowej koronie i siała złoto-krwawe blaski monstrancja *tabernaculum*. Rozpoczął się męczeński, przebolesny nokturn.

Poprzez uchylone skrzydła witraży wpadał szum wzburzonego morza, wkradał się jęk wichru i skargi ciemnych, nieznanych mocy: zbliżały się niezawodne zwiastuny sztormu.

Raz w raz przepruwały niebo lazurowe zygzaki, krzyżowały się w przestworzach olbrzymie, stalowo-błękitne szpady. Głuchy ryk przelewy królował wszechwładnie nad głosami ziemi. Rozhukane tarany uderzały zapamiętale w utwierdź klasztoru i wstrząsały podwalinami samotni. Morze szalało…

I w duszy siostry Agnieszki rozpętała się burza przerażenia i grozy. Nigdy jeszcze nie przejęła jej nawałnica tak bezgranicznym lękiem, jak w tę noc beznadziejnie czarną. Bo zdawało jej się, że przez rozkiełzanie żywiołów przemawia gniew boży, odzywa się piorunowy, nieubłagany, acz sprawiedliwy głos Jehowy. W jaskrawej wyrazistości zarysowała się jej wina. Ona — oblubienica Chrystusa, zakładniczka boża złamała umowę zawartą przed laty. Pocałunek wyciśnięty na jej wargach przez Janka skalał czystość niebiańskiego sojuszu, unieważnił pakt. Zatraciła się, zmalała do zera wartość jej zastawu. Bo czymże była ona, jeśli nie zastawem, poręką? Czyż nie gwarantowała sobą jego życia i zdrowia?

Zdrada, Bóg, Kobieta, Pocałunek

A dziś on przyszedł i świętokradczym pocałunkiem zerwał umowę z Bogiem, zniszczył dzieło jej życia, zniweczył z trudem wzniesioną twierdzę upewnienia.

Okropna myśl wśliznęła się do umęczonego mózgu i rozciągnęła ją na torturach. Broniła się przed nią ze wszystkich sił miłującego serca, odsuwała jak najdalej od siebie złowieszcze wnioski.

— Mnie, Panie, skarz za złamanie przymierza — błagała, obejmując uściskiem ramion stopy krzyża. — Na moją nieszczęsną głowę niech spadnie Twa ciężka, boża ręka! Bo ja tylko tu odpowiadam, ja: Twoja zakładniczka i sługa.

I tarzała się z bólu i trwogi, i przyciskała zbielałe usta do ociekających krwią, przekłutych gwoździmi Jego stóp.

Lecz burza szalała dalej z jednakową mocą. Coraz to nowe tabuny deneg wyprowadzało do ataku morze, coraz to wścieklej grały krzywuły orkanów. Jakby wszystkie potęgi piekieł wychynęły z otchłani i sprzysięgły się na noc tę dziką, zatraconą.

A podczas gdy w mrokach kaplicy wiła się w męce i przerażeniu siostra Agnieszka, w odległej, samotnej celi na skrzydle północnym klasztoru rozmawiała z Panem ksieni Anastazja. Przed odczuwającą najlżejsze drgnienia powierzonych sobie dusz matką nie ukryła się rozterka duchowa Agnieszki; spojrzeniem wewnętrznym mocnej, wyjątkowej jaźni ujrzała przepaść, nad którą błądziła wikaria. I zadrżała o nią i o klasztor. W poczuciu odpowiedzialności za tę duszę zbłąkaną i przyszłość klasztornej gminy postanowiła rzucić w poprzek drogi zła swój czyn duchowy i nie dopuścić do powtórnego na tym miejscu triumfu szatana.

I oto teraz we włosiennicy, zlana krwawym potem klęczała na deskach podłogi i modliła się ze wszystkich sił mężnego serca:

— Panie, ulituj się nad sługami Twymi i daj im doprowadzić do końca dzieło pokuty. Nie opuszczaj nas w chwili rozstrzygnienia, nie pozostawiaj samych na rozstajach dróg w błyskawicową noc gromów i grzechu. Nie dozwól, Panie, by w tym przybytku wzniesionym na Twą chwałę miał szatan po raz wtóry odnieść zwycięstwo. Pomnij, Panie, na wieloletnie cierpienia siostry Beaty i racz uwzględnić jej cichą, ni jedną skargą niezmąconą ofiarę. Czyż nie jest godna tego, by zaważyła na szali? Czy obecność jej w naszym domu należy przypisać tylko przypadkowi? Czyż nie powinna wpłynąć i na sprawę ekspiacji, której podjął się nasz klasztor? Wybacz, Panie, śmiałość słów moich i zuchwalstwo języka, lecz nie o mnie tu idzie; lękam się o zbawienie tych, które z rozkazu Twego wypadło mi przez czas pewien ku Tobie prowadzić: lękam się o przyszłość naszego zboru. Lecz nie moja niech będzie wola, tylko Twoja, Panie! Jeśli niezbadana mądrość Twoja uznała wysiłki nasze za niewystarczające i trud nasz za mały, ukarz mię pierwszą i usuń spośród nich jako niegodną urzędu, który tu sprawuję. Jeżeli życie moje potrzebne jest do zadośćuczynienia: zabierz je, Panie, zabierz natychmiast! Z radością odejdę ku Tobie…

Tu ksieni wyciągnęła ramiona ku niebu, jakby oczekując stamtąd gromu. Lecz grom nie uderzył. Wiły się tylko oślepiające wstęgi błyskawic i ryczało morze. Więc znów podjęła modlitwę:

— A jeśli na nic tu moje życie, na nic męka Beaty i nie chcesz przyjąć ofiary podstawienia, to *jego*, Panie, ukarz, jego, sprawcę zamętu! Tylko nie pozwól na ponowny upadek, nie dopuść pohańbienia. Bo *ona* niewinna, Panie! Za cóż karać bezbronnego gołębia?

Piekielny łomot przerwał jej słowa. Przeciągła, błękitna szarfa rozdarła kiry nocy za oknem i przy jej blasku ujrzała przeorysza na morzu jakiś statek borykający się z rozwścieczoną falą. Przechylone na burtę maszty ze szczątkami żagli dotykały niemal powierzchni wody, pozrywane doszczętnie wanty i forduny śmigały w powietrzu jak olbrzymie, dzikie lassa. Wtem okręt wyprostował się; odskoczyły w górę elastyczne drzewca foku i grotu, wynurzył się z topieli zalany bakort i na wyżce ukazała się postać mnicha. Patrząc w stronę klasztoru, powoli zbliżał się ku krawędzi burty i nagle skoczył w morze. Zgasło upiorne światło i znów nieprzeniknione kiry zaciągnęły przestwór. Wtedy odezwał się przewlekły, spiżowy jęk dzwonu.

— Panie — szepnęła w przeczuciu wielkiej chwili przeorysza — czyżby dzwon ten wybijał moją godzinę? Czyżbyś przyjął ofiarę z mojego życia?

W tej chwili nowa błyskawica wstrząsnęła złożami nocy i odsłonił się dziwny obraz.

Z wieżycy klasztornej niesiony tchem wichrów leciał ku morzu złowróżbny dzwon; rozchybotane jego serce biło na trwogę, tłukło okresy na alarm — wielki alarm śmierci. A gdy dosięgnął morza i runął w jego odmęty na wieczny spoczynek, nadpłynęła z oddali skromna łódź rybacka przepojona nadziemską światłością. A szła jasność owa od słodkiej postaci Żeglarza, który stojąc w pośrodku botu, kładł ręce na grzywach fal i koił ich gniewy; i pod dotknięciem tych rąk dobrych czyniła się wokół łodzi cisza, szła kręgami w dal i wygładzała morze. A gdy nadjechał cudowny korab na to miejsce, w którym zatonął dzwon, wyciągnął Wielki Żeglarz rękę ku ogromnej, czarnej fali, co szła ku Niemu, potrząsając groźnie grzywą. I rozpękła się fala i wyrzuciła z wnętrza swego pół rybę a pół człowieka w mniszym habicie. Stwór dźwignął się z wodnej pościeli ponury i posępny i nie śmiał Panu spojrzeć w twarz. Ale gdy On nie cofał swej ręki, lecz wciąż podawał mu ją przyjaźnie, uchwycił się jej jak niebieskiej kotwicy, przedostał za burtę i rzuciwszy się na dno łodzi, objął w pokorze stopy Wielkiego Rybaka. A On uśmiechnięty słodko, cały w blaskach i jasności położył mu dłoń na głowie i spojrzał w niebo...

Przeniknięta do głębi, wstrząsana dreszczami ekstazy matka Anastazja straciła przytomność.

Nad ranem, o pierwszym świtaniu wyszła z oratorium siostra Agnieszka. Chwiała się co krok i zataczała na nogach z wyczerpania po bezsennej nocy. Wokół niej panowała cisza uśpienia. Wzdłuż ścian korytarza snuły się szare cienie nocy i skwapliwie wciskały w zaułki i kąty. Poranny chłód wnętrza przenikał przez habit i dojmował do kości. W powietrzu pachniało mirrą i kadzidłem...

Była już pod kolumnadą krużganka. Z bijącym sercem spojrzała na taras... Był pusty; tylko tu i tam na marmurowych taflach posadzki bielały kępy szumów i pian wychlustanych nocą przez burzę. Po ołowianym niebie niby ostatnie wspomnienia sztormu przerzucały się ciężkie, rozczochrane chmury, na morzu cichym już i ukojonym wędrowała mała, lekko pomierzwiona fala...

Co to za flaga z poszarpanym proporcem?!

Agnes pędem podbiega do przedpiersia tarasu i przyciskając ręką łomocące głośno pod szkaplerzem serce, spostrzega drzewce strzaskanego masztu wbite w szczelinę pomiędzy skałami; podarte na strzępy resztki żagla łopocą w podmuchach porannej morki jak bandera śmierci. Badawcze oczy zakonnicy przesuwają się z bolesną ciekawością po rozkali przylądka i odkrywają nowe, coraz wymowniejsze szczegóły.

Oto kawał zmiażdżonej burty. Na oddartej, ostatkiem nitów trzymającej się blasze widnieją złote litery napisu.

— Hanka — odczytuje siostra Agnieszka i nagle robi jej się ciemno w oczach.

Aż odsłania się ostra, nieuchronna prawda. Tam, za tym granitowym blokiem kryła się dotychczas, niemal w zasięgu jej ramienia...

Z ręką zaciśniętą kurczowo na szprychach zdruzgotanego steru leży na wznak na skale kapitan Warmski — spokojny już i o nic niedbający, z uśmiechem wyzwolin w stężałych już rysach. Leży piękny i męski, z zakrzepłą strugą krwi na skroni. Do ust przyciska czarnego kwefu szczątek. Nad nim krążą, kwiląc, morskie mewy, gra pieśń żałoby morski wiatr...

27 VIII 1926 – 15 V 1927.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-klasztor-i-morze

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, Klasztor i morze, Nakładem księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Katarzyna Czech, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Na wzgórzu klasztoru Norbertanek, Malczewski, Jacek (1854-1929), domena publiczna

ISBN 978-83-288-6184-8